Artykuły i korespondencje, przeznaczone dla «Kraju», powinny być pisane czytelnie i po jednej stronie papieru. Rękopisy i fotografje można przesyłać pod opaską rekomendowaną. Drobnych rękopisów Redakcja nie zwraca; większe po upływie roku bywają niszczone. Rachunki honorarjów regulowane są przez Administrację kwartalnie.

KRAJ

Biuro Redakcji otwarte (z wyjątkiem niedziel i świąt) od godz. 11 rano do 3 pop.; Biuro Informacyjne od godz. 5 do 6 pop. Administracja od g. 11 r. do 5 pop. Wszystkie trzy biura mieszczą się w Petersburgu, w domu № 82, kanał Jekaterynski. Adres dla telegramów: Petersburg, «Kraj». Warszawski Oddział «Kraju», Marszałkowska 119.

Og. zb. №. 1024 | Petersburg, 15 (28) lutego 1902 r. | Rok XXI. №. 7

TREŚĆ N-ru 7 „KRAJU"

DZIAŁ GŁÓWNY:

Artykuł wstępny: Pozłacana bieda, przez *Józefa Rostafińskiego.*

Artykuły bieżące: Sojusz anglo-japoński. Kilka zimnych uwag w pewnej palącej kwestji, p. *Varsoviensis'a.* Koła polskie w Berlinie, p. *X. Y. Z.* Na obczyźnie, p. *Wierzb.* Mowa posła Chrzanowskiego. Wyprawa pod Wawel. Ks. Henryk pruski w Stanach Zjednoczonych, p. *Gordona.*

Listy korespondentów „Kraju": (Echa zachodnie): Z Rzymu, p. *Weryhę,* z Berlina, p. *Gordona,* i t. d. (Z miast i wsi): Z Wilna, p. *A. R. Z.*, z Kijowa, p. *Sama,* z Saratowa, p. *M. O.*, i t. d. (Z Królestwa Polskiego): Z nad Wisły, p. *B.*, z Warszawy, p. *Gamę,* i t. d

Uwagi redakcyjne w sprawach bieżących. **Przegląd prasy. Wiadomości bieżące:** Dworskie, Urzędowe, Ogólne i Petersburskie.

Polityka zagraniczna. Tydzień polityczny.

Ekonomista: Przegląd. Tydzień ekonomiczny. Kronika giełdowa. **Ogłoszenia.**

ZAŁĄCZNIK.

Z powodu ogólnego rocznego zgromadzenia akcjonarjuszów Wileńskiego Banku Ziemskiego, p. *Pawła Kończę.*

ŻYCIE i SZTUKA

(Pismo dodatkowe).

Artykuły: Niedoszły pojedynek ks. Józefa Poniatowskiego ze Szczęsnym Potockim, przez *Aleksandra Kraushara.* U źródeł Wisły, p. *Ernesta Łunińskiego.* Około Marokka, p. *B. Bouffałła.* Poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk, p. *Prost.* Listy krakowskie p. *Wierzbiętę.* Wymierające drzewo, p. *G.* Z chwili bieżącej: Pisma hebrajskie J. Klaczki, p. *An.* Kanonizacja Joanny d'Arc, p. *D.* Niezwyciężona lalka, p. *Żet.* **Notatki:** naukowe, literackie, artystyczne, teatralne. **Nowe książki.**

Ilustracje: Jedna ilustracja do artykułu „Niedoszły pojedynek ks. Józefa Poniatowskiego ze Szczęsnym Potockim". Pięć ilustracyj do artykułu „U źródeł Wisły". Jedna ilustracja do artykułu „Około Marokka". Jedna ilustracja do artykułu „Poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk". Z fotografij amatorskich: „Lirnik". Nowoczesne majoliki kolorowe prof. Manzla. Nowe gmachy Warszawy: Wielkie halle targowe. Politycy współcześni: Honourable J. Chamberlain. Dwie ilustracje: Adwokacki debiut panny J. Chauvin. Dwie ilustracje do artykułu „Na ulicach Florencji". Karykatura polityczna. **Portrety:** Szczęsny Potocki. Dr. Bolesław Erzepki. Włodzimierz Zagórski. Zygmunt Noskowski. Panna Alicja Roosevelt.

DODATEK POWIEŚCIOWY:

Rok 1809. Powieść historyczna przez *Wacława Gąsiorowskiego.* (DC). A. P. Czechow: „Drogi pies", tłóm z ros. *W. G.* Do braci śpiewaków. Wiersz, p. *Józefa-Stanisława Wierzbickiego.* Streszczenia: „W godzinie cudu", p. *St. Przybyszewskiego.* „Miecz i Łokieć". Powieść z wieku XVII, p. *Wiktora Gomulickiego.* (DC). „Mecenas", p. *A. Aug.*

KARTA ALBUMOWA:

„Sielanka, obraz *Witolda Pruszkowskiego.*

Przy dzisiejszym N-rze «Kraju» rozsyła się ZAŁĄCZNIK, p. t.: «**Z powodu ogólnego zgromadzenia akcjonarjuszów Wileńskiego Banku Ziemskiego**».

Do dzisiejszego N-ru „Kraju" dołączoną jest **Karta Albumowa,** odtwarzająca obraz W. Pruszkowskiego: «*Sielanka*».

POZŁACANA BIEDA.

Pod wpływem wyrobionego w ciągu życia poglądu rodzice, wyszukując u nas zawodu dla swoich synów, myślą przy tym wyborze przedewszystkiem o stałej posadzie. To jest nasz ideał. Po części dlatego brak też u nas tej rzutkości, którą w Europie odznacza się przedewszystkiem rasa anglosaska. Tam ludzie pomyśleli już oddawna o ubezpieczaniu swego losu na starość, ale przez samopomoc, przez wkładki ubezpieczeń na życie. Ta forma jest tam powszechna; u nas przeciwnie—całkiem wyjątkowa. Tam obejmuje ona nietylko jednostki, ale i całe korporacje.

Jesteśmy świadkami zjawiska, że rządy pociągają do współdziałania pod tym względem nietylko pracodawców, ale i najszersze warstwy społeczeństwa, skoro z państwowych funduszów przyczyniają się do ubezpieczeń robotniczych. W Austrji np. urzędnicy prywatni spodziewają się rychłego urzeczywistnienia swych marzeń o zapewnieniu bytu, a za nimi idzie już nawet rzesza lekarzy.

W powszechnem mniemaniu lekarze należą do najzamożniejszych warstw ludności. Mamy zawsze na myśli przedewszystkiem tych, którzy jeżdżą karetą, do których przedpokoju trudno się docisnąć nieopłaciwszy się służącemu, którzy przez jedną operację zarabiają niekiedy więcej, niż jakiś robotnik jest w stanie zarobić przez całe życie, a tracimy współcześnie z oka całą rzeszę mniej od losu uprzywilejowanych. Rzeszę, którą pozycja socjalna stawia narówni z wyjątkowymi przebieraczami w złocie, a która w rzeczywistości przymiera nieraz z głodu—rzeszę, którą można określić w dwu słowach: pozłacana bieda. Tak jest nietylko u nas, ale mniej więcej podobnie w całej Europie, a jest tak z różnych przyczyn.

Zawód lekarza należy do najtrudniejszych. Na żadnym uniwersyteckim wydziale nie trzeba tyle, tak długo i tak intensywnie pracować na ten kawałek papieru, który się nazywa dyplomem, co na lekarskim. Żadne też studja nie są tak kosztowne, jak medyczne. Trzeba być bardzo zamożnym człowiekiem, żeby je ukończyć bez długów. A potem, przychodzą jeszcze lata prawdziwej nauki praktycznej, lata praktyki szpitalnej, i dopiero potem rozglądanie się za chlebem.

Dużo nędzy wywołuje u wielu młodych lekarzy uporczywa chęć trzymania się wielkiego, albo przynajmniej większego miasta. Ich inteligencja oburza się wielokrotnie na tę myśl, żeby się zakopać w małem miasteczku, żeby się przesiadać z bryki na brykę, być prawie ciągle narażonym na niewywczas i na niemożność ukończenia spokojnie nawet partji winta. Klepią więc biedę, często z uporem godnym lepszej sprawy i nadzieją, że przecież zdołają sobie i w stolicy wyrobić praktykę, której, niestety, szukają nieraz do końca życia.

U innych lekarzy powodem biedy—przynajmniej na starość—jest względne życie nad stan. Mówię względne, to znaczy, że nie oszczędzają dostatecznie przez jakieś 7 czy 10 lat, przez które im dano jest «ssać tłuste krowy», i nie zachowują dość pieniędzy na lata, w których ich krowy chudną. Bo to jest prawie regułą, z nielicznemi wyjątkami bardzo sławnych praktyków, że lekarz w ciągu jakichś 40 lat, przez które leczy, ma zaledwie 15 lub 10 takich, w których praktyka dobrze mu idzie.

Są nawet tacy lekarze, którym praktyka wcale nie idzie od pierwszych kroków, stawianych na tem

polu. Tak bowiem, jak wysłuchanie teologji nie zapewnia kapłanowi, że będzie znakomitym kaznodzieją, tak samo zgłębienie wszystkich tajemnic wiedzy Eskulapa wcale nie zapewnia jej adeptowi powodzenia w praktyce. Zdarza się też, że ludzie rozumni, mający dużą wiedzę, umiejący ją należycie stosować, przymierają z głodu, podczas gdy ich koledzy, nie mający tych warunków, osiągają czasem nadzwyczajne nawet powodzenie.

Wogóle można bez przesady powiedzieć, że dużo jest powołanych, ale mało wybranych. Czytaliśmy niedawno zdanie bardzo kompetentnego lekarza, który utrzymywał, że na tysiąc lekarzy — jest najwyżej kilkudziesięciu, którym się dobrze wiedzie.

Cóż dziwnego, że właśnie mniej zamożni, skupieni w stolicach lub rozproszeni po małomiasteczkowych kątach, nie wstydzili się przyznać do pozłacanej biedy, żalić się na niepewność losu na starość, na troskę, tłoczącą ich w razie już parutygodniowej choroby, na obawy w razie śmierci o byt żony, lub wykształcenie małoletnich dzieci. Cóż naturalniejszego, że zaczęli myśleć o sposobach zapobiegnięcia złemu. Myśl wyszła z łona młodego «Towarzystwa samopomocy lekarzy», którego zgromadzenie odbyło się w Krakowie w ciągu zeszłego miesiąca. Stoi ono od roku pod przewodnictwem znanego filantropa, profesora Henryka Jordana, który tą myślą się przejął, poświęcił jej niemało czasu i wprowadził ją na tory, któremi—mojem zdaniem—rozejdzie się po całej Europie.

Myśl ta polega na przymusowem ubezpieczaniu wszystkich lekarzy całego państwa i nader oryginalnem rozłożeniu kosztów tego ubezpieczania.

Nie wdając się w szczegóły, powiedzmy, że, według projektu Jordana, lekarz, rozpoczynający praktykę w 25 roku życia, ma po 35 latach pracy otrzymać emeryturę 2,400 koron. Wdowa po nim może się spodziewać 40 proc. tej kwoty, a dzieci aż do ukończenia dwudziestego roku życia po 240 kor., to jest 10 proc. Wykluczeni są od emerytury ci lekarze, którzy z powodu zajmowanych posad mają ją już w inny sposób zapewnioną. Projekt zawiera postanowienie, że każdy lekarz, przystępujący przymusowo do ubezpieczenia, zaraz po otrzymaniu dyplomu musi złożyć jednorazowo do kasy emerytalnej 200 kor. Wprowadzając do obrachunku kasy emerytalnej koszta administracji, wypada z obliczenia, że każdy członek powinienby opłacać rocznie 19 proc. przyszłej emerytury, to znaczy 456 kor. rocznie. Dla ludzi niezamożnych jest to premja stosunkowo bardzo wysoka, a musi być taką, bo projekt zapewnia współuczestnikom emeryturę nietylko w 60 roku życia, ale także i wcześniej w razie niemożności do pracy i oprócz tego pomoc, i to pokaźną, w razie choroby.

Oryginalność projektu polega właśnie na sposobie ściągania tej premji z różnych źródeł. A zatem sam ubezpieczony ma opłacać rocznie tylko 72 kor., to znaczy, że brak jeszcze 384 kor. Tę kwotę według projektu — rozdzielmy na cztery części. Trzy z nich wyniosą po 109½ kor. a czwarta tylko 55½ kor.

Na jedną kwotę 109½ kor. mają się składać pośrednio wszyscy lekarze, a to w ten oryginalny sposób, że niewolno im będzie pisać nigdy recepty na innym papierze, jak tylko na blankietach stemplowych, kosztujących po 5 halerzy, wydawanych w tym celu przez państwo. A zatem zostaje pociągnięty do opodatkowania w tej kategorji ogół lekarzy: najmajętniejsi, mający największą praktykę, a nawet ci, którzy wcale nie będą korzystać z emerytury, mając ją zapewnioną z tytułu jakiegoś urzędu lekarskiego (profesura, posada lekarza szpitalnego i t. p.).

Do opłacania drugiej kwoty 109½ kor. mają być powołani wszyscy *pracodawcowie* lekarzy, to jest—publiczność. Tak, publiczność. Aptekarz nie wyda nam bowiem lekarstwa, nie przyłożywszy na receptę stempla aptecznego, który będzie kosztował także 5 h. i które, płacąc za lekarstwo, musimy uiścić.

Istnieją w Galicji kasy chorych, instytucje pożyteczne, ale podobno srodze wyzyskujące lekarzy; one to mają się składać na trzecią kwotę 109½ kor., a to opłacając za swoich lekarzy oraz za swoich członków blankiety receptowe i stemple apteczne, a zatem po 10 h. od recepty.

Brak jeszcze 55½ kor. rocznie za każdego ubezpieczonego. Któż je ma zapłacić? Wszyscy inni pracodawcy lekarzy po za publicznością, a zatem zakłady lub instytucje, zatrudniające lekarzy, a niedające im emerytury, a nawet i rząd, o ile np. posługuje się czynnością lekarzy sądowych.

Tak wygląda w grubych zarysach projekt, wypracowany przez Henryka Jordana, a przyjęty przez walne zgromadzenie lekarzy, należących do Towarzystwa samopomocy.

Bardzo słuszną jest w projekcie myśl przymusowego ubezpieczania, bo jakże nam daleko do zaradności, energji w przeprowadzeniu postanowień, solidarności w powziętych racjonalnych zamiarach. Każdy zapewne pochwali też tę zasadę, że uprzywilejowani od losu będą płacić za pomocą blankietów receptowych ubezpieczenie za mniej szczęśliwych.

Przeciwko powołaniu pracodawców, czy to rzeczywistych z owej ostatniej kategorji, czy też szerszej publiczności, zapewne nie powstanie opozycja, o ileby się znalazł sposób, żeby od niej uwolnić biedaków. Skoro jednak lekarze mają możność przepisywania dla niezamożnych recept, których *expeditio* ma być *simplex*, to znaczy mniej kosztowna, to zapewne możnaby im zostawić prawo zwalniania recept od aptecznego stempla.

Skoro lekarze mają—według projektu—opłacać tylko 72 kor. rocznie, to łatwo mogliby oni coś jeszcze dołożyć, żeby zwolnić najuboższe warstwy ludności od aptecznego stempla.

Od projektu do wykonania daleko, ale trzeba żywić przekonanie, że projekt może się urzeczywistnić, i że te całkiem oryginalne zasady blankietów receptowych oraz aptecznych stempli wejdą w życie, prędzej czy później, w całej Europie. I co więcej—ta nowa zasada opodatkowania z czasem znaleźć może zastosowanie nietylko w fachu lekarskim, ale i w innych dziedzinach pracy, gdzie chodzi o zapewnienie bytu członkom korporacji. Z tego względu projekt Henryka Jordana zasługuje na wielką uwagę [1]).

Józef Rostafiński.

[1]) Artykuł niniejszy wyszedł z pod pióra znanego profesora wszechnicy Jagiellońskiej. Autor jest gorącym zwolennikiem projektu prof. Jordana, który, zdaniem jego, rozstrzyga szczęśliwie trudną kwestję zabezpieczenia bytu inteligentnych pracowników fachowych. Czy idea czcigodnego filantropa krakowskiego zostanie urzeczywistniona w blizkiej przyszłości—o tem jeszcze trudno mówić; niemniej jest ona istotnie oryginalną. *Przyp. Red.*

SOJUSZ ANGLO-JAPOŃSKI.

W zeszłym tygodniu zaszedł wypadek dużej wagi politycznej, obszernie komentowany przez prasę całego świata. Angielski urząd spraw zagranicznych ogłosił traktat anglo-japoński, podpisany w d. 31 stycznia przez angielskiego ministra spraw zagranicznych, margrab. Landsdowne i japońskiego posła w Londynie, barona Hayashi. Układ postanawia, że oba rządy pragną zachowania *status quo* i ogólnego pokoju na dalekim Wschodzie, jakoteż niezawisłości i nienaruszalności Chin i Korei. Traktat ma następujące punkty:

1) Każde z dwu sprzymierzonych mocarstw może powziąć środki w celu obrony swoich interesów, gdyby te były zagrożone przez zaczepne postępowanie jakiegokolwiek innego państwa, albo przez zamieszki w Chinach i Korei, i gdyby dla obu zawierających umowę państw okazała się konieczna potrzeba interwencji, w celu obrony swoich poddanych.

2) Gdyby jedna strona z zawierających układ miała rozpocząć wojnę z którembądź innem państwem, druga strona zachowa ścisłą neutralność i będzie się starała przeszkodzić, aby inne państwa nie przyłączyły się do nieprzyjaznych kroków przeciw sprzymierzonemu państwu.

3) Jeżeli jakiekolwiek państwo przyłączy się do kroków nieprzyjacielskich przeciw sprzymierzonemu państwu, druga strona pośpieszy mu z pomocą, wojnę razem z niem wspólnie prowadzić będzie i pokój zawrze po zobopólnej zgodzie.

4) Obie strony zawierające układ zgadzają się na to, iż żadna ze stron, nie porozumiawszy się poprzednio z drugą, nie wda się w samoistne umowy z innem państwem ze szkodą wyżej zaznaczonych interesów.

5) Ilekroć wyż wymienione interesy są narażone na niebezpieczeństwo, oba państwa nawzajem będą udzielać sobie w obszerny i bezwzględny sposób informacji.

6) Układ wchodzi natychmiast w życie i jest ważny przez 5 lat. Jeżeliby w czasie, gdy termin tego układu upływa, jedno ze sprzymierzonych państw było uwikłane w wojnę, ma układ dopóty być prawomocnym, dopóki pokój nie będzie zawarty.

Traktat ten jest pierwszem w dziejach świata obwieszczeniem związku państwa aryjskiego z państwem mongolskiem. Znaczna część prasy widzi w nim cechy traktatu zaczepno-odpornego, pisma angielskie i japońskie zapewniają, że ma on intencje pokojowe.

KILKA ZIMNYCH UWAG

W PEWNEJ PALĄCEJ KWESTJI.

Czy możliwym i czy pożądanym jest bojkot niemieckich wyrobów?

Od sprawy wrzesińskiej upłynęło już dwa miesiące. Jest to w każdym razie «kawałek czasu»,—przez co nie chcę bynajmniej powiedzieć, iż i ta sprawa, jak każda ludzka, podlegać zaczyna z kolei nieubłaganemu prawu zapomnienia; pamięć jest tem dłuższą, im mocniej szarpniętą została dusza ludzka, a w sprawie wrzesińskiej szarpnięto ją bardzo, bardzo mocno; chcę tylko powiedzieć, że upłynęło już dużo czasu, aby dać spłynąć *pierwszemu wrażeniu*. Pod wpływem tego pierwszego wrażenia powstał u nas, w sposób nietylko zresztą zrozumiały, ale wprost instynktowny, a więc całkowicie naturalny, ruch antyniemiecki, rozległo się hasło bojowe: «precz z towarami niemieckiemi», żal i ból rozwinął się w formach odwetu, a więc w formie poczucia sił własnych.

Dziś jednak, gdy spokojniejszym umysłom dostępną się stała refleksja, należy rozważyć poprostu i na zimno: czyśmy nie przecenili tych sił własnych? Pamiętać należy, że tu nie chodzi o krótki a entuzjastyczny wysiłek, kiedy to nerwowa pobudka zdolną jest zwiększyć dwa, trzy, dziesięć razy nawet siłę muskularną; to jest przedsięwzięcie—na wytrwałość. Czy jesteśmy do niego dostatecznie przygotowani? Feljetoniści niektórych pism wmawiają nam, że rzecz, którąśmy zamierzyli, jest zgoła nie trudną. Czy istotnie jest ona nie trudną? Niektórzy nam powiadają, że w okazji tej przyjdą nam z chętną, bo korzystną dla siebie pomocą: austrjacy, czesi, francuzi i anglicy. Czy przyjdą jednak? Optymiści jeszcze bardziej zdecydowani przekonani są i przekonanie to na wsze strony popularyzują, iż nawet bez pomocy obcych narodów, możemy bardzo dużo uczynić własnemi siłami, że bardzo dużo niemieckich wyrobów zastąpić możemy własnemi, już gotowemi, resztę zaś także własnemi, które będą gotowe—w krótkim czasie. Ile w tem jest rzetelnej prawdy?

Oto cały szereg pytań, na które postanowiłem poszukać odpowiedzi, informując się u ludzi, znających specjalnie sprawy naszego przemysłu i handlu, poszukując pomiędzy nimi głów trzeźwych i jasnych.

Rozpocząłem tedy szereg wywiadów.

Bojkot jest niemożliwy.

Na wstępie tak mi się zdarzyło, że—kiedym przyszedł do pewnego poważnego a rozważnego męża, aby go «zinterview'ować», zostałem niespodziewanie sam przez niego «zinterview'owany».

— Pańskie przedsięwzięcie jest, hm, śmiałe. A czy wiesz pan, panie Varsoviensis, że opinja publiczna bardzo jest wzburzona, rozdrażniona, w pewnym kierunku mocno zwrócona?...

— Wiem! Ale mam pewne podejrzenia, ażali zwróconą jest ona w kierunku dla społeczeństwa absolutnie pożytecznym. Mając zaś takie wątpliwości, uważam za swój święty obowiązek publicystyczny sobie je rozjaśnić; gdy zaś samemu jaśniej się uczyni, i innych starać się oświecić. Czem jest opinja? rezultatem ścierania się argumentów, wnioskiem z całego szeregu sądów. Im więcej argumentów, im więcej sądów, tem więcej szans, że opinja zbliża się do prawdy i sprawiedliwości. Każde społeczeństwo ma prawo i obowiązek wymagać jaknajbardziej wszechstronnych informacyj od tych, którzy się podjęli funkcji społecznej informowania.

— No, tak. Ale jeżeli pan cokolwiek napisze przeciwko bojkotowi niemieckich towarów, będzie to bardzo niepopularne.

— Bardzo się zawsze o popularność starałem, ale nigdy nie umiałem poświęcić dla popularności nic z tego, com uważał za prawdę i słuszność.

— Ostatecznie nie każdy ma pańską odwagę. Mogę panu ręczyć, że udając się do wielu, wielu z ludzi, którzy posiadają, jak i pan, wątpliwości, ażali opinja publiczna nie znajduje się w sprawie bojkotu niemieckich towarów na mylnej drodze,—może nawet i więcej niż pan, nie znajdzie ich pan skłonnymi do szczerych zwierzeń, właśnie z obawy przed opinją.

— W takim razie ułatwię im szczerość. Idzie tu przecież o fakty, o argumenty, o wyjaśnienie stanu rzeczy, a nie o szereg nazwisk! Nazwisk—nie podam.

— Hm! Bo żeby panu odmalować jakim jaskrawym faktem nastrój opinji, powiem panu zdarzenie, na które parę dni temu patrzyłem własnemi oczami. Do pewnego sklepu przychodzi niemiecki komiwojażer. Właściciel głośno, wobec klijentów i subjektów, powiada mu, że niemieckich towarów nadal trzymać nie chce i że żadnych obstalunków nie robi. Poczem odprowadza komiwojażera, trochę nawet może niegrzecznie, za drzwi —i na progu szepcze mu: «przyjdź pan wieczorem—do mieszkania»... Ponieważ ja zaobserwowałem ten manewr, mówię kupcowi: «na co ta komedja?» Odpowiada mi: «Ja się nie mogę bez niemieckich towarów obejść, a usposobienie jest takie, że się obawiam własnych subjektów».

— Ależ—sam ten jeden fakt choćby, jakże wymownym jest dowodem, iż chwila przyszła, w której należy społeczeństwu powiedzieć prawdę.

* * *

Poczem rzekłem:

— Teraz na mnie kolej dawania zapytań, wszak prawda?

— A no, niech pan pyta.

— Czy pan uważa bojkot niemieckich towarów za możliwy?

— Uważam go za niemożliwy. Niemcy zawładnęli naszemi rynkami, zastosowali do nich swoją produkcję, swoje instytucje handlowe, wyrobili na nich swoje zwyczaje. Fakt przedewszystkiem, iż oni te rynki posiadają. Posiadają je, pomimo całej i tyle lat już trwającej protekcji ceł. Jeżeli postawimy kwestję całą, jako walkę, to rozpatrzmy poprostu z punktu widzenia strategicznego siły i środki, wartość bojową obu stron. Z jednej strony niemcy; *primo* są oni, jak powiedziałem, na pozycjach zdobytych; *secundo* są oni pierwszym dziś na świecie narodem przemysłowym pod względem dzielności wytwórczej i handlowej; na posługi swoje mają najprzód naukę, stojącą u nich tak wysoko, jak nigdzie, która przewodniczy ich przemysłowi, odnawia go ustawicznie, po drodze postępu prowadzi bez przystanków i znużenia. Posiadają oni dalej to, czego nam tak brak—*ludzi*, a więc specjalistów od

wszystkiego, począwszy od genjalnych wynalazców aż do komiwojażerów o niezłamanej niczem wytrwałości i energji. Oni mają handel i przemysł już niejako «we krwi». Są to rycerze, zaprawni do boju przemysłowego w długich walkach. A my?...

— A my?

— Cóż, panie. Jesteśmy wolnymi strzelcami—dyletantami. Chcemy się mierzyć z kolosem, kiedy nie możemy dać rady najsłabszym konkurentom. Ach! ten przemysł warszawski! Wszak pan pamięta, jaką to nie tak dawno jeszcze opinję miało obuwie warszawskie w całem państwie rosyjskiem. Co dziś zostało z tej opinji? A czyż to nie była okazja rozwinięcia fabrykacji obuwia na kolosalną skalę? Czy nie było to świętym obowiązkiem warszawskich kupców utrzymać rynki raz zdobyte? I cóż się stało? Oto przed tygodniem dopiero zawiązała się pierwsza spółka wytwórcza szewcka. I wie pan kto ją założył? Adwokat z Rostowa. A powozy, panie? Przecież warszawskie powozy zyskały sobie niemałą sławę w swoim czasie. Eksportowano je tu i owdzie, i zdawało się, że oto wytworzy się warszawska specjalność. I to w łeb wzięło. Zapytaj pan, czy dużo warszawskich powozów wysyła się dalej po za Warszawę? A przemysł tabaczny? Jakie świetne miał początki—i jaki smutny ciąg dalszy. A fortepiany warszawskie? Także się zdawało, że całemu państwu dostarczać będziemy fortepianów. Dziś dostarczają ich całemu państwu fabryki petersburskie. A mydła i perfumy? Taka sama historja. Dziś sami nie kupujemy innych perfum oprócz moskiewskich. Pomyśl pan teraz sam—bezstronnie i szczerze: z taką siłą bojową iść na pierwszą w świecie przemysłową armję?... my—których na przemysłowych polach walki ten tylko nie bił, kto nie chciał.

— Gorzkie...

— Ale prawdziwe.

— Jednakże spodziewają się niektórzy, że obudzony ruch wpłynie na wzmocnienie fabrykacji krajowej.

— W jaki sposób można wzmocnić fabrykację krajową? Wkładając w nią wielkie kapitały. Wogóle brak kapitałów, dość obfitych i dość odważnych, jest piętą achilesową naszego przemysłu. Otóż, czy pan myśli, że krzyki, podniesione w dziennikach, mogą ten kapitał skierować w stronę krajowych zakładów przemysłowych? Przeciwnie, panie, przeciwnie. Kapitał się takich krzyków boi, on od nich stroni i ucieka. Zabarw pan najkorzystniejszy interes kolorem patrjotycznym, a zobaczysz, jak kapitał będzie odeń się odsuwał. Patrjotyzm i kapitał. Gdzie kiedy widziano te dwie potęgi idące zgodnie, pod ręce? Gdyby chciano wymyśleć coś bardzo skutecznego dla przestraszenia kapitałów, toby właśnie nie można nic lepszego uczynić, jak powierzyć całą tę sprawę w swawolne ręce popularnych naszych feljetonistów.

— Bardzo to jednak pesymistyczne, wszystko, co pan mówi.

— Wygląda to pesymistycznie w istocie, o ile dotyczy bezpośredniego mocowania się z niemcami na polu przemysłowem, jeszcze mocowania się przy akompanjamencie krzyków, zapowiadających z góry jakieś nadzwyczajne zwycięztwo. Nie znaczy to jednak, abym ja wcale nie widział końca tej niewoli naszej u niemieckich fabrykantów. I my postępujemy naprzód, pomimo nawet tylu zmarnowanych okazyj do owładnięcia różnemi rynkami. Idzie to tylko powoli i mozolnie, wskroś przeszkód i trudności, jakie we własnych niewyrobionych charakterach znajdujemy. Oto, cośmy powinni sobie powiedzieć przy takiej okazji, jak obecna: poprawiajmy się! uczmy dotrzymywać słowa w wykończeniu obstalunku na czas, w zapłaceniu długu na termin! Powoli nagromadzają się kapitały i powoli kształcą się charaktery! Połóżmy większy nacisk na to, wychowujmy dzieci praktyczniej, żyjmy sami mniej okazale. Oto, gdzie leży rdzeń sprawy—w wyrabianiu regularnej armji bojowej przemysłowej. Ale to, co ja panu mówię, zakrawa na kazanie, kaznodziejów zaś mieliśmy zawsze dosyć, tylko że siali oni na piaski i głazy po większej części.

Bojkot nie jest pożądany.

Oto wiązka uwag bardzo znanego ekonomisty naszego i dzielnego pisarza zarazem, który umie poruszanym przez siebie kwestjom nadać jasność i powab.

— Ja już wypowiedziałem się w tej sprawie, i to nawet parokrotnie. Mogę więc panu tylko powtórzyć, com powiedział, dodając jednak parę nowych przyczynków. Według mnie, pewne ograniczenie stosunków przemysłowo-handlowych, pomimo trudności, jakie to przedstawia, da się osiągnąć; i to jest w pewnej mierze pożądane, boć zawsze polityczniej jest, że tak powiem, zależeć od kilku, aniżeli od jednego. Ale zgoła nie może być mowy o zupełnem zerwaniu stosunków z niemcami.

— Czy to jest niemożliwe?

— Tak, panie. Jest to wprost *niemożliwe*.

— Czy jednak byłoby to choć pożądane?

— Nie, *nie byłoby to pożądane*. Niemcy są najbliższym sąsiadem naszym, linja graniczna nasza z nimi ma wiele mil, stosunki wzajemne są rzeczą konieczną i przyrodzoną. Obciąć je, jeszcze z dziś na jutro, niby ostrym nożem, to poprostu utopja. Przecież my nietylko kupujemy od nich, nietylko im dajemy zarabiać—ale i sprzedajemy im coś nie coś, i od nich zarabiamy także pieniądze. Oni nam dają, jako kraj przemysłowy, różne przetwory—my im, jako kraj rolniczy, w pewnej mierze surowe produkty. Ci, co walczą za teorją zupełnego zerwania stosunków, powinni być przecież konsekwentni i nie ograniczać się na jednostronnem haśle: «Nie kupujmy od niemców!» ale powinni i to wiedzieć i widzieć, iż posiada ono coś, jakby odwrotną stronę medalu: «Nie sprzedawajmy nic niemcom». Oczywiście, tego nikt z nas nie powie w tej formie, jak ja tu mówię, ale to jest jednak nieunikniona konsekwencja pierwszego hasła. Tymczasem dla rolnictwa naszego wyrzeczenie się rynków niemieckich byłoby klęską, która na całem społeczeństwie by się odbiła. Bo przypuśćmy, że znajdziemy sobie na nasze płody rolne inne, dalsze rynki; toć kupcy będą o tem wiedzieli, że my nie możemy sprzedawać np. w Gdańsku—natychmiast więc oczną wyzyskiwać tę sytuację na swoją korzyść, a na naszą stratę.

— Czyby jednak nie dało się choć w znacznej części wyzwolić z pod przewagi niemieckiej?

— Powoli i z trudem, bardzo powoli i z wielkim trudem. Niemcy uorganizowali cały swój przemysł, odpowiednio do tych lub owych warunków eksportowych, więc i do naszych warunków także. Przyzwyczaili się oni naprzykład do naszej nieregularności i niesłowności w dotrzymywaniu zobowiązań pieniężnych. Dają nam długie kredyty, i za tę właśnie cenę zagarnęli nasze rynki.

— Czyż francuzi albo anglicy nie dadzą nam równie łagodnego kredytu?

— Otóż to, że nie dadzą. Najprzód we Francji i Anglji operacje się prowadzą przeważnie za gotówkę lub na zasadzie kredytu krótkoterminowego. Trudnoby więc przyszło utarte zwyczaje zmieniać. A potem—co to jest kredyt? jest to zaufanie; zaufanie zaś dajemy ludziom w miarę lepszego ich poznania, dłuższych i bliższych stosunków. Niemcy nas znają i jako sąsiedzi bliżsi, i jako tacy, co wiele zrobili, aby nas poznać; posiadają oni i praktykę i instytucje wywiadowcze, jednem słowem są *uorganizowani* do stosunków z nami. Niech pan i na to zwróci uwagę, że nasi hurtownicy wszyscy mniej więcej umieją po niemiecku, co ułatwia o wiele stosunki. Ani francuzi, ani anglicy nie mogą nam dawać takiego kredytu, jak niemcy, bo nie znają tak kraju, ani ludzi.

Po chwili dodał:

— Ot, na coby należało przedewszystkiem zwrócić uwagę, z czego przed innemi skorzystać, co jest łatwiejsze do odrobienia od wielu innych rzeczy: niemcy, skorzystawszy z niezaradności i braku inicjatywy tutejszego kupiectwa, zeskamotowali pośrednictwo w paru gałęziach naszego handlu.

— A mianowicie?

— Mianowicie, handel naszem własnem drzewem prowadzą domy niemieckie w Toruniu, a zagarnęły one wielkie obszary działalności; to samo, choć na mniejszą już skalę, dzieje się z naszym handlem węgla, który leży w rękach wielkich kupców w Katowicach. To są rzeczy anormalne i dlatego powinnoby się na to w pierwszym rzędzie zwrócić uwagę—i energję.

Nie mamy jeszcze maszyn.

Jako produkty bardziej od innych niezastąpione uchodzą maszyny niemieckie. Zwróciłem się po informacje w tym względzie do jednego z wybitnych inżynierów naszych:

— W istocie maszyny niemieckie osiągnęły bardzo znaczny stopień doskonałości. Niemcy oddawna już ubiegli na tem polu Anglję, ojczyznę maszyny, co się dowodnie okazało na kilku ostatnich wielkich wystawach wszechświatowych, jak np. chicagoska i paryzka. I nie mogło być inaczej. Tryumf niemców nad anglikami—to tryumf nauki nad praktyką niewolniczą, zwycięztwo postępu nad rutyną. Anglicy trzymają się ciągle metod raz zdobytych, gdy tymczasem niemcy ciągle pracują i w teorji. Ich politechniki są znakomitemi zakładami, które dostarczają masy ludzi doskonale przygotowanych. Niemieccy inżynierowie zdobywają świat poprostu i jeżeli znajdują gdzie konkurentów i rywali, to może w konstruktorach amerykańskich, którzy mają moc inwencji i inicjatywy, i jeszcze mniej może przywiązania do rutyny, aniżeli niemcy. W każdym razie niemiecka maszyna stoi dziś bardzo wysoko i chwalić ją—jest to oddawać jej czystą sprawiedliwość.

— Mówią ludzie o zastąpieniu maszyn niemieckich francuzkiemi?

— Francuzka maszyna ma swoje wielkie zalety niewątpliwie, ale ze stanowiska technicznego należy powiedzieć, że jest to maszyna do pewnego stopnia specjalna, która wymaga bardzo delikatnego obchodzenia się. Jest to czasem prawdziwe cacko—jako elegancja kształtów i lekkość wymiarów. Ale też żeby nią władać, potrzeba mieć lekką i delikatną rękę francuzkiego robotnika. My musimy posługiwać się maszynami cięższemi i wytrzymalszemi na ewentualne wypadki, boć robotnikowi naszemu daleko do kultury ogólnej i technicznej robotnika francuzkiego.

— Czy maszyny niemieckie są po za konkurencją i pod względem ceny?

— Tego nie powiem. Owszem, maszyny niemieckie są dość drogie, żeby nie powiedzieć bardzo drogie. Jest to w znacznej mierze skutkiem braku solidności tutejszego kupiectwa, gdzie uczciwy człowiek musi płacić za niesumiennego klijenta, aby wyrównać producentowi rachunek. Jednakże za drogie pieniądze mamy dobry towar, a w tych warunkach ostatecznie można egzystować jeszcze.

— Co pan inżynier sądzi o możliwości i o korzystności zerwania z maszynami niemieckiemi?

— Co ja o tem sądzę? Sądzę, że jest w tej sprawie swojego rodzaju *circulus vitiosus*. Maszyna niemiecka nie jest, jak każda maszyna zresztą, przedmiotem bezpośredniej konsumpcji. Maszynę kupuje fabrykant, który przy jej pomocy wyrabia ten czy inny towar. Przypuśćmy, że tym towarem będą guziki. Aby te guziki były dobre, i trwałe, i tanie,—aby więc posiadały zalety, które im ułatwią drogi zbytu—muszą być produkowane na porządnych maszynach. Przypuśćmy, że fabrykant kupi przez patrjotyzm, przejąwszy się feljetonami naszych gazet, maszynę krajową, nie stojącą na wysokości niemieckiej maszyny. Będzie w takim razie produkował guziki, które w żadnym razie nie będą mogły wytrzymać konkurencji z guzikami niemieckiemi. A więc wydaje się to rzeczą jasną, jak słońce, że polski fabrykant, chcący zwycięzko walczyć z konkurencją guzików niemieckich, musi koniecznie posługiwać się dobremi maszynami niemieckiemi. Wszak prawda? Ale nie dość na tem. Nikt nie umie tak doskonale przyrządzać pewnych spławów, jak niemieccy fabrykanci; np. mosiądz niemiecki posiada bardzo wysokie zalety: topliwości, plastyczności, połysku i t. d. A więc polski fabrykant guzików nietylko musi posługiwać się niemieckiemi maszynami, ale jeszcze używać niemieckiego mosiądzu, aby módz zwalczać niemiecki import guzików. Wziąłem tu przykład pierwszy lepszy, poprostu, aby łatwo i obrazowo przedstawić pewną znamienną sprzeczność, jaka mieści się w haśle: zerwijmy z niemcami. Sądzę jednak, że ten jeden przykład wystarczy na to, aby pokazać ludziom łatwowiernym, jaka to jest skomplikowana sprawa—sprawa stosunków międzynarodowych handlowo-przemysłowych—i że się jej jednym okrzykiem nie rozwiąże.

— Więc niema sposobu wyzwolić się od niemieckiej wytwórczości?

— Jest—przecież sam go panu w powyższym przykładzie wskazałem: używając niemieckiego mosiądzu i niemieckich sztanc, można wyrugować z kraju niemieckie guziki. Przecież to już zwycięztwo, to już krok naprzód. A na drodze przemysłowej należy iść naprzód małemi właśnie krokami. Zresztą, aby rozwinąć odpowiednio własny przemysł, musimy wyrobić sobie ludzi. Dotychczas prawie żeśmy nie mieli wcale szkół fachowych, a dziś mamy ich minimalnie mało. Brakuje nam specjalistów na wszystkich stopniach przemysłowej hierarchji: dyrektorów, konstruktorów, werkmajstrów, podmajstrzych, robotników. Przecież to dopiero parę lat, jak mamy politechnikę, kilka, jak korzystamy ze szkoły Wawelberga i Rotwanda. Dotychczas nasi inżynierowie, mając prawa do służby państwowej, przenosili posadę rządową nad stanowisko prywatne, i nic dziwnego: i wynagrodzenie dobre, i fatygi mniej, i żadnego ryzyka, żadnej obawy o powodzenie przedsiębiorstwa, i mundur, i ranga, i emerytura. Państwo rozwijało się szybko i dawało łatwo miejsca wychowańcom tych paru wyższych zakładów technicznych, jakie istniały. Dziś przybyło sporo nowych—ale i to początek. To samo, co z wyższemi, było i ze średniemi zakładami. Potrzeba szkół handlowych i technicznych dopiero w ostatnich paru latach uświadomiła się w decydujących sferach. Należy więc cierpliwie czekać, aż przyjdą nowi ludzie w odpowiedniej liczbie. I to dosyć narazie, że idziemy ku lepszemu. To zaś jest faktem, nie ulegającym wątpliwości. Zamiast więc doradzać jakieś gwałtowne środki, które, oprócz wzajemnego rozdrażnienia, innego praktycznego rezultatu przynieść nie mogą, należy raczej propagować skupienie się i przygotowanie do przyszłych zapasów w powadze, spokoju—i przedewszystkiem cichości.

— Czy jednak nie uważa pan, że to obudzone poczucie obowiązku popierania własnego przemysłu jest dobrą szkołą dla naszej publiczności?

— Cóż, kiedy ono właśnie może być złą szkołą dla naszych kupców. Wogóle świat kupiecki, i u nas i gdzieindziej, nie posiada czystości kryształu. Podrabiania i fałszerstwa różnego rodzaju są na porządku dziennym. Jeżeli publiczność nasza żądać będzie towarów krajowych, których albo niema wcale, albo są, ale złe i drogie, to ostatecznie nauczymy tylko kupców naszych—podrabiać etykiety. To zaś jest złem i niebezpiecznem z paru względów. Najprzód poniża bardziej jeszcze stan moralny kupiectwa, co się w jakiś sposób musi odbić i na kupiectwie naszem i na całem społeczeństwie, bo niema przyczyn bez skutków. A powtóre, zamiast złe wykorzenić, osłania go tylko przed wzrokiem ludzkim. Jeżeli zaś jest coś złego, to dla poprawy koniecznem jest, aby wiedziano, że to zło egzystuje i w jakich rozmiarach egzystuje. Ostatecznie więc ja mam bardzo poważne wątpliwości, czy ten nacisk, jaki na kupców czynić będą klijenci, żądając towarów krajowych, bądź co bądź, nie wyda zgoła odmiennych owoców od tych, jakich się spodziewano.

Zkąd sprowadzać maszyny?

Istnieją całe gałęzie przemysłu, w których u nas nic zgoła się nie zrobiło dotychczas. Jedna taka gałąź, to maszyny drukarskie, litograficzne, introligatorskie. Te to już absolutnie musimy sprowadzać zkądkolwiek, bo sami nic w tym zakresie nie produkujemy. W tym względzie społeczne zadanie naszego handlu brzmiałoby: zkąd sprowadzać te maszyny, jeżeli nie z Niemiec?

Po objaśnienia udałem się do najpoważniejszego przedstawiciela handlu maszynami i przyborami drukarskiemi:

— Ja już robiłem dwie próby, aby uwolnić się od monopolu niemieckiego. Najprzód próbowaliśmy sami robić pewne rzeczy z danego zakresu, tu, w Warszawie. Próby to były poważne, bom i kapitał włożył odpowiedni, i postarałem się o specjalistów. I ostatecznie trzeba było zaniechać fabrykacji, bo, pomimo cła i pomimo tańszego robotnika, nie byliśmy w stanie produkować równie tanio, jak przemysłowcy niemieccy.

— I zamknęliście fabrykę?

— Musieliśmy. Podobne próby czyniono także i w Petersburgu i w Moskwie, które tem mniej się tam udały, że nie mieli oni, jak my, wykwalifikowanych zawodowców.

— A druga próba?

— Tę uczyniłem z musu niejako. Podczas wojny celnej w r. 1891, udałem się do Wiednia i nawiązałem stosunki z tamtejszymi fabrykantami. Znalazłem tam wielką gotowość i poczyniłem znaczne obstalunki. Ale na tem się też skończył stosunek, bo te obstalunki nie zostały nigdy wykonane. Fabryki wiedeńskie nie były w stanie dostarczyć zapotrzebowań mnie jednemu. Trwało to bez końca, tymczasem wojna celna minęła, stosunki z Niemcami nawiązały się nanowo na podstawie jakiejś możliwej taryfy—no i to trwa do dnia dzisiejszego.

— Jakże fabrykanci niemieccy zachowywali się podczas wojny celnej? Czy bardzo szło im o nasz rynek?

— Jak im szło o to i do jakich ofiar okazali się skłonnymi, aby rynek ten utrzymać, dowodzi fakt, że uczynili mi propozycję ponoszenia przez nich połowy różnicy cła, tak że tylko druga połowa ciężaru spadała na mnie i moich klijentów. Jest to w każdym razie duże i rozumne ocenienie sytuacji, wielka energja i solidarność. Niemcy właśnie stoją tu umiejętnością zastosowania się do nas; żaden inny fabrykant nie okaże nigdy tyle cierpliwości i wyrozumiałości co niemiec, przyzwyczajony do tego siedmdziesięcioletniemi stosunkami z nami. Połowa naszych kupców, jeżeli nie trzy czwarte, są złymi płatnikami. Ileż to razy się zdarza, że fabrykant dostanie towaru na trzymiesięczny kredyt, potem przyśle wojażera po sześciu miesiącach i ten wiezie z sobą jeszcze nie gotówkę, ale nowy weksel. Ba! gdybyśmy to mieli odpowiednią siłę płatniczą, gdybyśmy operowali za gotówkę, wtedy bylibyśmy panami położenia, moglibyśmy dyktować prawa. Ale my jesteśmy chu-

deusze—nie przystoi nam wygrażać pięściami, bo to tylko jest śmieszne.

— Wracając jednak do maszyn drukarskich, czy to jest zupełną niemożliwością zastąpienie niemieckich maszyn rotacyjnych słynnemi choćby wyrobami francuzkiemi Marinoniego?

— Były już próby wprowadzenia maszyn Marinoniego do nas, ale się nie udały, głównie dlatego, że nie mamy dość wykształconych robotników, aby z tak delikatnym wyrobem się obchodzić, ani dość wykwalifikowanych rzemieślników, aby módz je reparować w razie zepsucia. Zresztą przemysł drukarski francuzki i angielski zaczyna się już posługiwać maszynami niemieckiemi.

Tu pokazał mi katalog maszyn drukarskich pewnej firmy augsburskiej, w którym zanotowaną była każda maszyna, sprzedana gdziekolwiek—i istotnie w katalogu tym znalazłem parę dziesiątków maszyn, sprzedanych drukarniom francuzkim wogóle i paryzkim w szczególności. Podobnież nie brakło i maszyn niemieckich, sprzedanych do Anglji i do Londynu.

— W tym więc zakresie nie oswobodzimy się od niemieckich wyrobów?

— Mowy o tem być nie może!

Niemieckie książki są niezbędne.

W szeregu opinij, wypowiedzianych w sprawie nas zajmującej, na uwagę zasługuje jedna, przez śmiałość swoją, głosząca mianowicie, że my możemy doskonale się obejść bez niemieckich naukowych książek.

Zapytałem jednego z uczonych naszych, co o tem myśli.

— Ten, co to twierdzi, z pewnością nigdy nie dotknął się prawdziwej naukowej pracy; gdyby sam spróbował pracować samodzielnie na jakiemkolwiek poważnem polu naukowej pracy, przekonałby się, że to, co wygłosił, jest prostą herezją wobec nauki. Dziś żaden naród nie może iść w porównanie z niemieckim pod względem ilości naukowej produkcji. A niema wrogów, coby im tego nie przyznali. I co stanowi siłę niemieckiej nauki, to idealna organizacja wszystkich składowych części, a jednocześnie różniczkowanie, idące jak najdalej tylko można i zcałkowanie w jeden, trzymający się kupy system. Uniwersytety, politechniki, akademje, podręczniki, pisma naukowe, stowarzyszenia naukowe—wszystko stanowi niejako jedną, bardzo wydoskonaloną maszynę, służącą do produkcji naukowej wiedzy. Niech tylko powstanie jakaś gałąź nauki, jak powstały w ostatnich prawie czasach taka elektro-chemja, albo chemja fizykalna, natychmiast pewna firma księgarska robi sobie z danej gałęzi specjalność, opłaca piszących podręczniki, wydaje dzieła i w parę lat puszcza nowe wydania, obejmujące ostatnie nowości i wynalazki. Te książki są może drogie, jak na nasze stosunki, gdzie prawa autorskie nie istnieją, tłómaczy się więc wszystko — za małe pieniądze; ale francuzkie książki równie są drogie, jak niemieckie, a angielskie trzy do pięciu razy droższe. Mówią, że jest dużo tandety wśród wydawnictw niemieckich. Prawda, jest jej niemało. Ale to rzecz konieczna tam, gdzie i na tem polu konkurencja jest potężna. Jednak specjalista łatwo się w tym materjale zorjentuje, zwłaszcza przy pomocy krytyki naukowej, która jest w Niemczech bardzo stanowcza i bezwzględna. Ci ludzie jednak tak wiele czynią na każdem naukowem polu, tak tam wre gorączkowa praca, tak każdy dzień niemal coś nowego przynosi, że nie wyobrażam sobie, aby specjalista poważny mógł obejść się u nas bez jednego choćby odnośnego wydawnictwa niemieckiego. Niektóre zaś «Centralblatty» stanęły na tak wysokim stopniu użyteczności, że bez nich uczony tak samo nie może się obejść, jak astronom bez lunety, a histolog bez mikroskopu. Najskuteczniejszy sposób walczenia z niemcami, mojem zdaniem, jest to — uczyć się od nich.

Varsoviensis.

Warszawa.

KOŁA POLSKIE W BERLINIE.

W N-rze 45 «Kraju» r. z. zamieściliśmy list jednego z wybitniejszych ziemian w Poznańskiem p. t. «O reformę Koła», który wywołał dużą polemikę w prasie poznańskiej. Obecnie od tegoż autora otrzymujemy drugi list, na temat bardzo aktualny: czy dobrze wypełniają swe obowiązki posłowie polscy obu kół, parlamentarnego i sejmowego? Drukujemy bez zmiany ten list, który autor nazwał «Nowym przyczynkiem do charakterystyki polskich kół poselskich w Berlinie».

Szanowny Redaktorze!

Gdy przed kilku miesiącami «Kurjer Poznański» i wasz «Kraj» zarzucił kołom polskim opieszałość w pełnieniu obowiązków, podniosła się na całej linji bojowej wrzawa wielka. Jeden po drugim z dotkniętych począł wyliczać swe zasługi i prace i dowodzić, że więcej pracować, jak Koła pracują, jest niepodobnem. Jeden z szermierzy uciekł nawet aż do Szwajcarji, aby ztamtąd ciskać gromy: jedni mówią, ze względów batalistycznych, aby z oddalenia tem celniejsze miotać pociski, inni, że ze względów pedagogicznych, aby szwajcarów, którzy celują w dojeniu krów, pouczyć, jak się doi krowa popularności. W zapale swoim przeoczył nawet, gdzie się znajduje, i zamiast z nad jeziora czterech kantonów, rzucał gromy z Kantonu czterech jezior. Ale o to mniejsza, bo jest rzeczą wiadomą, że do pełnienia godnego obowiązków posła w Berlinie nauka geografji jest zupełnie niepotrzebną. Większą może rację mieli ci, którzy twierdzili, że do przelewania wody z pustego w próżne nie potrzeba historycznego jeziora, że na to pierwszy lepszy żabiniec polskiej wioski wystarczy; ale i ta uwaga jest prostym wynikiem zawiści tych, którzy hołdują zasadzie: *ôte toi de là, que je m'y mette.* Jest to jedyny argument, który obrońcy Kół na osłabienie argumentów przeciwników znaleźli, bo rzeczywiście przypuszczenie, że ktoś bez osobistych pobudek, li dla dobra sprawy, miałby podnosić tak nieprzyjemną dyskusję, byłoby zbyt naiwnem.

A przecież ci panowie są naiwni. Dowodem tego korespondencja z Berlina, pomieszczona w «Dzienniku Poznańskim», w N-rze 36 r. b. Korespondent, widocznie członek Koła, donosi o nowym zamachu na nasze dzielnice hr. Arnima, który żąda zwolnienia od stempla majoratów niemieckich, tworzących się na wschodzie, dla tem lepszego poparcia niemczyzny. W dyskusji nad tym przedmiotem polacy milczeli. Dlaczego?

„W tych dźwięków wszechpogodzie brak jednego dziś imienia"—

powiedziećby można z autorem «Przedświtu». Wszakże powinni byli sobie powiedzieć: *res nostra agitur*, polska debata bez polaków? Sam korespondent daje wytłómaczenie tej zagadki, kończąc list swój takiem klasycznem wyznaniem:

„W dyskusji nad powyższym tematem nie mógł brać udziału reprezentant polski, będąc w tym samym czasie zajęty jako referent pocztowy na posiedzeniu *Koła parlamentarnego*".

Jakto? Koło urządza sobie posiedzenia właśnie w tym samym czasie, w którym przeciwnicy na polskie dzielnice nową broń kują? Referent polski nie może być na posterunku, jak tego najelementarniejszy obowiązek wymaga, bo Koło właśnie w tej chwili uważa za stosowne uprzątnąć się z zajęciem, aby potem mieć czas wolny na liczne rozrywki stołeczne. Posiedzenia Koła nie można odłożyć, boby to zepsuło program dnia — w czasie tak rozkosznym, jak mięsopust — i dlatego urządza się je równocześnie z toczeniem się najżywotniejszych kwestyj, najgroźniejszych zamachów na społeczeństwo, na ów *lud*, który się wiecznie ma na ustach, a któremu ułatwienie tworzenia majoratów niemieckich wśród nas jeszcze więcej ziemi z pod stóp wysuwa nawieki. Rzecz sama jest głęboko smutną, ale to naiwne wyznanie, dowodzące zaniku poczucia obowiązku, przyznajcie, że nie jest bez mocno humorystycznej przymieszki, zwłaszcza że pochodzi ze strony, która się najsilniej na czynione Kołom zarzuty oburzała. Każdy wtajemniczony wie, niestety, że to tak zawsze bywa, zna te dorywcze posiedzenia Koła między dwoma dzwonkami, owe prędkie przepytlowanie najważniejszych spraw, byle sobie zapewnić wolny wieczór; ale takie naiwne wypaplanie arkanów szkolnych jest jedynem w swoim rodzaju, przynosi zaszczyt korespondentowi, chociaż, powtarzam, dowodzi, że nie widzi jasno, co jest godziwem, co nie. Sam przeciwnik przyznaje, jak wielką rację miał «Kraj», podnosząc głos w sprawie reorganizacji Kół, oraz jak wielką rację miał nieboszczyk biskup warmiński, mówiąc:

„Przestańcie być posłami, bo się źle bawicie:
Dla was mandat igraszką, nam chodzi o życie".

X. Y. Z.

NA OBCZYŹNIE.

Z życia polaków w Stanach Zjednoczonych.

Dziesiąta niemal część całej ludności polskiej mieszka w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Co dziesiąty z pośród nas przepłynął Ocean i osiadł w «nowym kraju» na zawsze lub na dłuższy pobyt. Osady polskie rozsiane są po całym obszarze Stanów, ale dwie potężne organizacje ujęły te luźne ogniwa w zwarty łańcuch, ujednostajniając warunki ich umysłowego i narodowego życia.

Rozproszeni na olbrzymich przestrzeniach wychodźcy nasi skupiają się wszędzie około polskich szkół i kościołów, które wznieśli własnemi rękami. Parafja polska staje się dla nich na obczyźnie pierwszym społecznym węzłem. Związani parafją, przestają być luźną gromadą, a stają się grupą, świadomą wspólnych potrzeb i celów, które zaspokoić i osiągnąć należy wspólnemi siłami. Parafja buduje gmachy, utrzymuje nauczycieli i księży, krząta się około najpilniejszych potrzeb, zresztą żyje miejscowem życiem, jako zgubiona w morzu amerykańskiem jednostka. Ale przy parafji, za przykładem amerykańskim, powstają różne stowarzyszenia. Pierwszym ich celem jest przyczynić się, wedle sił, do wspaniałości służby Bożej. Sprawiają sobie piękne mundury, by w dzień uroczysty otoczyć lśniącym orszakiem proboszcza. Uczą się dąć w trąby i śpiewać na głosy, by wystąpić w wielkie święto okazale. Po nabożeństwie pomyśleć się godzi o zabawie, a na trąbach nietylko pieśń nabożną wygrać można, ale i coś skocznego; uczone głosy zaśpiewać umieją i krakowiaka. Tuż opodal znajduje się szkoła, a w niej obszerna sala. Organizują się zabawy, przedstawienia, wycieczki. Towarzystw jest kilka, a między niemi wytwarza się współzawodnictwo. Czem «Towarzystwo Jana Sobieskiego» przyćmić może «rycerzy św. Kazimierza»? Niech przystąpi do «związku narodowego» i za skromną wkładkę zapewni swym członkom ubezpieczenie na wypadek choroby, a znaczniejszą sumę w razie śmierci ojca rodziny. Dobra myśl, ale i «rycerze» nie pozostają w tyle i przystępują do «zjednoczenia polsko-katolickiego», które te same korzyści daje swym członkom.

Czemu ci przystąpili do «Związku», a ci do «Zjednoczenia»? Czasem rozstrzygnęła wada proboszcza, namowa nauczyciela, lub artykuł dziennika, czasem przypadek. Jakikolwiek był powód, skutki okazują się niebawem. Każdy członek «Związku» otrzymuje co tydzień jego organ «Zgodę», a każdy członek «Zjednoczenia» organ tegoż—«Naród Polski». Z pism tych dowiadują się różnych rzeczy ciekawych i pożytecznych. Dowiadują się, co się dzieje w «starym kraju», do którego większość wychodźców nie powróci nigdy i powrócić nie chce: «Bo i jakie było tam życie! Pożal się Boże!» Dowiadują się dalej, że oni, to małe Towarzystwo parafjalne, są jedną z paruset grup, z których składa się wielkie polskie Towarzystwo, mające zarząd z siedzibą w Chicago; że i oni co dwa lata wybrać powinni swego delegata na walny sejm całego Towarzystwa, przed którym zarząd zda sprawę i rachunki; że na tym sejmie wybierać będą nowy zarząd i uchwalać prawidła, obowiązujące dziesiątki tysięcy rodaków, rozproszonych po całych Stanach. I przestają oni być osamotnieni i odosobnieni: są cząstką wielkiego i żywego organizmu. Ale z pism tych dowiadują się i czegoś więcej: «związkowiec» czyta czasem w swym organie ze zdziwieniem, że radcy ze «Zjednoczenia» to «ciemni wstecznicy» i «kropidlarze». «Ciemny wstecznik» nie przemawia do ich wyobraźni, ale «kropidlarz», to można zawołać tym pyszałkowatym «rycerzom św. Kazimierza», gdy się ich spotka na ulicy! «Niedowiarki boże!» «heretyki!»—odpowiadają «rycerze». Oni to także wyczytali w gazecie i nie bardzo im się to zmieściło w głowie, bo przecie widzieli, jak «heretyki» chodzą do spowiedzi, znają ich zresztą oddawna (jeszcze ze «starego kraju!»); ale skoro oni wymyślają im od «kropidlarzy»...

I tak powstało nietylko wspólne życie publiczne dla wszystkich wychodźców, ale i rozpadło się na dwa odłamy. W wychodźcach, którzy przed kilkoma laty wiedzieli tylko, że istnieją panowie, chłopi i żydzi, wytwarza się stronnictwo narodowo-demokratyczne i katolicko-zachowawcze.

Do którego z nich przyłączyć się mają opieszali, którzy do żadnego dotąd nie należą? do którego — nowi przybysze i młódź dorastająca? Na czele Zjednoczenia stoją wypróbowani wodzowie, księża, co kierowali budową kościoła i szkoły. «Związkiem» kierują rozbitki inteligencji ze «starego kraju», na których wychodźcy patrzą podejrzliwie: «W starym kraju i patrzeć na nas nie chcieli, a tu przywlekli się, by się z naszego chleba pożywić!» A jednak! Chłop nasz przeobraził się w «nowym kraju». To nie ten sam człowiek, którego znaliśmy dobrze z tej strony Atlantyku. Odżywił się i porósł w pierze. Nabrał pewności siebie i fantazji. Ufa w swe siły i jest przedsiębiorczy i śmiały. W świecących mundurach, przy dźwiękach kapeli, kroczy hucznym pochodem przez ulice miasta, rozprawia na *meetingach* o polityce, rwie się do władzy i zasiada nieraz na ławie rajców krociowego miasta. Nie łatwo mu zaimponować. Urzędnik ubiega się o jego głosy, on sam urzędników wybiera; urzędnikiem może być i Kuba i Michał, a jak się źle będą sprawowali, to wybierze innych. Sam kandydat na prezydenta Stanów przed nimi czapkował! Z licznych wielkości, którym pokornie kłaniał się w «starym kraju», pozostała tylko jedna, ale na tę niema rady! Ks. proboszcz. Może ślubu odmówić, może od konfesjonału odprawić, może wyrzucić z kościoła. I apelacji niema żadnej. Cóż ztąd, że wychodźcy wznieśli sami kościół i plebanję, i że oni wyłącznie utrzymują i kościół i księdza ze swej krwawicy? Kościół zapisany jako własność biskupa; proboszcz, przez biskupa mianowany, jest w nim panem samowładnym. A proboszczowie są różni. Bywają prawdziwi kierownicy ludu, dbający o jego dusze i ziemskie potrzeby, nawet i zabawy. Bywają i tacy, których ta nieznana w Stanach wszechwładza oszołomiła: opływający w dostatki dumni oligarchowie. I na takich niema rady. Wychodźca ma rezon i fantazję, ale wobec proboszcza fantazja ta i rezon kruszeje i niknie; tylko wobec niego jednego. Słucha go więc pokornie, ale sarka w duchu. Razi go ta dysproporcja między tą nieograniczoną władzą a resztą publicznego życia, w którem zasmakował. W kościele i na plebanji cierpieć ją musi (o ile rozgoryczenie nie pchnie go do założenia parafji «niezależnej»), ale po za tem woli iść do Związku, gdzie się nie spotka z żadnem nieprzełamanem *sic volo* i i mieć będzie do czynienia tylko z równymi. Zresztą ci panowie ze Związku mówić umieją równie przystępnie, a potoczyście i ciepło, piszą zaś tak gładko! Swoją drogą, jak proboszcz dobry, to go słuchać warto, a jak zły, to z nim zadzierać ciężko...

I szale wpływów dwóch wielkich organizacyj polskich w Stanach wahają się nieustannie; obecnie «Związek» z 30 tysiącami członków jest górą. Rozstrzygnie o zwycięztwie młode dopiero pokolenie, wzrosłe już w Ameryce, które, o ile się nie wynaradawia, stanowi żywioł bardzo zdrowy: do samodzielności włożone i samodzielność w innych cenić umiejące, pokolenie to daje zwłaszcza księży, odczuwających lepiej i cieplej potrzeby wychodźców i rozumiejących, co ich boli i drażni.

Dziesiąta część całej ludności polskiej mieszka w Stanach Zjednoczonych, po całym ich obszarze rozsiane są polskie osady, osady dostatnie i tętniące życiem, które ześrodkowuje się w dwóch potężnych organizacjach. Objawy tego życia spisuje w stu tysiącach co najmniej egzemplarzy dziennikarstwo polsko-amerykańskie. A co my wiemy o tem życiu? Wychodźcy piszą do rodziny tylko listy, nie do dzienników, a jak czasem do dziennika napiszą, to wywodzą zaściankowe skargi lub drukiem załatwiać chcą osobiste niesnaski. My zaś czytać pism polsko-amerykańskich nie umiemy. Gubimy się w tych luźnych wiadomościach o posiedzeniach, sejmach, obchodach, przedstawieniach i krewkich utarczkach na słowa. Przyczepić tych wieści nie umiemy do tego polskiego chłopa, którego znaliśmy przecież dobrze i widzieli go jeszcze niedawno, gdy wybierał się za morze.

Przejrzałem pisma polsko-amerykańskie z ostatnich paru miesięcy, a co tam znalazłem, niebawem treściwie na tem miejscu opowiem.

Wierzbięta.

MOWA POSŁA CHRZANOWSKIEGO.

Odpowiadając na antypolskie wycieczki ministra wojny jen. Gösslera i posła liberalnego hr. Orioli w parlamencie niemieckim, poseł polski Bernard Chrzanowski odpowiedział 18 lutego ciętem przemówieniem, które zakończył tak:

«Pan minister wojny użył nietylko wyrazu «agitator», lecz «polski agitator». O tej polskiej agitacji mówił także p. hr. Oriola. I cóż to rozumie się przez «polską agitację»? My rozumiemy przez to prawo ludu polskiego do wolnego rozwoju, do utrzymania narodowości. P. hr. Oriola zdaje się rozumieć przez to coś innego: odpadanie ludności polskiej od państwa pruskiego, podszczuwanie

ludności polskiej. Jeżeli chodzi o taką agitację polską, to mogę powiedzieć zupełnie otwarcie, gdzie się znajduje jej siedziba. Siedzibą tej agitacji jest *Berlin*, rozporządzenia rządu pruskiego wobec ludności polskiej.

«Robotnik, któremu dyrekcja kolejowa zabrania mówić z jemu równymi po polsku; robotnik, który przyszedł do swego towarzystwa i dowiaduje się, że—wbrew wyrokowi wyższego trybunału administracyjnego—nie wolno mu mówić po polsku; chłop polski, który dowiaduje się, że mu nie wolno nabywać włości od komisji kolonizacyjnej, chłop polski, któremu nie sprzedają gospodarstwa rentowego i który w gazetach niemieckich czyta, iż dąży się do tego, by go wogóle wykluczyć od nabywania ziemi; rzemieślnik polski, który widzi, że się sprowadza w Poznańskie niemieckiego rzemieślnika, który chce mu odebrać klijentelę; polski rzemieślnik, który widzi, że niemieckim towarzystwom wolno pod gołem niebem odbywać zebrania i urządzać pochody z muzyką, a polskim towarzystwom to jest wzbronione; kupiec polski, który widzi, że się zakłada niemieckie domy towarowe, aby mu zrobić konkurencję, który słyszy, że władze wojskowe zakazują żołnierzom kupować u niego; wszyscy ci ludzie, polscy robotnicy, wieśniacy, rzemieślnicy, kupcy zamieniają się wskutek owych przepisów w agitatorów.

«Razy, jakie rozdziela rząd pruski, są bolesne, ale przez te przepisy z setek powstają tysiące agitatorów. A tę agitację popierają mowy od stołu ministerjalnego, jakie wygłosili ministrowie: von der Recke, Bosse, Rheinbaben, Miquel! To są uczniowie wielkiego mistrza, ks. Bismarka, który był największym *agitatorem polskim*. Jedna z gazet polskich na Szlązku pisała kiedyś o tem, że lud polski na Szlązku właściwie powinienby wystawić pomnik ks. Bismarkowi, ponieważ on tam rozbudził poczucie narodowe. To jest prawdą. Słyszę, że podobno ma się wznieść Bismarkowi pomnik także w Poznaniu. To dobrze! Niechże tam stoi, jako strażnik, aby nie zasnęło polskie poczucie narodowe w Poznaniu!

«Zwracam się tu jeszcze do pana posła hr. Orioli. Powiedział on wśród swych wywodów następujące zdanie: «jeżeli nie chcecie wywędrować, to musicie trzymać z nami». To orzeczenie zmusza mnie do ostrej odpowiedzi. My nie jesteśmy przybyszami. My tego kraju, w którym mieszkamy, nie zdobyliśmy za pomocą wojny, myśmy nie przywłaszczyli sobie tego kraju przemocą, nie posuwamy się od tysiąca lat ze wschodu na zachód i nie zabieramy, jednego po drugim, kawałków ziemi innym narodom, lecz znajdujemy się od tysiąca lat u siebie w domu, na naszej glebie, i mogę tutaj odwrócić słowa hr. Orioli tylko w tym kierunku: «Jeżeli nie chcecie wywędrować, to postępujcie uczciwie z ludem, do którego ziemi wtargnęliście!» P. hr. Oriola nie pochodzi ze wschodu, mieszka w Hesji i dlatego nie mogę mu udzielić rady, by wywędrował. Ale może posiadać na wschodzie znajomych i przyjaciół i może agitować w tym kierunku, może założyć Towarzystwo, aby ci ludzie spakowali swoje manatki i pociągnęli na zachód».

WYPRAWA POD WAWEL.

Sprawozdanie p. Gridienia z pobytu w Krakowie.

Niejaki «profesor Gridień» spisuje w feljetonie «Now. Wr.» wrażenia ze swojego pobytu w Krakowie. Feljeton ma tytuł: «Pod białym orłem». Przy błądzeniu po zaułkach krakowskich, p. Gridień, napotykając wszędzie pamiątki zamierzchłej przeszłości, pomyślał sobie, że pod tym względem Kraków daje wrażenia bardziej jednolite, niż osławiona ze swojej historyczności Praga czeska, lub Eger Wallenstejnowski.

Zabłąkał się autor i do sali bibljoteki Jagiellońskiej przy uniwersytecie, podziwiając jej starożytność. W bibljotece p. Gridień spotkał studenta, który przedstawił mu się, jako Stryjkowski, i podjął się go oprowadzać po Krakowie. P. Gridień chętnie przyjął usługi młodziana, który przez swój skromny ubiór—bluzę sukienną z rzemieniem i ciemny o szerokich skrzydłach kapelusz, raczej przypominał mu rosyjskiego studenta z czasów minionych, niż któregoś ze studentów krakowskich, zazwyczaj «przybranych w modne surduty paryzkiego kroju i noszących lśniąco-białe kołnierzyki».

Ow Stryjkowski—według korespondenta—okazał się synem niezamożnego dzierżawcy z gub. kowieńskiej; w uniwersytecie petersburskim doszedł do trzeciego kursu, a do Krakowa przybył w celu «rozstrzygnięcia dla siebie samego kwestji narodowościowej».

Zaznajomił on p. Gridienia z innym studentem, Gąsiorowskim i z dwiema córkami b. właściciela ziemskiego z gub. płockiej, obecnie pannami z magazynu, Wandą i Anielą. W tem towarzystwie zwiedzał autor miasto, wstępował do kościoła, gdzie uderzyły go mocno czerwone materje, zaciągające wszystkie ściany kościoła, oraz ołtarz, zasypany czerwonemi różami i gałązkami jaśminu. Jedna z panien zwróciła jego uwagę na to, że «w kościele powinno go przejąć uczucie święte, gdyż te czerwone tkaniny są krwią polskiego narodu, przelaną za wiarę i ojczyznę. To wielki symbol, nad którym płacze nieszczęsna Polska!»

Wogóle p. Gridienia prześladowały na każdym kroku te objawy podrażnienia narodowego. Gdy jechano na kopiec Kościuszki, panna Wanda zwróciła uwagę na piękne desenie czerwonych kwiatków na polach. Gęsiorowski przypomniał, że istnieje legenda, która twierdzi, iż te piękne kwiaty zawdzięczają bujność swoją przelewowi krwi podczas bitew na tych polach. P. Gridień tak opisuje rozmowę na ten temat:

—„Piękna legenda — zawołała entuzjastycznie Wanda—te czerwone kwiatki są kroplami naszej krwi, zmienionej w kwiaty.

— Naszej ludzkiej?—spytał Stryjkowski.

— Nie, naszej polskiej—z pewną ostrością odrzekła Wanda.

— A te białe z czyjejż krwi powstały? pytał nieubłagany sceptyk — czy z pruskiej?

— Krew nieczysta nie może przeobrazić się w kwiaty—z przekonaniem odpowiedziała Aniela, oczekując potwierdzenia z ust siostry...“

W czasie jazdy potrącono temat stosunku polaków do Rosji, i obie panny rozminęły się mocno w zdaniach ze Stryjkowskim. Niezadowolona z jego poglądów Wanda odezwała się z przekąsem, że miłość dla ojczyzny jest podniosłem uczuciem, którem obdarzyć może tylko urodzenie.

„Chcesz pani powiedzieć, że, jako plebejusz, nie mam uczuć szlachetnych—odparł Stryjkowski.—Nie uważam tego za obelgę, bo mówi to kobieta—ale kończąc tę rozmowę, zaznaczę, że kobieta wiele złego uczyniła Polsce.

„Nastąpiło przykre milczenie—pisze p. Gridień.—Twarz i oczy Wandy rozpaliły się. Aniela była bliską płaczu. Moje położenie było nader niezręczne. W duszy zgadzałem się zupełnie z poglądami Stryjkowskiego. Przez jego usta mówił rozum i pojmowanie prawdziwego stanu rzeczy, ale przeciwnicy mojego przyjaciela byli dotknięci w najlepszych swoich uczuciach, a przeto mówić przeciwko nim byłoby okrucieństwem“.

Na kopcu Kościuszkowskim p. Gridień i jego towarzystwo zerwali dla siebie po kwiatku na pamiątkę. Na powrotnej drodze do rozmowy wmieszał się dorożkarz, z którym Stryjkowski już wcześniej jął rozmawiać, nie bacząc na niezadowolenie swoich towarzyszek. Dorożkarz, jak się okazało, podzielał w zupełności przekonania Stryjkowskiego, i zatknąwszy bicz, a zwróciwszy się do jadących, formułował myśli swoje bardzo dosadnie:

„Trzeba wyrzec się tych dzikich zapędów. Dość krwi wypuścili już z nas wszelacy magnaci i szlachta“... „A kto jest głównem złem naszem, kto jątrzy nasze rany, kto szczuje nas, jak psów na przechodnie? to właśnie ludzie, zbijający kapitały i budujący domy na gruncie nienawiści narodowej, oraz kobiety, co w głowie mają mózgu mało, choć w sercu dużo uczucia“.

Gęsiorowski nakazał w obronie dam milczenie wymownemu dorożkarzowi krakowskiemu. P. Gridień po rozstaniu się ze swojemi towarzyszami, zdał sobie sprawę z tego, że «Giesiorowski i obie panny są przedstawicielami starej marzycielskiej Polski», a Stryjkowski ma być «typem odradzającej się Polski—stańczykiem». Z tego powodu autor informuje czytelników, że

„stańczycy poczęli działać już w siódmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia; idee ich rozwijali polacy rosyjscy, należący do najbardziej zdrowo myślącej partji, w ósmym i dziewiątym dziesiątku lat. Wszelako przyjąwszy najbardziej zasadniczą myśl stańczyków, warszawscy ich uczniowie zwrócili się groźnie przeciw swoim poprzednikom. Młoda rosyjska Polska oświadczyła się za demokratycznym i antyklerykalnym duchem, postawiła przed sobą cele kulturalne podniesienia ojczyzny i ogólno-ludzkiej wolności badań naukowych. Na tym gruncie przygotowywano możność przyszłej polsko-rosyjskiej ugody, której nawet ideę wyklęto za kordonem. Widocznie Stryjkowski należał do tej nowej partji ugodowej“.

Nazajutrz p. Gridień spełnił obowiązek pogodzenia Stryjkowskiego z Gąsiorowskim, którego panna Wanda podburzyła przeciw Stryjkowskiemu, jako wyznającemu niemiłe jej przekonania polityczne.

Oto wrażenia, wyniesione przez p. Gridienia z Krakowa. Wyznać trzeba, że p. Gridień spisał je spokojnie i bez nienawiści. Ale niemniej wyjść nie możemy z podziwu, że p. Gridień, mianujący się profesorem, nie spotkał w Krakowie ani redaktorów pism, ani posłów do parlamentu, ani profesorów wszechnicy. Student w bluzie, dwie poczciwe panienki sklepowe i dorożkarz z batem—oto mentorzy p. Gridienia. Ale ci mentorzy gadają tak, jak p. Gridieniowi potrzeba: student w bluzie potępia wybuchy uczucia narodowego, panny sklepowe ślepo wierzą w zbawienność modłów za poległych, dorożkarz apostrofuje przeciw kobietom. I dlatego psychologja uczuć polskich w oświetleniu p. Gridienia jest blada i raczej gabinetowa, niż naprawdę z życia wyjęta. Czytelnicy rosyjscy mogą sądzić, że p. Gridień wystawił istotne typy społeczeństwa krakowskiego, że wszyscy studenci, dorożkarze i panny są tacy, jak ich autor maluje. Ale czytelnik polski wie, że nie są to typy, podobnie jak nie jest typem rosyjskiego profesora sam p. Gridień, udający w Krakowie patrjotę polskiego i notujący egzaltowane wyrażenia sklepowych panien i studentów.

W BRAZYLJI.

Galicyjscy emigranci grupują się w Missiones w trzech kolonjach: najstarszej Apostoles, Azara i San-Jose część zaś (z Bukowiny) około Concepcion. Zrzadka wśród nich rozsiani są wychodźcy z Królestwa Polskiego, którzy przed laty emigrowali do Brazylji, a ztamtąd często pieszo przesiedlali się do Argentyny. Ogół osiedleńców — to rusini z mowy, obyczajów, stroju i wyznania. Nazywają ich tu polakami, lecz tych ostatnich jest wśród nich zaledwie 10—15 proc.

Korzystając z uprzejmości administratora tych kolonij, polaka p. J. Białostockiego, miałem sposobność dowiedzieć się wielu szczegółów. Chyba nikt inny lepiej ich nie zna, niż ten, który prowadzi metryki, daje śluby, sprawuje urząd sędziego pokoju, administruje, jak prawdziwy wielkorządca.

— Czy rząd argentyński—zagadnąłem—wiele stracił, że upadł projekt zjednoczenia długów Rzplitej? Stracił wszak fundusze na popieranie immigracji?

— Myli się pan. Rząd nie popiera immigracji, a przedewszystkiem sztucznie jej nie wywołuje.

— A narady ministra rolnictwa ze spółkami przewozowemi, a wolne przejazdy dla emigrantów galicyjskich, a tańsze przewożenie tychże przez «Norddeutscher Lloyd», a obiecanki, czynione agrarjuszom w kongresie przez tegoż ministra rolnictwa?

— To są pomysły prasy, albo spekulacja towarzystw przewozowych. Jedyna rzecz, którą rząd tutejszy uczynił, i źle zrobił—dodaje p. B.—było opłacanie, lub raczej kredytowanie wolnego przejazdu statkiem do Argentyny. Wiadomo panu, iż rząd narodowy daje kolonistom bydło robocze, zasiew i środki żywności przez czas pewien. Uwzględnia, że rodzina wiele wydała na przewóz z za morza. Płaci także włoskim tow. koszta przewozu, ale nie daje na miejscu tak przewiezionym immigrantom dalszych ulg.

— Więc rząd kredytuje koszta przewozu?

— Tak jest. Część rodziny, tu już zamieszkałej, wysyła bilet wolnej jazdy pozostałym w kraju członkom. Za ten bilet, podobnie jak za udzielaną żywność, kolonista, czyli «kolon», musi po 5-ciu latach spłacać rządowi ratami cały dług w ciągu lat dziesięciu. Bilety owe zresztą ważne są tylko do końca bieżącego grudnia. Są partje polityczne, które protestują przeciw sztucznemu podniecaniu immigracji. Socjaliści nawet w programie swoim punkt taki umieścili. Muszę raz jeszcze powtórzyć, że owe broszury, opisujące raj tutejszy i inne obiecanki, czynione są przez towarzystwa przewozowe, które wielkie korzyści ciągną z podróżnych. Przyznać także trzeba, iż koloniści tutejsi piszą często przesadne listy do kraju, i tem zwabiają znajomych lub krewnych.

— Czy taka immigracja potrwa jeszcze długo?

— Zmniejszy się, mojem zdaniem, gdyż wszystkim przybyłym po nowym 1902 roku rząd prócz ziemi, po 2 ft. za hektar, nic więcej nie da. Jak starannie unika rząd sztucznej agitacji, dowodzi taki fakt: zjawił się do Missiones pewien młodzian, któremu nawet dałem zatrudnienie. Ale gdyśmy się przekonali, że zachowanie się jego zdradza związek z jakiemś Tow. przewozowem niemieckiem, gubernator natychmiast wydalił go z całej prowincji Missiones.

— Które z powiatów galicyjskich dostarczają panu administratorowi najwięcej kolonistów?

— Powiat tłumacki i przyległe. Prawdopodobnie musi tam być nędza i zła administracja.

— Jak pan ocenia kolonistów galicyjskich?

— Są oni inteligentniejsi od francuzkich i niemieckich chłopów, których znam z poblizkich kolonij. Niesłusznie jedno z hakatystycznych pism doniosło, że koloniści polscy tylko piją i oglądają się na to, co rząd im daje. Sam gubernator, p. Lanusse, ceni wysoko polskich kolonistów. Podziwiał pierwszych tu osiadłych, i nie mógł zrozumieć, jak można z takim uporem i zaciętością brać się do pracy na roli, przy braku narzędzi i pierwszych potrzeb. Jako sędzia pokoju i zwierzchnik policji, winienem jednak przyznać, że koloniści nasi są to procesowicze. Prawują się, w rodzinie najczęściej, o byle co i tracą czas na «audjencje». Wypadki pijaństwa bez osobnej ustawy karzę surowo 4—10-dniowem zamknięciem, przez noc naturalnie tylko, bo w dzień pracować muszą w ogrodzie. Zresztą zachowanie się ich jest bez zarzutu.

— A rolnictwo?

— Istnieje tu plaga—mrówki. Niszczą one zbiory rolnika nieraz całkowicie. Jednak, naogół biorąc, chłopu wiedzie się tutaj bezwzględnie lepiej, niż w Galicji, i przy mniejszym nakładzie pracy. Znam kolonistów, którzy mają po 15—20 hektarów uprawianych i bydła po kilkanaście sztuk. Hiszpanie, czyli tak zw. «criollowie», osiadli tu po lat kilkanaście lub kilkadziesiąt, trudnią się tylko pasterstwem, sianiem tytoniu i mandioki. Potrzebne im są wielkie obszary dla bydła, pasącego się prawie w dzikim stanie bez pasterza. W miarę przybywania kolonistów i ziemi uprawnej, szukać muszą «criollowie» nowych sadyb. Sprzedają w dwójnasób drożej bydło i konie polskim kolonistom, ale są im niechętni. Wogóle zaś koloniści nasi są tu traktowani dobrze.

Kr.

Missiones (Argentyna).

KS. HENRYK PRUSKI

w Stanach Zjednoczonych.

Huk dział miesza się z dźwiękiem hymnu niemieckiego, który intonują uroczyście liczne orkiestry: armja kucharzy czyni przygotowania do olbrzymich bankietów, w których uczestnictwo po 50 rubli od osoby wynosi: zdwojone zastępy reporterów uwijają się wszędzie, niby mrówki; urzędowi i nieurzędowi krasomówcy uczą się gorączkowo na pamięć starannie wystylizowanych mów; tłum uliczny raduje się nadzieją niezwykłych widowisk. Co się stało? Demokratyczna rzeczpospolita amerykańska przyjmuje u siebie księcia pruskiego, brata potężnego monarchy europejskiego.

Hr. Bülowowi sprzykrzył się taniec solowy. Szuka tancerki za oceanem. W swaty wydelegowany został ks. Henryk. Kanclerz niemiecki rozumie, iż rodacy Barnuma byle czem olśnić się nie dadzą. Więc zorganizował wyprawę z troskliwością i zapobiegliwością, która dyrektorów agencji Cook'a musi wprowadzać w podziw. Wyjęto ze skarbca rodowe srebra Hohenzollernów. Otoczono dostojnego podróżnika błyskotliwą świtą. Jemu samemu przepisano, jakich ma strojów używać, by jednać sobie sympatje jankesów. Ks. Henryk ukaże się w mundurze pruskim tylko na oficjalnych przyjęciach, w których brać będzie udział prez. Roosevelt. Zresztą nakładać będzie demokratyczny frak lub tużurek, jak przystało demokratycznemu republikaninowi.

Tego wszakże mało. Hr. Bülow pamiętał, iż w dwudziestym wieku bez reklamy nie uda się żadne przedstawienie. Wezwano najzdolniejszych reporterów niemieckich, by towarzyszyli księciu na pokładzie «Kronprinza». Ofiarowano wy-

godną kajutę dyrektorowi znanej agencji telegraficznej Wolffa, by sam kierował redakcją depesz, które mają zwiastować światu tryumfalną wędrówkę księcia pruskiego przez Stany Zjednoczone. By uniknąć wszelkiego rozdźwięku, polecono przedstawicielom północno-amerykańskich kolonij niemieckich składać adresy i wygłaszać mowy powitalne wyłącznie w języku angielskim.

Tego wszystkiego mało jeszcze. Trzy lata temu, pod Manillą, gdy flota admirała Dewey'a niszczyła stare okręty hiszpańskie, mało brakowało, by między krzyżowcami amerykańskiemi a pancernikami niemieckiemi, którym przewodził książę Henryk, nie przyszło do krwawego zatargu. W Stanach Zjednoczonych panowało wówczas z tego powodu wielkie rozgoryczenie. Ogólne hasło brzmiało: *Run down Germany by all means!* Zgnębić Niemcy wszelkiemi środkami! I w całej Ameryce północnej z entuzjastyczną radością przyjęto ten ustęp mowy Dewey'a, wygłoszonej w 1898 roku w Trjeście, który brzmiał: *Our next war will be with Germany!* (Nasza najbliższa wojna będzie z Niemcami)!

Dewey zachował w Stanach popularność. Należało ułagodzić starego wilka morskiego. Ks. Henryk wystosował do niego wysoce uprzejmy, wprost zadziwiająco uprzejmy list, w którym wyraził nadzieję, iż ujrzy bohaterskiego admirała w New-Yorku. Dewey pozostał jednak wiernym dawnym uczuciom. W kwaśno-słodkim tonie—może raczej kwaśnym—odpowiedział, iż stan zdrowia nie pozwala mu opuścić południowego Nowego Orleanu. Próba nie powiodła się. Trzeba było zatrzeć jej ślady. Obwieszczono reporterom, iż cały list ks. Henryka został zmyślony.

Lecz wszystko to jeszcze nie wystarczało. P. Hamman, jeden z dygnitarzy niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych, wezwał do siebie, w imieniu hr. Bülowa, berlińskiego korespondenta wpływowego «New-York Journal'u» i wyraził mu oficjalną wdzięczność i uznanie za gorliwe reklamowanie obecnej wyprawy. Znów mała Canossa! Trzeba bowiem wiedzieć, iż «New-York Journal» do niedawna prowadził najostrzejszą kampanję przeciw niemcom. W tem to piśmie ukazał się ładny rysunek, przedstawiający wuja Sama, jak kładzie na kolano chłopca, który ma uosabiać «niemieckiego Michałka», i wznosi rózgę do góry, mówiąc: «Ty, jeśli nie będziesz się sprawował porządnie, spotka cię ten sam los, co Hiszpanję»! Tenże dziennik z szczególnem upodobaniem uprawiał karykatury cesarza Wilhelma, najczęściej bardzo obraźliwe. Obecnie «New-York Journal» cieszy się urzędowemi łaskami niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych.

Hr. Bülow wyraził się niedawno, czyniąc aluzję do znanej mowy Chamberlaina, iż cześć narodu niemieckiego jest granitem, który napróżno starają się ugryźć napastnicy zagraniczni. Zagraniczni? Dobrze. Cóż będzie wszakże z tą granitową godnością narodu niemieckiego, gdy jego polityczny kierownik sam o niej zapomina? Teraźniejszy *extra-tour* kanclerza nie budzi osobliwego szacunku dla niemieckiego «granitu».

Gdybyż przynajmniej skutki tego zajotnego wdzięczenia się mogły przynieść trwałe korzyści. Sojusz Niemców ze Stanami Zjednoczonemi? Trudno wierzyć w jego możliwość. Politycy amerykańscy nie lubią odstępować od zasady «drzwi otwartych». Współczesne przymierza mają wtedy istotną wartość, gdy opierają się nietylko na politycznych, ale i na ekonomicznych konjunkturach. Otóż na polu ekonomicznem interesy Niemiec i Stanów Zjednoczonych z trudnością dadzą się pogodzić. Przemysł niemiecki najgroźniejszego współzawodnika posiada w przemyśle amerykańskim. Zaś jeśli hr. Bülow «nie zna żartów» w sprawach narodowych, to *bussinessman* północno-amerykański tem mniej je lubi, gdy chodzi o jego kieszeń. Sojusz Niemców ze Stanami Zjednoczonemi? Nikt weń serjo nie wierzy. Hr. Bülowowi sprzykrzył się taniec solowy. Szuka tancerki za oceanem. Tancerka zatańczy z nim jeden *extra-tour* walca, wysłucha ozdobnych komplementów, pozwoli nawet może odprowadzić się do domu. U bramy pożegna się uprzejmie i drzwi zamknie na klucz. Tak bowiem każe postępować polityka «drzwi otwartych».

Gordon.

Berlin.

ŻYWIOŁ SEMICKI W POZNANIU.

Wiadomo, że żydzi w Poznaniu niemczą się łatwo i chętnie (każda regula naturalnie ma swoje wyjątki). Zniemczałych zresztą żydów czekają w Prusach nielada zaszczyty. Oto np. burmistrz poznański, p. *von* Witting, pochodzi z miejscowej rodziny żydowskiej, której odłamy dzisiaj jeszcze noszą nazwisko Wittkowskich. W dziennikarstwie berlińskiem, tak wrogo obecnie—po większej części—usposobionem dla polaków, nader wpływową rolę odgrywają żydzi wielkopolscy, którzy w ten sposób znajdują ujście dla swej gorliwości neofitów.

Interesującym wszakże objawem jest fakt, iż element żydowski nietylko w Poznaniu, ale i w okolicznej prowincji zmniejsza się nieustannie. Możnaby wywnioskować, że w miarę, jak ogół polski wzmaga się kulturalnie, ekonomicznie i społecznie, żywioł semicki ustępuje pola. Rozpatrzmy się tylko w statystyce samego miasta Poznania za ostatnie sześć dziesiątków lat:

Było tam:

	katolików	protestatów	żydów
W r. 1840 —	46 proc.	30 proc.	21 proc.
1870 —	51 »	36 »	13 »
1885 —	58 »	34 »	10 »
1895 —	60 »	32 »	8 »
1900 —	63 »	31 »	5 »

Teraźniejsza ludność m. Poznania, wynosząca około 117 tys. mieszkańców, składa się pod względem wyznaniowym z 73,710 katolików, 37 tys. protestantów i 5,990 żydów. W liczbie katolików mieści się około 4 tys. niemców, pozostała reszta—blizko 70 tys.—to polacy z krwi i kości.

Jeśli jednak element żydowski w Poznaniu zmniejsza się stale, to jednak majątkiem swym nie przestaje wywierać znacznego wpływu na sprawy miasta. Na 60 członków rady miejskiej żydzi rozporządzają 27 głosami, niemcy 22, polacy 11. Jak widzimy, stosunek dalekim jest od normalnego.

W Izbie handlowej okręgu poznańskiego, liczącej 38 członków, zasiada tylko 3 polaków, a mniej więcej 25 żydów.

Pochodzi to ztąd, że kupcy-polacy nie dość skwapliwie zapisują się do rejestru sądowo-handlowego. W deputacji miejskiej dla ubogich, rozdającej zapomogi dla biednych rodzin, główną rolę odgrywają żydzi...

Pomimo, że liczba żydów w ziemiach polskich, należących do państwa pruskiego, wciąż maleje, jest ich jednak w W. Ks. Poznańskiem znacznie więcej, niż w innych prowincjach Rzeszy. Ostatni spis ludności (1 grudnia 1900 r.) wykazał, iż na 56 miljonów ludności cesarstwa niemieckiego przypadało 573 tys. żydów (czyli około 1 proc.). Tymczasem w W. Ks. Poznańskiem procent ten wynosi 2½ proc. Prawda, że w Berlinie i Hamburgu stosunek ten jest jeszcze wyższy, wytłómaczyć go można wszakże niezwykłym rozwojem handlowym tych środowisk.

Charakterystyczną jest okoliczność, że jedynie w samem mieście Poznaniu żydzi czują mocniejszy grunt pod nogami, prawdopodobnie również ze względów czysto handlowych. Prowincja zwolna, ale stale ich wypiera, tak, jak zdrowy organizm wyrzuca z siebie niepotrzebną materję. Przyczyniły się do tego w znacznym stopniu banki i spółki ekonomiczne ludowe. W takim Śremie np. liczba żydów, wynosząca jeszcze przed kilku laty 1,300 głów, spadła obecnie do 600.

Ogólna cyfra żydów, zamieszkujących W. Ks. Poznańskie, wynosiła z końcem 1900 r. 38 tys. na 1,888 tys. mieszkańców. Z tej liczby 6 tys. przypada na samo miasto Poznań. Wobec tego Poznań dziś jeszcze posiada największy w całych Niemczech, procent ludności bo 5,2 proc. żydowskiej.

Prost.

W PRZELOCIE.

„Salon" polski.

Rzecz dzieje się na wystawie krakowskiego „Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych". Osoby: artysta-malarz, znany i uznany, i natrętny dziennikarz, znany dobrze... piszącemu te słowa. Dziennikarz, zaczepiając artystę:

— Czy to prawda, że panowie urządzacie „Salon"?

— Urządzamy.

— „Salon" krakowski?

— Krakowski o tyle, że pomysł i inicjatywa jest z Krakowa rodem, zresztą—warszawsko-krakowsko-lwowski.

— Ależ to przedsiębiorstwo na wielką skalę!

— To wcale nie jest przedsiębiorstwo. My dajemy inicjatywę, *jury* i obrazy, a resztę—Towarzystwa „przyjaciół" czy „zachęty" w Warszawie, Lwowie i Krakowie, i rzecz skończona.

— Ja bo nie widzę początku...

— Schodzi się z końcem. Rzecz prosta: żądamy od tych trzech towarzystw po dwa miesiące gościny dla śmietanki tego, co w ostatnim roku wytworzył ogół artystów polskich. To sześć miesięcy. Przez drugie pół roku wystawa nasza może wędrować po świecie. A na rok następny *da capo*... I po wszystkiemu.

— Śmietankę tę zbierać będzie *jury*...

— Złożone z delegatów artystów warszawskich, lwowskich i krakowskich. Są jeszcze o to spory, ale prawdopodobnie na tem się skończy. Całe powodzenie „Salonu" zależeć będzie od *jury*: musi być surowe, a nie jednostronne. To cała tajemnica.

— Jeszcze jedno. Czy to prawda, czy plotka, że panowie chcecie zmonopolizować w swych rękach polskie wystawy? Zrobić coś w rodzaju artystycznego *trustu*?

— Mam wszelką nadzieję, że to okaże się plotką. Myśl żądania od tych trzech towarzystw, by nie przyjmowały żadnej innej polskiej wystawy zbiorowej, jest przedewszystkiem dla tych towarzystw uciążliwa. Nasza wystawa potrwa dwa miesiące; i mamy zagważdżać resztę roku! Powtóre takie szykanowanie innych, bronienie się z góry przed współzawodnictwem nie jest artystyczne: *c'est mesquin!* Albo nasz „Salon" będzie rzeczywistem odzwierciedleniem wytwórczości artystycznej polskiej—wtedy te szykany niepotrzebne; albo niem nie będzie—a wówczas byłyby szkodliwe. Zresztą, jeśli chcemy, by *jury* było surowe, to niewolno nam pozbawiać przyszłe jego ofiary możności zbiorowego zaapelowania od jego wyroków. Niema *jury* nieomylnego. Wszystkie niemal chluby malarstwa francuzkiego wyrzucane były latami z „Salonu". Zdobyły sobie uznanie, bo po za „Salonem" mogły się dać poznać ogółowi. I my mielibyśmy rozmyślnie pozbawiać naszych artystów możności takiego odwetu! I dlaczego?

Witraże na Wawelu.

Czapka nasunięta na oczy, ciemne szkła na nosie, ręce w kieszeniach—p. Feliks Jasieński pędzi przez krakowskie planty. Natrętny dziennikarz chwyta go za rękaw.

— Dokąd tak nagle? Czy na Wawel... szturmem?

— Pan chyba najmniej masz prawa żartować sobie z naszego protestu przeciw niemieckim witrażom w katedrze; pan sam na to dzwoniłeś.

— Więc w nagrodę proszę o parę szczegółów.

— Protest podpisało kilkunastu profesorów uniwersytetu, wszyscy profesorowie Akademji sztuk pięknych, najwybitniejsi nasi artyści i t. d., a telegraficznie przyłączyli się dziś artyści lwowscy, tamtejsze Koło literacko-artystyczne...

— To wszystko czytałem. Ale niech mi pan powie: dużo z tem było zachodu?

— Juścić, samo się to nie zrobiło, trzeba było za tem podreptać. Ale trudno było patrzeć na to spokojnie, jak na Wawel...

— Wiem. I podpisywano chętnie?

— Tyle panu powiem: byli tacy, co odmawiali podpisu na proteście, bądźto ze względów osobistych, bądź taktycznych: nie uważali tej drogi za właściwą. Ale nie spotkałem nikogo, ktoby stanowczo nie potępiał sprowadzania niemieckich fabrycznych witraży na ozdobę...

— Wiem.

— Całą opinję mamy za sobą.

— Prócz tego jej organu, co roztropnie całą sprawę zamilczał.

— I jeszcze jednego, lwowskiego pisma, które w zasadzie przyznaje nam słuszność, karci jednak za protest, bo on zaszkodzić może zdrowiu ks. kardynała! Toby było doprawdy przednie, gdyby ci, na których ciążył obowiązek strzeżenia artystycznej i pamiątkowej strony odnowy katedry wawelskiej, wmówili w ks. kardynała, że to on powinien się czuć dotkniętym protestem! Już napisałem o tem artykuł, jutro się ukaże.

— W każdym razie, takie postawienie sprawy, tam gdzie chodzi o zagadnienia artystyczne: „albo Wawel, albo zdrowie", jest conajmniej oryginalne. Panie! mam myśl genjalną: niechby to pismo lwowskie opatentowało ten swój wynalazek i sprzedawało go za drogi pieniądz prezesom gabinetów! Wystarczyłoby im potem zawołać z trybuny parlamentarnej: „Nie krytykujcie mię, bo się rozchoruję!" — i praca prawodawcza szłaby, jak z płatka.

Ale p. Jasieński już nie słuchał i pędził dalej plantami. Jego wszyscy prezesi gabinetów i parlamenty nic nie obchodzą. Sroży się tylko na widok artystycznej herezji.

Ż.

ECHA ZACHODNIE.

RZYM, 10 lutego.

(Wewnętrzne położenie Włoch. Dwa kongresy rolników: w Bolonji i w Ferrarze. Agitacja. Ludowcy włoscy. Z Watykanu. Kongres historyczny. Ristori.

△ Sprawa agrarna nabiera we Włoszech coraz większej wagi i bardziej zaprząta umysły ludzi, niż zagadnienie, czy w r. 1903 potrójne przymierze będzie odnowione, czy też jego miejsce zajmie inna kombinacja polityczna. Na gruncie włoskim, gdzie życie społeczne jest bujne, gdzie namiętnie się ścierają wielkie zagadnienia, czujemy już podmuch i parcie prądów nowoczesnych.

Wiemy już, że król w mowie tronowej, przy otwarciu w końcu lutego nowej sesji parlamentu, zapowie dalsze reformy społeczne, dalsze ulgi dla klas uboższych: ustanowienie biura pracy, wydanie prawa o umowach rolnych, o opiece kobiet i dzieci w fabrykach i... obcięcie listy cywilnej, która za Wiktora-Emanuela II wynosiła 18 milj. lirów, a na przyszłość ma wynosić 12 miljonów. Że lista cywilna króla jest tak wysoką, pochodzi ztąd, iż korona utrzymywać musi pałace, wille, parki, przeszło dwa tuziny rezydencyj, należących niegdyś do wywłaszczonych książąt. Jeżeli więc dom królewski odstąpi je państwu z wyjątkiem kilku najważniejszych, król będzie mógł zrzec się kilku miljonów dotacji rocznej, ale na to potrzeba osobnego prawa, które uchwalą parlament i senat.

Pod hasłem zmów organizują się nietylko robotnicy fabryczni, ale i rolni. Kto tu dzisiaj zmów nie urządza? tramwajowcy, kolejarze, urzędnicy prywatni, włościanie. To też i więksi właściciele ziemscy, zagrożeni w interesach, zjechali na kongres, aby się zorganizować i obmyślić obronę.

Przed dwoma miesiącami (23 listopada) mieliśmy kongres chłopski w Bolonji, oczywiście pod kierownictwem socjalistów rewolucyjnych i potrochu także i republikanów medjolańskich, którzy kierowali obradami.

Był to objaw specyficznie włoski, gdyż dotąd teorja Marksa nie miała wyznawców wśród chłopów; obecnie zaś około 150 tys. włościan (związanych w 704 ligi) wysłało delegatów na kongres, aby wywalczyć sobie lepsze warunki w umowach rolnych, zwiększenie zarobków, utworzenie własnej reprezentacji prawnej i wreszcie zorganizowanie socjalistycznej władzy opiekuńczej, któraby pośredniczyła między robotnikami rolnymi a właścicielami dóbr ziemskich. Kongres powziął też stosowne uchwały.

W odpowiedzi na to, przed kilku dniami odbył się w Ferrarze pierwszy tego rodzaju kongres większych właścicieli ziemskich w liczbie około 2 tys. osób. Nie mówiono tam o polityce, ale za to obmyślano sposoby, aby środkami spokojnemi rozstrzygnąć wielkie zadanie dni dzisiejszych, tem bardziej palące, że rolnictwo we Włoszech, jak i gdzieindziej, nie spoczywa na różach, pomimo cła ochronnego w wysokości 7½ lirów od stu kilogramów pszenicy.

Burmistrz Ferrary w mowie powitalnej zaznaczył różnicę między zmowami ściśle ekonomicznemi a temi, które są wynikiem «walki klas» i mają na widoku przewrót społeczny. Członkowie kongresu zażądali gwarancyj, aby w przeddzień żniw robotnicy nie zrywali umów i nie sprzeciwiali się sprowadzaniu robotników z innych okolic; kongres oświadczył się za utworzeniem wielkiego związku właścicieli rolnych, któryby przeciwdziałał ligom chłopskim i organizacji socjalistycznej. W tym celu uznano za niezbędne, aby umowy z robotnikami wolno było zawierać na papierze zwyczajnym, nie stemplowym, aby ustanowiono polubowne «sądy pracy», złożone z trzech osób: pełnomocnika robotników, pełnomocnika właścicieli i superarbitra. Kongres uznał także za pożądane, aby państwo uznało prawnie ligi chłopskie i stowarzyszenia właścicieli większych.

Są to wszystko skutki pośrednie agitacji socjalistycznej, idącej niemal już ławą. Obecnie socjaliści pracują nad tem, żeby nagle służba kolejowa na wszystkich linjach włoskich jednocześnie zawiesiła pracę. Widmo tej wielkiej zmowy kolejowej, któraby miała fatalne skutki dla kraju, jeszcze nie znikło, choć rząd zapowiedział, że pod żadnym warunkiem nie dopuści do zmowy i dlatego targuje się teraz z towarzystwami kolejowemi, aby wszelkie możliwe ulepszenia uzyskać, dopóki kiedyś państwo nie wykupi kolei.

Tymczasem tutejsi ludowcy katoliccy ponieśli stanowczą porażkę. Uważali się oni za przeciwwagę socjalizmu rewolucyjnego, rozwinęli się w wielkie stronnictwo «demokratów chrześcjańskich». Obecnie kard. sekretarz stanu Rampolla wysłał cyrkularz do biskupów włoskich, którym zniósł autonomję, że się tak wyrażę, tutejszych ludowców, boć tylko o *włoskich* mu chodziło. Pod pewnym względem byli oni niewątpliwie niedogodni Watykanowi, bo mieli w programie wejście katolików do życia politycznego włoskiego i przyjęcie dzisiejszego *status quo*. Teraz więc, jeśli nie chcą odpaść od kościoła, muszą oni wejść pod zarząd wielkiego stowarzyszenia katolickiego «Dzieła kongresów», pozostającego pod władzą biskupów. Rozporządzenie kard. Rampolli było niezbędnem, jeśli nie miała wkraść się anarchja do obozu katolickiego i narazić stanowisko Głowy Kościoła.

Watykan, jak dotąd, nie zamierza wysłać przedstawiciela na koronację Edwarda VII, najprzód dlatego, że król angielski nie zawiadomił Watykanu o wstąpieniu na tron, a potem z powodu obelżywej dla katolicyzmu formuły wyznaniowej, którą król przy koronacji wygłasza. Pertraktacje, jak dotąd, spełzły na niczem.

Międzynarodowy kongres historyczny zbierze się w Rzymie w d. 21 kwietnia i potrwa 8 dni. Będzie na nim kilkunastu polaków.—Uroczystości z powodu ośmdziesięciolecia Adelajdy Ristori wypadły świetnie, zwłaszcza przedstawienie w teatrze Valle. Pomiędzy telegramami był jeden od artystów sceny warszawskiej, na który Ristori osobiście odpowie.

Weryha.

BERLIN, 23 lutego.

(Wystąpienie posła Chrzanowskiego przeciw ministrowi wojny w parlamencie Rzeszy. Mowa Mizerskiego w sejmiej.

△ W ubiegłym tygodniu po raz pierwszy na mównicę parlamentarną wstąpił

poseł Bernard Chrzanowski. Jest to najmłodszy z posłów wielkopolskich—«wiekiem i urzędem»—albowiem w zeszłym roku dopiero Poznań powierzył mu przedstawicielstwo swych interesów. P. Chrzanowski cieszy się szczególnem zaufaniem warstw demokratyczno-ludowych; sympatję i uznanie posiada we wszystkich stronnictwach. Umysł wszechstronnie wykształcony, serce szlachetne i gorące, dusza artystyczna i niezwykle subtelna. Jego wykłady literackie w Towarzystwie im. Mickiewicza ściągają zawsze tłumy publiczności. Dzielna obrona akademików poznańskich zjednała mu miłość młodzieży. Mandat poselski przyjął nie dla zadowolenia ambicji, lecz z poczucia obowiązków obywatelskich. Zapałem, odwagą i gotowością do walki budzi niekiedy lęk wśród weteranów parlamentarnych Koła polskiego, którzy nawykli—według przysłowia francuzkiego—«dolewać wody do wina». Można-ż się dziwić, iż w tych warunkach zjawienie się p. Chrz. na mównicy wywarło duże wrażenie?

Rozprawy toczyły się nad etatem wojskowym. P. Chrzanowski podniósł fakt, iż duch waśni, podsycany i pielęgnowany w Prusach, rozszerzył się obecnie i na armję niemiecką. Jednym z dowodów jest rozporządzenie władz wojskowych, którego mocą przeciw 15 opornym dzieciom wprowadza się do Wrześni dwa bataljony. P. Chrzanowski zwrócił uwagę ministra wojny, że w armji coraz więcej się rozpowszechnia zwyczaj wygłaszania mów. Teraz perorują już nietylko jenerałowie, ale nawet kapitanowie, a mowy ich dowodzą, iż kontrole i stawki landwerzystów uważane są poniekąd za filje stowarzyszenia do popierania niemczyzny.

«Tacy mówcy nie są dżentelmanami»—oświadczył poseł Chrzanowski i napiętnował surowo prześladowania, jakich doznają żołnierze polscy, wierni tradycjom narodowym, oraz niesprawiedliwe i niezgodne z duchem prawa postępowanie władz wojskowych z akademikami polskimi, wmieszanymi w proces poznański, którym odmówiono prawa do służby jednorocznej.

P. Gossler, minister wojny, niezmiernie oburzył się na śmiałość posła polskiego, który odważył się powiedzieć o oficerze pruskim, «iż nie jest dżentelmanem», i który mianował postępowanie władz wojskowych—«szerzeniem zarazy pruskiej». Oburzenie ministra udzieliło się po nie wczasie marszałkowi Ballestremowi, który obudził się z wygodnej drzemki w fotelu prezydjalnym i ofiarował «uciśnionym» junkrom musztardę po obiedzie: przywołał p. Chrzanowskiego do porządku.

Na tem wszakże nie miało się skończyć. Obrońcy pruskiej ojczyzny nie mogli nawet w ciągu nocy strawić ostrych słów posła Chrzanowskiego. Ciosy były zbyt celnie wymierzone. Nazajutrz powstał gwałtownie przeciw młodemu posłowi poznańskiemu narodowo-liberalny hr. Oriola, zarzucając mu, iż usiłował podburzać przeciw pruskiej administracji wojskowej.—«Jeśli kapitanowie wzywają żołnierzy «polskiego języka», aby byli dobrymi prusakami, to spełniają tylko swój obowiązek. Przecież i panowie — tu natchniony Oriola zwrócił się w stronę ław polskich,—przecież i panowie uważacie się za prusaków».

Na to posłowie polscy odpowiedzieli zgodnym chórem:—«Nieprawda!«—«A ja wam mówię — rzucił się z gniewem narodowo-liberalny hrabia—że jesteście prusakami». — «Jak pan jesteś chińczykiem!» —brzmiała replika.

Lecz wystąpienie niefortunnego Orioli zasługiwało na odprawę. Dał ją znów poseł Chrzanowski, tym razem już lepiej otrzaskany z mównicą i zupełnie swobodny. Wygłosił zwykłą, ale tak dosadną pod względem treści i formy mowę, że nawet dzienniki niemieckie nazwały ją *«temperamentvoll»*. Pewną wesołość w parlamencie obudziło wyjaśnienie Chrzanowskiego pod adresem hr. Orioli, który nie wiedział o istnieniu obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej:

«Mogę pana ministra wojny zapewnić, że polacy, pełniąc swą służbę wojskową, w sercu swem nie przestaną pielęgnować ideału innej ojczyzny, nie-pruskiej; a młodzież polska nie przestanie—żeby użyć wyrażenia hr. Orioli—żywić «mrzonek». Młodzież jest młodzieżą, jako taka, musi być radykalną w swych uczuciach i zapatrywaniach. Hr. Oriola z oburzeniem mówił o tem, że pewien obraz Matki Boskiej połączony był z polskim herbem. Otóż chodzi tu o obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Jeżeli hr. Oriola chce mówić o stosunkach polskich, radziłbym mu lepiej się zapoznać z historją polską. Wtedy wiedziałby, że Matka Boska Częstochowska od wieków ma uznany przez papiezką bullę tytuł Królowej Korony Polskiej, więc ani hr. Oriola, ani parlament niemiecki nie mają prawa detronizowania Matki Boskiej Częstochowskiej».

Tak śmiały i silny głos nie mógł minąć bez wrażenia. W ostatnich czasach niemcy przywykli do «polskich skarg», ale nie do polskich oskarżeń. Nagle spotkali się z przeciwnikiem, który nietylko podejmuje ciśniętą rękawicę, lecz sam atakuje z ogniem. Odważne wystąpienie posła Chrzanowskiego, nawet w ostrożnem Kole polskiem wywołało lekki popłoch. Czcigodny prezes Koła, Ferdynand ks. Radziwił już w czwartek pośpieszył «dolać do wina wody», i to wody ocukrzonej. Objaśnił parlament, że «ironicznych wywodów p. Chrzanowskiego nie trzeba brać dosłownie». Możnaby z tego wnosić, iż parlamentarni weterani Koła nie byli zupełnie zadowoleni ze szczerego i odważnego wystąpienia młodego posła poznańskiego. Jeśliby między nimi i p. Chrzanowskim istniał w tym wypadku jakiś rozdźwięk, to z pewnością nie istniał on między Chrzanowskim a ogromną większością społeczności wielkopolskiej, która oba przemówienia trybuna poznańskiego przyjęła z gorącem uznaniem i radością, iż tak dzielnego obrońcę czci narodowej—gdy więcej dziś trudno obronić—w nim znalazła.

W sejmie pruskim, podczas rozpraw nad budżetem ministerstwa sprawiedliwości, zabrał głos poseł Mizerski, piętnując wprowadzenie polityki do sądownictwa i stosowanie różnej miary wobec dziennikarzy polskich a niemieckich, z ujmą dla prawdziwej sprawiedliwości. P. radca Mizerski, który w wolnych od zajęć parlamentarnych chwilach, tworzy poematy, rozmiarami nie ustępujące «Panu Tadeuszowi», w krasomówczych wystąpieniach również szeroko lubi rozpościerać skrzydła. Z tego względu marszałek Kroecher musiał kilkakrotnie hamować jego ferwor. Omawiane przez posła Mizerskiego fakty rzuciły jasne światło na różnicę, jaka istnieje między dzisiejszymi sędziami pruskimi, czułymi na wszelki znak z góry, a owymi dawnymi stróżami sprawiedliwości, którzy nie wahali się pretensyj prostego młynarza z Poczdamu przeciw królowi uznać za słuszne.

Wywody te poparł później z właściwym mu animuszem poseł Leon Czarliński, dorzucając nowe, jeszcze jaskrawsze fakty. Przypomniał o sędzi ziemiańskim z Torunia, niejakim Technau, który podczas uroczystości z okazji urodzin cesarskich wygłosił ognistą mowę, zachęcającą niemców do walki z polakami. «Chciałbym panów zapytać—zwrócił się p. Czarliński do junkrów z prawicy—czy to nie bardzo zły sędzia, który odważa się na zebraniu publicznem podburzać jedną narodowość przeciw drugiej, który nawołuje, że czas już najwyższy pokazać polakom, kto jest panem w domu»?

Mówca zakończył życzeniem, iżby sędziowie pruscy okazywali niezawisłość nietylko wobec przełożonych, ale także wobec wszelkich wpływów politycznych.

Gordon.

BERLIN, 21 lutego.

[Aresztowania i rewizje].

△ Od dwóch lat z górą policja berlińska śledzi pilnie młodzież polską, kształcącą się w wyższych zakładach naukowych berlińskich. Można było sądzić, iż procesy, wytoczone akademikom polskim o rzekomą «zdradę stanu», pobudzą ich do większej ostrożności. Stało się inaczej. Napaści Schiemanna na narodowość polską spowodowały znane demonstracje w uniwersytecie berlińskim, skutkiem których dwunastu studentów zostało wydalonych. Motywy wyroków świadczyły, iż młodzież polska jest śledzoną ze zdwojoną gorliwością. Znając dokładnie osnowę tych wyroków, młodzież berlińska nie mogła o tem nie wiedzieć — nie mogła nie przewidzieć, iż władze pruskie czekają tylko pretekstu do dalszej akcji. Można było tedy znów i tembardziej się spodziewać, iż akademicy polscy nie zechcą pójść na lep w nastawione sidła. I znów stało się inaczej.

W ubiegłą sobotę odbywały się równocześnie dwa wieczorne zebrania polskiej młodzieży uniwersyteckiej: jedno w restauracji Raczkowskiej, drugie — w prywatnej jadłodajni studenckiej pani Mulkowskiej w Charlottenburgu. W pierwszem uczestniczyło 16 studentów, przeważnie pochodzących z W. Ks. Poznańskiego. Około godziny dziesiątej wieczorem nagle do lokalu wpadł oficer policyjny na czele hufca agentów, i rzucił się przedewszystkiem na papiery, rozłożone przed jednym z młodzieńców. Były to sprawozdania z antwerpskiego zjazdu młodzieży, o którem toczyła się koleżeńska pogawędka. Policja zabrała papiery, stwierdziła nazwiska obecnych studentów, —dwóch, którzy nie mogli się narazie wylegitymować, wzięto do urzędu, zkąd wszakże po skonstatowaniu osobistości wypuszczono ich zaraz.

W tymże samym czasie w lokalu p. Mulkowskiej zgromadziło się 27 studentów

(w tej liczbie dwie panie), pochodzących niemal wyłącznie ze stron dalszych. Tam również około g. 10 wieczorem wtargnął znacznie liczniejszy oddział policji z okrzykiem: *«Wir sind deutsche polizei!»* Oficer, będący na czele, trzymał podobno w ręku rewolwer.

Agenci policyjni otoczyli młodzież i, mimo protestów, wyprowadzili do oczekujących przed domem dorożek. Wszyscy uczestnicy zebrania zostali zawiezieni do gmachu prezydjum policji, gdzie przetrzymano ich przez noc w osobnych celach. Nazajutrz rano policja kolejno odstawiła ich do mieszkań i w mieszkaniach czyniła bardzo ścisłe rewizje. Podobno i tutaj policjanci grozili rewolwerami. Wszystkie podejrzane papiery zabrano.

Zdaje się tedy, że jesteśmy w przededniu nowego procesu przeciw młodzieży akademickiej. Czy policja berlińska zdołała tym razem wyszperać jakiekolwiek podstawy do wytoczenia takiego procesu? Prawdopodobnie — nie. Tem niemniej owe aresztowania, śledztwa i procesy są nader przykre. Jeśli rząd pruski tak usilnie się o nie stara, to nie czyni tego bez kozery. Hr. Bülow i jego poplecznicy znajdują w nich potrzebną broń do kampanji, którą przeciw narodowości polskiej podjęli. W Niemczech istnieje jeszcze uczciwa opinja, która nie dała się obałamucić hakatystycznemu obłędowi. Więc tę opinję trzeba przekonać, iż «niebezpieczeństwo polskie» istnieje, że «agitacja polska» się prowadzi. Argumentów dostarcza młodzież polska.

To jedna szkoda. Są jeszcze inne. Znów kilkunastu lub więcej studentów wydalonych zostanie z uniwersytetu. Studja ich zostaną przerwane, i w ogóle pobyt w wyższych zakładach naukowych niemieckich stanie się dla młodzieży polskiej utrudnionym.

«Goniec Wielkopolski» nazwał ostatnie aresztowania «walką o życie». Poznański «Orędownik» odpowiada: «Trzeba kolosalnej naiwności ze strony młodzieży, ażeby taką obławę przedstawiać jako «walkę o życie». To jest walka z *lekkomyślnością* młodzieży, i niech młodzież będzie pewna tego, że tak to, a nie inaczej, osądzi ogół naszego społeczeństwa».

I jak ta płonna politykomanja ujemnie działa na usposobienie młodzieży, dowodzi jeszcze fakt następujący. W parę dni po dokonanych aresztowaniach, wśród akademików berlińskich rozpowszechniło się przekonanie, iż zostali zdradzeni i zadenuncjowani przez jednego z kolegów. Posądzenie okazało się niegodziwą plotką.

Bart.

△ **Poznań.** Berliński „Vorwärts“ ogłasza ciekawy dokument. Jest to poufny okólnik naddyrektora poczt w Poznaniu, osławionego Koehlera, który nakazuje zbieranie wśród urzędników pocztowych składek na pomnik Bismarka w Poznaniu, bez wymienienia nazwisk ofiarodawców. Naturalnie, składki te płacić będą przedewszystkiem niżsi urzędnicy, a więc i ubodzy listonoszepolacy, którzy ciężko zapracowany grosz złożą na uczczenie „wielkiego męża“.

△ **Toruń.** Tutejszy sąd ziemiański rozpatrywał charakterystyczną sprawę prasową—i znamienny wyrok wydał. Prokuratorja oskarżyła naczelnego redaktora „Gazety Toruńskiej“, p. Brejskiego i wydawcę tegoż pisma, p. Buszczyńskiego, o podsuwanie osób bez dostatecznej kwalifikacji na redaktorów odpowiedzialnych. Motywem tego oskarżenia był zarzut, iż p. Brejski, chcąc uchylić się od kar sądowych, kazał podpisywać pismo innym osobom, zaś p. Buszczyński, wiedząc o tem, nie starał się temu przeszkodzić. Mimo, że wezwani na świadków dawniejsi redaktorowie odpowiedzialni „Gazety Toruńskiej“, pod przysięgą zeznali, że bez ich wiedzy i woli nigdy rękopisów do drukarni nie odsyłano, i że przysługiwało im prawo kreślenia i poprawiania rękopisów; pomimo wymownej obrony p. Szumana, który zbił wszystkie sofizmaty prokuratora, sąd skazał p. Brejskiego na miesiąc więzienia, a p. Buszczyńskiego na sto marek. Wyrok ten stanowi nader znaczący precedens: okazuje się, iż prokuratorowi przysługuje w państwie pruskiem prawo uznawania, czy ta lub owa osoba może sprawować obowiązki redaktora naczelnego. Jeszcze krok dalej, a władze pruskie będą chciały same mianować redaktorów pism, należących do osób prywatnych. Wyraźny ten zamach stanu na wolność prasy, którą zastrzega konstytucja, napiętnował z dzienników niemieckich tylko socjalistyczny „Vorwaerts“. Inne pisma przemilczały wypadek, ponieważ chodziło o organ... polski.

△ **Wiedeń.** Na posiedzeniu parlamentu 20 lutego rozegrała się gorsząca scena. Poseł klerykalno-ludowy, niemiecki gospodarz rolny Hagenhofer, rozpoczął mowę. Wtem znany miljoner Schoenerer, poseł „wszechniemiecki“ zawołał: „I pan twierdzisz, że bronisz interesów chłopskich? To oszustwo!“ Na to Hagenhofer: „Wyśpij się pan wpierw ze swego pijaństwa!“ Wszechniemcy wszczęli hałas, wołając do niego: „Jesteś psem, łajdakiem, drabem! Odwołaj, łotrze, coś powiedział!“ Czesi zasłaniają Hagenhofera, a poseł Horzica śpiewa: *Gummi arabicum, gummi elasticum!* Prezydent dzwoni. Ksiądz Treuinfels radzi Hagenhoferowi, aby odwołał swe słowa. Hagenhofer oświadcza uroczyście: „Ponieważ Schoenerer zapewnił wobec parlamentu, że dziś jest trzeźwy, przeto cofam moje wyrażenie“. Hałas ustaje.

Z MIAST I WSI.

WILNO, 10 lutego.

[Starania magistratu o utrzymanie w Wilnie sądów pokoju. Echa spraw bankowych. Obligacje «elektryczne». Układy berlińskiego Tow. gazowego z magistratem. Nowe spółki ekonomicznej.

□ Na styczniowem posiedzeniu Rada miejska zastanawiała się nad tem, czy należałoby starać się o utrzymanie nadal w Wilnie sądów pokoju wobec oczekiwanego wprowadzenia do gub. wileńskiej instytucji naczelników ziemskich i sędziów miejskich. W myśl ustawy nowej organizacji, przewidującej potrzebę zachowania sądów pokoju w miastach większych, tutejsza Rada miejska uchwaliła prosić o przyłączenie do liczby tych miast także i Wilna. Pobudki tej uchwały są następujące: Gród nasz obecnie liczy około 200 tys. mieszkańców, oddających się przeważnie drobnemu handlowi i żyjących wśród specjalnych warunków ekonomicznych. Otóż, według nowej ustawy, pierwszą instancją do sądzenia spraw miejskich będą sędziowie miejscy, drugą zaś, apelacyjną—zjazd powiatowy naczelników ziemskich, pod przewodnictwem osobno mianowanego członka sądu okręgowego. Ztąd redzi się obawa, że interesy drobnego przemysłu i handlu podlegałyby ostatecznej decyzji urzędu, którego członkowie nie zawsze mogą w dostatecznej mierze znać warunki ekonomiczne życia miejskiego, a nadto zjazdy byłyby nadmiernie przeciążone wskutek ześrodkowania w nich wszystkich interesów powiatowych i miejskich. Wileńskie sądy pokoju w r. 1873 rozpatrzyły spraw 6,400, zaś w r. 1900 liczba ich dosięgła cyfry 19 tys., wileński zjazd sędziów pokoju rozpatruje po 2,500 spraw rocznie.

Podczas debatów nad tą sprawą, jeden z ławników wyraził zdanie, iż niema szczególnej racji ubolewać nad zniesieniem sądów pokoju, gdyż my sędziów pokoju nie wybieramy, jak to bywa gdzieindziej. Powstała ztąd polemika dziennikarska, która jedną ze stron walczących doprowadziła do niespodzianego wniosku: oto owemu ławnikowi przypisano chęć zrobienia zamachu na istnienie żydów-adwokatów, którzy, w razie wprowadzenia reformy, straciliby grunt pod nogami... Autor tego zarzutu przeoczył jednak, że w tem samem położeniu znaleźliby się i adwokaci nie żydzi. Innego rodzaju polemika dziennikarska rozpala się coraz mocniej na szpaltach pism miejscowych z powodu banku. Pomimo wyczerpującego wyjaśnienia stanu rzeczy przez dyrektora Banku p. Kończę, spór nie przestaje toczyć się na temat: kto powinien decydować o sprawach akcjonarjuszów? Czy trzy osoby z 85 akcjami, czy też 112 osób z 10,790 akcjami? Na pomoc owym trzem przybywa «Minskij Listok», ogłaszając list «akcjonarjusza», który radzi jednemu z najwybitniejszych członków zarządu Banku ziemskiego usunąć się z powodu utraty zaufania... trzech oponentów.

Obligacje «elektryczne» Wilna (w postaci świadectw tymczasowych) ukazały się już na rynku pieniężnym, z kursem przeszło 94, i sprzedano ich w kilka dni na znaczną sumę. Gmach stacji elektrycznej już się wznosi nad Wilją na Śnipiszkach. Berlińskie Towarzystwo gazowe, którego rzecznik podstępem włączył do umowy z magistratem warunek wieczystego prawa wyrabiania gazu w Wilnie, o co się teraz toczy proces—przegrało sprawę w dwóch instancjach i zapewne przegra ją także w Senacie. Tymczasem teraz pełnomocnik Towarzystwa zwrócił się do zarządu miejskiego z propozycją układów: berlińczycy chcą już zrzec się swych praw wieczystych, ograniczając termin do lat 50 (wyrok sądowy upoważnia miasto zamknąć fabrykę natychmiast), a wzamian za to «ustępstwo», wymagają podniesienia ceny za gaz dla użytku prywatnego!

Prawie równocześnie zatwierdzono ustawy dwóch nowopowstałych spółek: Towarzystwa spożywczego rzemieślników i przemysłowców, oraz Towarzystwa pomocy wzajemnej pracowników prasy. Pierwsze jest wyłącznie złożone z chrześcjan, w drugiem jest chrześcjan zaledwie kilku. Istniejącym dwom dziennikom, które ledwo się trzymają, mają przybyć dwaj konkurenci, pp. Syrkin i Segal, którzy starają się o założenie jeszcze dwóch nowych pism codziennych.

A. R. Z.

□ **Z Połocka** piszą do nas: O wiorst 20 od miasta powiatowego Lepla leży majątek ziemski Woroń, należący od niepamiętnych czasów do zamożnej rodziny Sielawów. Ze śmiercią ś. p. P. Sielawiny, Woroń przeszedł do jedynego spadkobiercy, jej syna, który, niestety, nie poczytał sobie za obowiązek utrzymania w ręku ojcowizny, lecz sprzedał ją i fakt ten jest tem smutniejszy.

że w tymże Woroniu znajdowała się kaplica, w której dla potrzeb dworu i okolicznej szlachty od czasu do czasu księża z Lepla odprawiali nabożeństwo i udzielali Sakramentów św. Kaplica, okazała, murowana, stoi w ogrodzie wśród drzew wyniosłych i w miejscu uroczem. Wewnątrz bardzo starannie utrzymana, zaopatrzona była we wszystkie sprzęty i aparaty bardzo szczodrze przez dawną właścicielkę ś. p. Sielawinę i jej przodków. Między innemi przedmiotami znajdowały się w niej cyborjum ręcznie kute z bronzu posrebrzane i złocone, wysokie na 3 metry i 14 centm., szerokie na 2 metry, nadzwyczaj pięknej i artystycznej roboty, wywiezione przy kasacie oo. Jezuitów z ich kościoła w Połocku, oraz piękna monstrancja, kilka kielichów, kilkanaście bardzo bogatych ornatów, kap i dalmatyk. Dziś to wszystko, pomimo, iż było poświęconem i używanem do nabożeństw, p. Franciszek Sielawa, po sprzedaniu majątku, wywiózł z sobą i wystawił w Warszawie na sprzedaż o czem zamieszczono ogłoszenie w kurjerach. Powstaje naturalne pytanie, czy p. S. posiada prawo sprzedawania sprzętów uświęconych i czy bez wiedzy biskupiej mógł dokonać owej sprzedaży publicznej. Dziwna rzecz, iż dziekan lepelski nie poczynił starań przed władzą duchowną, by powstrzymać spustoszenie, boć to w jego dekanacie i parafji się stało. O kaplicy, jako urzędowo istniejącej, jest wzmianka i w dyrektorjum archidjecezji mohylowskiej za r. 1901 na 195 stronicy, więc też i skasowanie jej od człowieka prywatnego nie zależy. *Ks. P.*

KIJÓW, 10 lutego.

[Zjazd kontraktowy. Ofiary kryzysu. Bankructwa. Zakłady mechaniczne. Koncerty Sarassatego. Wybory. P. W. Wołkowiński].

☐ Zjazd kontraktowiczów zaledwie się rozpoczyna. W kawiarniach, restauracjach, ulubionych miejscach posiedzeń prywatnych, prawie pustki. Przy paru ledwie stolikach zasiadają przyjezdni. Na giełdzie natomiast wre już ruch i życie. Pokazały się pieniądze, jest kredyt, są nabywcy na akcje i papiery procentowe, podniosły się listy zastawne, więc i giełda odżyła. Że zaś interes «biega po ulicy», więc przez Kreszczatyk, pomiędzy ul. Instytucką a Mikołajewską, trudno się przecisnąć, zwłaszcza w tak zwanych godzinach biurowych, t. j. od dwunastej do trzeciej.

Jest nadzieja, że kryzys się skończył. Przedsiębiorstwa słabe, oparte na kredycie, żyjące nadzieją na przyszłość, upadły, ale natomiast interesy, mające trwalsze podwaliny, rutynę, klijentelę, zasoby, przetrwały ciężkie próby. Jakie są ofiary kryzysu? Zginęły najpierw dwie wielkie fortuny polskie: zbankrutował p. Sułatycki i Zaleski z Jasnohorodki, zbankrutowały dwie cukrownie: w Strychowcach i Stepańcach, zbankrutowało kilkanaście młynów. W Kijowie zachwiała się cała gałąź przemysłu, do niedawna rokująca jaknajświetniejsze nadzieje. Mówię o zakładach mechanicznych. Cukrownie, młyny, gorzelnie i tartaki Kraju południowo-zachodniego potrzebują maszyn, kotłów, aparatów. Dawniej sprowadzano je wyłącznie z zagranicy, a od lat dwudziestu powstały w Kijowie pierwsze warsztaty, które z każdym rokiem wzrastały. Tak stopniowo powstały w Kijowie zakłady mechaniczne, zatrudniające tysiące robotników i wyrabiające maszyn za miljony rubli.

Kryzys lat ostatnich zniszczył doszczętnie kilka zakładów i wyrzucił na bruk tysiące ślusarzy, kowali i t. d. Dwie fabryki: Tow. demijowskiego i braci Grutman zbankrutowały zupełnie, a ich maszyny sprzedano z licytacji. Nawet tak wielki zakład przemysłowy, jak fabryka Tow. południowo-ruskiego, zatrudniająca półtora tysiąca robotników i wyrabiająca maszyn za kilkanaście miljonów rubli, o mały włos nie poszła na licytację. Należała niegdyś do grona ziemian z p. Lipkowskim na czele. Kilka lat temu przeniesiono ją z Peczerska nad Łogbedź, do nowych, zbudowanych według ostatnich wymagań gmachów, tuż obok dworca kolei. Wyrabiała kotły, maszyny i nawet wagony kolejowe, a jej akcje wydzierano sobie. Zarząd fabryki kilkakrotnie zmieniał się zupełnie, w miarę, jak akcje przechodziły w te lub inne ręce. Ale w końcu interesy Towarzystwa się zachwiały i na porządku dziennym stanęła kwestja likwidacji... Administracji atoli udało się znaleźć firmę, która zgodziła się wziąć fabrykę w dzierżawę, wobec czego dalszy byt zakładów jest zapewniony.

Zachwiały się również interesy spółki prywatnej, która wybrnęła jednak z kłopotów. W każdym razie większość naszych zakładów mechanicznych przetrwała ciężkie koleje, przyczem największe i najpoważniejsze fabryki przemogły kryzys, co jest najlepszym dowodem, że ta gałąź przemysłu ma tu rację bytu.

Zaznaczałem już niejednokrotnie, że kryzys najmniej podobno dotknął rolników. Ceny ziemi nie spadły; przeciwnie, wzrosły nawet. Ceny zboża stoją wciąż na dostatecznie wysokim poziomie. Wobec pomyślnych widoków na urodzaje, już w tej chwili giełda notuje duży popyt na dzierżawy majątków, a tenuta w niektórych okolicach dochodzi do cen, które kilka lat temu uważane były za bajeczne. Zawarto kilka kontraktów po 18 rb. za dziesięcinę, gdy kilka lat temu płacono za ziemię zaledwie po 10 rb.

Właściwe kontrakty: posiedzenia towarzystw akcyjnych, zgromadzenia towarzystw rolniczego i technicznego, zaczną się za tydzień i trwać będą do końca miesiąca, albo może i do 10 marca. Wtedy również rozpoczną się bale, pikniki, galowe przedstawienia w teatrach i t. d. Sezon koncertowy już się zaczął, a zainicjonował go Pablo de Sarassate. Pomimo cen dość wygórowanych, dwa występy znakomitego skrzypka wypełniły po brzegi piękną salę Resursy kupieckiej. Zbierało się tu przeważnie, wyłącznie niemal towarzystwo polskie, a wśród niego przeważała publiczność przyjezdna.

Wybory do Rady miejskiej są już na ukończeniu. Pomimo zabalotowania na wyborach uzupełniających pp. Oltarzewskiego i Kunderewicza, liczba radnych polaków nie będzie mniejszą, niż w Radzie poprzedniej, i wyniesie siedmiu lub ośmiu. Jako przedstawiciel dzielnicy Łybedzkiej, wszedł do Rady miejskiej p. Witalis Wołkowiński, znany amator pszczelnictwa. Czem był niegdyś Lewicki w Warszawie, tem jest w Kijowie p. Wołkowiński. Nietylko sam hoduje pszczoły, ale gorąco propaguje ten przemysł, upatrując w rozwoju jego pomoc dla rolnictwa i własności drobnej. Obmyślił nowej konstrukcji ul i masę przyborów pszczelarskich, fabrykuje wyborne miody do picia i zachęca do używania tego trunku, twierdzi, że gdy się ludzie nauczą pić miód, zamiast wódki i piwa, znikną alkoholizm i degeneracja. Na wielkiej jubileuszowej wystawie paryzkiej międzynarodowe *jury* przyznało mu jednogłośnie *grand-prix* za pszczelnictwo. Mamy nadzieję, że jako radny miejski, będzie umiał znaleźć środki do urzeczywistnienia swego ważnego zamiaru: założenia wzorowej szkoły pszczelarstwa w okolicach Kijowa.

Sam.

SARATÓW, w styczniu.

[Przedstawienie na korzyść Towarz. dobroczynności. Sprawy Towarzystwa. Kronika bieżącaj.

☐ Trudność urządzenia polskich przedstawień amatorskich dotkliwie odczuwa tutejsze katolickie Towarzystwo dobroczynności, dla którego dochód z przedstawień stanowił poważną pozycję; aby chociaż w części brak ów wyrównać, zarząd Towarzystwa urządził niedawno przedstawienie w języku rosyjskim, z którego część dochodu, mianowicie 153 rb. oddano Towarzystwu. Odegrano oprócz oryginalnej jednoaktówki, «Flirt» Bałuckiego w przeróbce, nie v tłómaczeniu, gdyż rzecz dzieje się w Moskwie. Dążeniem zarządu Tow. jest wyrównanie deficytu i pokrycie zaciągniętej pożyczki z funduszu rezerwowego. Zadanie to niełatwe wobec apatji naszego społeczeństwa, kółek, koteryj i stronnictw, które, kierowane osobistemi uprzedzeniami, nie popierają jednomyślnie instytucji.

W grudniu jeszcze odbyło się nabożeństwo żałobne i poświęcenie nagrobków z nowemi tablicami: ś. p. Katarzyny Bielińskiej, żony marszałka sejmu grodzieńskiego z r. 1793, i Stefana Mickiewicza, lekarza, ucznia uniwersytetu wileńskiego. Grono rodaków pochowało na miejscowym cmentarzu katolickim ś. p. Aleksandra Frąckiewicza, starca w wieku lat 84, który od lat 38 mieszkał kolejno w Irkucku, Jakuckim okręgu i w Rosji europejskiej. Na mogile położono kamień z napisem. Napływowa warstwa tutejszej kolonji naszej w ostatnich latach znacznym uległa zmianom: pomiędzy opuszczającymi Saratów są rodziny, które tu po lat kilkadziesiąt i kilkanaście mieszkały. Mamy tutaj w naszem gronie starca 83-letniego, zamieszkałego w Saratowie od lat 30, Józefa Tuszyńskiego, rodem z gub. kaliskiej, który w r. 1848 służył wojskowo w Poznańskiem, następnie w wojsku rosyjskiem przebył od r. 1848 do 1870. Jako żołnierz Mikołajewski pobiera on obecnie szczupłą emeryturę (17 rubli rocznie), z której utrzymać się nie może. Na smutną dolę tego starca zwrócił mi uwagę tutejszy adwokat p. Kosiński.

M. O.

☐ **Z Krzemieńczuka** piszą do nas: W d. 2 (15) b. m. odbył się pierwszy polski teatr amatorski, a następnie zabawa z tańcami w salach hotelu „Wiktorja". Celem teatru i zabawy było powiększenie funduszu na budowę plebanji i kościoła w Krzemieńczuku. Grano „Grube ryby", i amatorzy wywiązali się znakomicie ze swego zadania. Po skończonem przedstawieniu odbyły się tańce, do których nie brakło uroczych tancerek, to też ochoczo bawiono się do rana. Należą się słowa uznania i podziękowania inicjatorowi teatru amatorskiego i całej zabawy. Na budowę plebanji i kościoła osiągnięto czystego dochodu 450 rb., do czego także wielce przyczyniły się starania uprzejmych gospodyń i gospodarzy. Nowowybrany komitet budowy kościoła i plebanji stanowią pp.: Z. Jędrzejewski, J. Karśnicki i F. Wołłowicz. Z wiosną komitet, chociaż jeszcze szczupły posiada fundusz, przystępuje do budowy. *A. G.*

☐ **Z Irkucka** piszą do nas: Przed świętami, w grudniu, grano tu teatr amatorski na rzecz katolickiego Tow. dobroczynności. Widzieliśmy na scenie „Grube ryby" i „Kalosze". Bez przesady mówiąc, amatorzy nasi spisali się wybornie. Przedstawienie dało przeszło 600 rb. czystego dochodu, gdyż widzowie stawili się w poważnej liczbie, przeważnie polacy, choć widzieliśmy także sporo i rosjan. — Niedawno rozstał się ze światem stary mieszkaniec Irkucka, Ludwik Szawłowski, dawny wychowaniec instytutu w Hory-Horkach, który przybył tutaj około 40 lat temu i długi swój żywot ciernisty zakończył w szpitalu. *A. J.*

☐ **Moskwa.** Na zgromadzeniu członków moskiewskiego słowiańskiego Tow. dobroczynności w d. 27 stycznia, prezes p. Czerep-Spiridowicz wygłosił mowę, w której między innemi powiedział: „Świętość naszego zadania powinna nam dodać śmiałości, gdyż głosimy zasady nie gwałtu ani aneksji krwią i żelazem, ale pokojowego zjednoczenia na gruncie miłości, wspólnej pracy i pokrewieństwa duchowo-kulturalnego. Dążymy do panslawizmu nie wojowniczego, ale takiego, który daje swobodę i pokój". Zaznaczywszy dalej budzącą się wśród różnych narodowości słowiańskich sympatję do idei słowiańskiej, p. Czerep-Spiridowicz przypomniał „serdeczny, szczery list, którym Koło polskie w Wiedniu odpowiedziało na samorzutnie z macierzyńskiej piersi Rosji wydane westchnienie sympatji dla naszych uciśnionych i cierpiących współplemienników z Wrześni".

☐ **Baku.** Oprócz 50 tys. rb., ofiarowanych przez Jego Cesarską Mość na ofiary trzęsienia ziemi w Szemasze, z innych źródeł wpłynęło na ten cel w pierwszym tygodniu po katastrofie tylko niecałe 14 tys. rb. Ludność, w liczbie 16 tys. osób, pozostaje w nędzy, zginęło zaś przeszło 2 tys. osób, prawie wyłącznie mahometan. Odkopywanie trupów odbywa się powoli, wskutek czego w mieście zburzonem daje się czuć teraz silny zapach rozkładających się ciał ludzkich.

☐ **Jekaterynosław.** Mianowany dyrektorem departamentu szlacheckiego dawny gubernialny marszałek szlachty A. P. Strukow, żegnany obiadem, wygłosił mowę o zadaniach szlachty. Zaznaczywszy, że bez ziemi niema szlachty, p. Strukow nawoływał zebranych do trzymania się wszelkiemi siłami ziemi, gdyż ten, kto ją sprzedaje, zarazem też sprzedaje przyszłość późniejszych pokoleń. Nadto p. S. wyraził życzenie, aby szlachta pozostała głuchą na prądy zachodnie i trzymała się zasad czysto rosyjskich, zawierających się w miłości do prawosławia i Tronu samowładnego.

W FINLANDJI.

☐ **O** propagandzie separatystycznej w Finlandji „Mosk. Wied." rozpisują się w obszernym wstępnym artykule. Nazywają rok 1899 dla Finlandji rokiem „pielgrzymstw i manifestacyj", 1900—rokiem „pieniactwa i agitacji podziemnej" 1901—rokiem „protestów otwartych i swawoli". Dziennik p. Gringmutha twierdzi, że w Finlandji istnieje jakiś tajny „związek patrjotyczny", który z powodu reformy wojskowej odbywa już niemal jawne mityngi na wyspie Turholm w pobliżu Helsingforsu, zkąd agitatorzy zasypują kraj proklamacjami. Oni to zorganizowali znany „masowy adres-protest, który, tylko dzięki bezprzykładnej łaskawości i względności Monarchy — jak w swoim czasie ogłosił „Prawit. Wiestn-" — był pozostawiony jedynie bez skutku" i nie ściągnął kary na winnych tego bezprawia. „Mosk. Wied." podają ilość parafij, które wbrew nowemu prawu, nie przystąpiły do wyboru odnośnych przedstawicieli do urzędu wojskowego. Jest ich 136 (z tych 28 miast) na ogólną liczbę finlandzkich parafij — 500.

☐ **Do** „Nowosti" donoszą, że d. 5 lutego uroczyście obchodzono w Helsingforsie rocznicę urodzin poety narodowego Runeberga. Około pomnika jego zebrały się tłumy publiczności i chóry studenckie, które wykonały pieśni patrjotyczne: szwedzką i fińską. Podczas śpiewów publiczność stała z odkrytemi głowami, pomimo 22-stopniowego mrozu.

☐ **Na** mocy rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych, wydanego na imię finlandzkiego jenerał-gubernatora, zniesiono prawo, przysługujące finlandzkim biurom telegraficznym co do przesyłania depesz w obrębie Finlandji za pół ceny. Jednocześnie minister spraw wewnętrznych postanowił znieść od lutego r. b. osobny zarząd telegrafów finlandzkich.

☐ **Ogłoszono** Ukaz: „Dla inspekcyj, znajdujących się pod dozorem głównego zarządu szkolnego wiejskich szkół ludowych, w których większość uczących się wyznaje wiarę prawosławną, mianowanym zostaje inspektor, wyznający wiarę prawosławną i znający dokładnie język rosyjski; ma on posiadać tę samą, co i inni tego rodzaju inspektorzy, kompetencję i pobierać tę samą gażę, co i oni". Za miejsce jego pobytu oznaczony został Serdobol.

Z KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Z NAD WISŁY, 23 lutego.

[Nowy sposób wyzysku. Szpitalnictwo w Łodzi. Echa płockie. W sprawie warszawskiej rzeźni centralnej].

+ Od pewnego czasu w całym kraju daje się zauważyć dość silna dążność do zrzeszania się w różnych kierunkach pracy społecznej. Z przyjemnością notujemy zawsze te objawy zdrowego prądu w naszem społeczeństwie. Z Płocka np. donoszą, że miasto to, liczące nie wiele więcej nad 20 tys. mieszkańców, posiada ni mniej ni więcej jak 16 stowarzyszeń ekonomicznych, dobroczynnych, zawodowych i sportowych, z których większość powstała w ciągu kilku lat ostatnich. Więc oprócz Towarzystwa kredytowego ziemskiego, istnieją w grodzie dawnych książąt mazowieckich: Tow. kredytowe miejskie, stowarzyszenie spożywcze «Zgoda», kasa pogrzebowa, Tow. dobroczynności, ochotnicza straż ogniowa, komitet opieki nad choremi dziećmi ubogich rodziców, istniejące od lat 30 Tow. lekarskie, niedawno założone Tow. rolnicze, wreszcie stowarzyszenie stolarzy «Samopomoc». Prawdopodobnie utworzyło się już w Płocku i Tow. pomocy dla uczącej się młodzieży szkolnej, gdyż w tych dniach właśnie miało być pierwsze zebranie organizacyjne członków-założycieli. Wreszcie Płock posiada dwa świetnie rozwijające się stowarzyszenia sportowe (wioślarze i cykliści) i jedno artystyczne (Tow. muzyczne).

Na ostatniem zebraniu magistratu warszawskiego zadecydowano, ale nie ostatecznie, wybór placu pod rzeźnię centralną, którą magistrat ma zamiar budować już od lat dwudziestu pięciu (w zeszłym roku obchodziliśmy jubileusz powstania tego projektu). Większością $^2/_3$ głosów oświadczono się za miejscowością za dawnym fortem Śliwickim na Pradze. Tymczasem p. Lenartowicz, starszy zgromadzenia rzeźników warszawskich, a więc rzeczoznawca w danym wypadku niewątpliwie kompetentny, uważa budowę rzeźni centralnej na Pradze za rzecz dla miasta szkodliwą. Jeśli koszt transportu jednego zabitego wołu ze wsi Koło (gdzie przedtem miała stanąć rzeźnia) do miasta wynosi 40 kop., to z Pragi koszt ten wyniesie 80 kop., co pociągnie za sobą podwyższenie ceny mięsa w Warszawie. A że w Warszawie biją codziennie znaczną ilość bydła, łatwo sobie wystawić, ile ludność na tem straci; mieszkańcy naszego miasta musieliby dopłacać z własnej kieszeni przez długi szereg lat, gdyby rzeźnia centralna miała stanąć na Pradze.

W sprawie budowy rzeźni centralnej było już zresztą tyle posiedzeń, przyczem na każdem przychodzono do odmiennego wniosku w kwestji wyboru miejsca, że i dzisiejsze oświadczenie się magistratu za miejscowością na Pradze, za byłym fortem Śliwickim, nie jest jeszcze zapewne ostatniem jego zdaniem w tej kwestji.

Łódź liczy blizko czterykroć sto tysięcy mieszkańców, posiada zaś, oprócz kilku prywatnych szpitali fabrycznych na kilkadziesiąt łóżek razem, zaledwie trzy szpitale: miejski św. Aleksandra, fabryczny, pozostający w zawiadywaniu Towarzystwa Czerwonego Krzyża i żydowski imienia małżonków Poznańskich. Ostatnie dwa szpitale są względnie dobrze uposażone, ale budżet szpitala miejskiego wynosi zaledwie 21,400 rb. rocznie. Niejednokrotnie podnoszono myśl budowy nowego szpitala, ale dobre zamiary rozbijają się o apatję zarządu miejskiego, który wzorem wszystkich magistratów w Królestwie, nie odznacza się bynajmniej inicjatywą społeczną.

Wogóle stan szpitalnictwa naszego, zarówno w Warszawie jak na prowincji, pozostawia dużo do życzenia. Do pewnego stopnia braki te zastępuje inicjatywa prywatna i ofiarność ogółu, który z prywatnych składek utrzymuje najrozmaitsze instytucje filantropijne. Dodać należy, że szpitalnictwo nasze, szczególniej na prowincji—to *terra incognita*, ziemia dotychczas nieznana i niezbadana. Przyklasnąć więc należy uchwale warszawskiego Towarzystwa hygienicznego, które postanowiło wydać monografję szpitali w Królestwie Polskiem, na podstawie dat i wiadomości, zebranych przez specjalnie wydelegowanych lekarzy. Być może nawet, że na tej drodze można będzie odkryć jakieś dawne zapisy, o których zapomniano lub które zostały obrócone na inne cele.

Z gub. lubelskiej dochodzi nas wieść o nowym rodzaju wyzysku, jakiego ofiarą padają włościanie tamtejsi. Do wyzysku tego dostarczają sposobności procesy spadkowe. Ponieważ podział spadkowej własności włościańskiej zawarowany jest w prawie pewnemi ograniczeniami, gdyż nadziały ukazowe nie podlegają podziałowi poniżej pewnej normy, przeto podział taki odbyć się może czasami tylko drogą sprzedaży osady włościańskiej przez sukcesorów. Aby uniknąć sprzedaży osady «po ojcach», biorą na siebie sukcesorowie bardzo często ciężkie zobowiązania względem należących do działu krewnych. Dawni lichwiarze, żydzi malomiasteczkowi, którzy stracili dawne zyski wobec wydania

prawa przeciwko lichwie, nabywają obecnie prawa spadkowe za drobną kwotę, obiecując dopłatę po ukończeniu działu, następnie zaś starają się pokłócić pomiędzy sobą współsukcesorów, aby w mętnej wodzie łowić dla siebie ryby. Sprawa kończy się najczęściej przymusową sprzedażą osady włościańskiej, na czem tracą wszyscy sukcesorowie, zyskuje zaś tylko żyd-lichwiarz. «Gazeta Lubelska» przytacza wypadek, kiedy tego rodzaju aferzysta nabył prawa spadkowe od jednego ze współsukcesorów za 25 rb., następnie zaś «wydusił» od właściciela osady 400 rb.

B.

WARSZAWA, 24 lutego.

[Rozrywki i publiczność. Z teatru. Pomnik Chopina. Odezwa artystów].

+ Koncertujemy i rautujemy z kolei, przestawszy balować; publiczność zwróciła się ku scenie i estradzie, a jakie tłumy tej publiczności, żądnej rozrywki, przybyły Warszawie, dość powiedzieć, iż w niedziele i święta wszystkie teatry (a jest ich obecnie pięć, dających codzienne przedstawienia), wszystkie sale koncertowe, wystawy i drugorzędne zakłady zabawy bywają zapełnione.

Trzeba tylko umieć tę publiczność pociągnąć, wyzyskać jej skłonności, a można być pewnym powodzenia i robić dobre interesy; obrotność i pomysłowość przedsiębiorców decyduje tu jednak o wszystkiem. Obawiano się, czy Filharmonja potrafi zapełniać ogromną swoją salę i przyciągnie tylu miłośników muzyki, aby pokrywać wysokie koszta swego utrzymania; dzisiaj już te obawy, wobec świetnych rezultatów kasowych, okazały się płonne; pomimo koncertów kilka razy tygodniowo, sala bywa bardzo często wyprzedaną, a na wieczorach popularnych w soboty i niedziele panuje tłok. Publiczność dała się już wciągnąć i przywyka do szlachetniejszej rozrywki, wabiona zajmującemi programami i artystycznem wykonaniem.

Obawiano się, czy Towarzystwo muzyczne nie ucierpi na tem niebezpiecznem współzawodnictwie; nie ucierpiało, bo ilekroć zapowie występ znakomitego pianisty lub skrzypka, jak Consolo albo Burmester, ma słuchaczy tylu, ilu ich tylko sale redutowe pomieścić mogą.

Obawiano się, czy nowy kierownik artystyczny komedji i dramatu podoła swemu zadaniu i zainteresuje zobojętniałych ostatniemi czasy miłośników teatru; zabrał się energicznie do pracy, odświeżył repertuar, obsadę, wystawę i znowu bywa w Rozmaitościach pełno nawet na wznowieniach, nietylko na premjerach. Ostatnie, można powiedzieć, świetne powodzenie sceniczne i kasowe osiągnął p. Śliwiński trzyaktową sztuką Schönthana i Kopel-Ellfelda p. t.: «Odrodzenie», która stylową grą, kostjumami i dekoracjami zyskała wyjątkowe uznanie prasy i publiczności; obecnie spodziewać się może niezwykłego także sukcesu przygotowywana właśnie komedja z niemieckiego «Flachsmann wychowawca», rzecz od zeszłego roku głośna na scenach zagranicznych. Trzeba tylko umieć korzystać z chwili i prawdziwemi nowościami zajmować masy warszawskich teatromanów.

Sprawa postawienia pomnika Chopina w Warszawie od sześciu tygodni weszła w fazę przygotowawczych czynności; zorganizowany komitet zajął się przedewszystkiem dwiema zasadniczemi kwestjami: uformowaniem listy osób do zbierania składek w kołach wielbicieli wielkiego mistrza i wyborem miejsca pod pomnik. Zgromadzenie potrzebnych funduszów zajmie czas dłuższy, ale spodziewać się można, że ofiarność na cel tak szlachetny dostarczy środków na godne uczczenie nieśmiertelnej chluby naszej wobec całego świata.

Sprawę wyboru miejsca rozstrzygnięto znacznie szybciej i pomyślnie; komitet rozważał ją sumiennie i szczegółowo, uwzględniając wskazówki opinji publicznej, i doszedł do przekonania, że tylko trzy place miejskie nadają się do tego celu: mianowicie plac Teatralny, Warecki i miejsce w ogrodzie Saskim od ulicy Królewskiej na wprost Marszałkowskiej. Postanowił tedy u władzy zabiegać o jeden z tych placów. Zarząd miasta przychylił się bardzo szybko do prośby komitetu i pozostawił do wyboru plac Warecki lub ogród Saski; ten ostatni wydaje się najwłaściwszym ze względu na malownicze tło rozłożystych drzew i na daleką perspektywę od strony najruchliwszej dziś ulicy Marszałkowskiej. Plac Warecki leży od tej głównej arterji na uboczu, po zabudowaniu gruntów po-szpitalnych zasłoni się widok i pomnik ewentualnie mógłby być zakryty projektowanemi gmachami; z tego powodu miejsce, wysunięte ku dwom pryncypalnym ulicom w ogrodzie Saskim, zyskuje coraz więcej aprobaty.

Liczne grono artystów, malarzy, rzeźbiarzy i architektów zwróciło się do komitetu z odezwą, aby: «wszelkie sprawy z organizacją, zakresem konkursu i sposobami rozstrzygania tegoż, jako też i inne, dotyczące strony artystycznej zamierzonego dzieła, decydowali wyłącznie artyści - plastycy», a następnie: «aby skład owej wyrokującej komisji artystycznej wybrany był przez ogół artystów»; żądanie to w zasadzie słuszne i komitet o wiele wcześniej postanowił w danej chwili odwołać się o poradę i wskazówki do artystów, wszelako, przyjąwszy na siebie odpowiedzialność za przeprowadzenie i uskutecznienie całego dzieła, nie będzie mógł odstępować wszystkich swoich praw drugiemu jakiemuś komitetowi, który sobie z góry tak apodyktycznie «wyłączność» zupełną zastrzega; cóżby mu samemu zostało wtedy do spełnienia? Niewątpliwie kwestja artystyczna jest bardzo wielkiego znaczenia i będzie też ona przedmiotem głębokiej, ostrożnej i wszechstronnej rozwagi komitetu; jednakowoż odmówienie z góry wszelkiej kompetencji do rozstrzygania jej ludziom, którzy wprawdzie nie są fachowymi «artystami-plastykami», ale mają także pojęcie o sztuce i dobrym smaku, jest w swoim rodzaju radykalnym środkiem troskliwości o pomnik, na który najpierw trzeba zebrać odpowiednie fundusze.

Gama.

+ Warszawski komitet giełdowy, oraz magistrat otrzymały odezwę od rady miejskiej w Kijowie, że, zgodnie z postanowieniem jenerał-gubernatora kijowskiego z roku 1891, żydzi, mieszkańcy Królestwa Polskiego mogą przyjeżdżać do Kijowa i zamieszkiwać tam podczas kontraktów na równi z innymi poddanymi rosyjskimi, pod warunkiem, aby podczas pobytu w Kijowie zamieszkiwali wyłącznie w cyrkułach: podolskim, płoskim i łybiedzkim, i najdalej w ciągu sześciu godzin po przybyciu zameldowali się w kancelarjach odpowiednich cyrkułów.

+ W hallach targowych, świeżo wzniesionych na terytorjum b. koszar mirowskich, dopełniono aktu otwarcia pierwszego sklepu. Właścicielem tego sklepu jest Tow. rolnicze mińskie, które stale zasilać będzie rynek warszawski produktami gospodarskiemi.

+ Pogrzeb ś. p. Włodzimierza Zagórskiego (Chochlika) odbył się z kościoła św. Karola Boromeusza przy ul. Chłodnej na cmentarz powązkowski. Zebrało się około półtora tysiąca osób, pragnących oddać hołd pamięci autora „Króla Salomona".

+ Na posiedzeniu Tow. hygienicznego dr. Rychliński wystąpił z wnioskiem zbadania szpitalnictwa w Królestwie i zebrania danych o ich dziejach, rozwoju, funduszach, ruchu chorych i t. d. Wydział wniosek przyjął i postanowił wystąpić do rady Towarzystwa z prośbą o wyznaczenie na cel powyższy rb. 400.

+ Projekt budowy w Warszawie gmachu teatralnego przez przedsiębiorców prywatnych—jak donosi „Słowo"—ma być wkrótce urzeczywistniony. Gmach służyłby do przedstawień towarzystw prywatnych. Obecnie inicjatorowie naradzają się w tej sprawie z gronem osób, rozporządzających kapitałami. Potrzeba tego gmachu jest wielka, gdyż prywatne teatry warszawskie mieszczą się w nędznych budynkach ogródkowych.

+ Wobec bojkotowania przemysłu niemieckiego przez warszawskie sfery kupieckie, niektóre firmy krajowe o brzmieniu niemieckiem na blankietach firmowych zaczęły dodawać słowa: „fabryka polska", „rosyjska" lub „słowiańska".

+ Jenerał - gubernator warszawski zatwierdził rzeczywistych radców stanu: Władysława Nowakowskiego, Aleksandra Moldenhawera i hr. Feliksa Czackiego na stanowisku członków warszawskiej rady miejskiej dobroczynności publicznej na okres trzyletni.

+ Do Warszawy przybywają obecnie znaczne zastępy włościan z gub. środkowych Cesarstwa, dotkniętych nieurodzajem. Ludzie ci znajdują pracę na rządowych kolejach żelaznych.

++ **Łódź.** Dawny projekt budowy szpitala miejskiego, dzięki inicjatywie Tow. dobroczynności, wchodzić zaczyna na drogę pożądaną. W sprawie tej odbyło się już kilka posiedzeń, na których postanowiono prosić o wyznaczenie funduszu na opracowanie planów i wydelegowanie komisji, któraby zwiedziła podobne instytucje zagranicą. Według obliczeń ogólnych, koszt budowy szpitala wyniósłby około 1½ milj. rb.; miejsce pod budowę proponowane jest w miejskim lesie kolejowym.—Rozsiewane wieści o ponownem zachwianiu się interesów przemysłowo-handlowych w Łodzi nie mają zupełnie podstawy. Dwa teraz ogłoszone bankructwa nie były wielką niespodzianką dla lepiej wtajemniczonych kupców tutejszych; firmy te już dawno uznane były za niewypłacalne i tylko z interesów handlowych wypadało je czas pewien „podtrzymać". Licznie napływające obstalunki od hurtowników syberyjskich i wielkie ożywienie na kolei Łódzkiej świadczyć najlepiej powinny o popycie na towary łódzkie, zwłaszcza wełniane. Kilka upadłości w Cesarstwie nieco utrudniło łatwe dotąd dyskonto, choć i obecnie na brak zaufania bardzo narzekać nie można.—Na naradach obywateli miejskich okazało się, że wielu z nich przekładałoby inny typ szkoły średniej nad myśl pierwotną utworzenia drugiego gimnazjum męzkiego. Wobec tego wyłoniło się kilka projektów, nad któremi obradować będzie magistrat.—Departament handlu i przemysłu wydał mieszkańcowi tutejszemu, p. Goldcwejgowi, patent na wynaleziony przyrząd do oczyszczania bawełny i wełny od smarów i olejów mineralnych. Ważny w naszych stosunkach wynalazek znalazł już zastosowanie w większych tow. akcyjnych.—Zniechęceni podniesieniem premij asekuracyjnych tow. prywatnych, przemysłowcy nasi ponownie noszą się z myślą zawiązania stowarzyszeń wzajemnego ubezpieczenia od ognia. *M.*

++ P. S. Kołosow, b. redaktor „Lub. Gub. Wied." przetranzlokowany obecnie do Erywania na Kaukazie, opisuje w tym dzienniku swoją podróż na nowe miejsce i pomiędzy innemi opowiada o trudnościach, jakie miał z zabraniem z Lublina służby. Opis nie pozbawiony humoru: „Poprzednio przezemnie namawiana służąca odmówiła dlatego tylko, że jakiś „godny zaufania" człowiek wyjaśnił jej, iż kozacy na Kaukazie wszystkie kobiety-polki zawiązują do worków, biją potem nahajką i z wysokiej góry zrzucają do głębokiego morza. Inna kobieta odmówiła dlatego, że była „tercjarką" i oświadczyła, że bez kościoła (w Erywaniu jeszcze go niema), żyć nie może". W końcu jednak p. Kołosow zdołał sobie znaleść polską służbę do dalekiej podróży.

++ Korespondent „Mosk. Wied." p. Wasiljew, donosząc o śmierci docenta uniwersytetu warszawskiego przy katedrze słowiańskiej filologji, Teodora Jezbery, z pochodzenia czecha, pisze: „Przyjaciel słowianofilów moskiewskich i uczonych, a w tej liczbie M. P. Pogodina, T. I. Jezbera zapragnął zupełnie się zlać ze swą nową ojczyzną i z głębokiego przekonania przeszedł z katolicyzmu na prawosławie. Skutkiem tego warszawskie społeczeństwo polskie okazywało mu niechęć, która wyraziła się i w tem, że studenci-polacy nie wzięli udziału w jego pogrzebie. Tutejsza kolonja czesko-słowacka przeciwnie, zawsze Jezberę uważała za jednego z najsympatyczniejszych i najczynniejszych swoich członków". Do tego autor dodaje: „Jakąż to jest charakterystyczną i poglądową ilustracją stosunku polaków do Słowiańszczyzny, gdy tylko poruszony zostanie w jakiś sposób katolicyzm"...

UWAGI.

Petersburg, 14 (27) lutego.

Z dniem dwudziestego lutego rozpoczął się rok dwudziesty piąty pontyfikatu Ojca św. Dużo wody upłynęło w Tybrze od chwili, gdy drżący i zgarbiony staruszek, kardynał Catterini, ogłosił ludowi z balkonu św. Piotra dobrą nowinę, że świat katolicki ma nowego papieża w osobie kardynała Joachima Pecci, który przybrał imię Leona XIII. Jak hałaśliwie wówczas obwieszczano upadek papieztwa i kościoła rzymskiego!... Wspomnieniem tylko wydawała się potęga moralna i powaga następców św. Piotra. Dokoła Watykanu rozbrzmiewały wiwaty na cześć „zdobywców" Rzymu, w Berlinie panoszył się prorok „krwi i żelaza" i zapowiadał, że nigdy już nie wrócą czasy pielgrzymek do Kanossy, Pius IX leżał na marach, a na stopnie walącego się tronu papiezkiego wstępował siedmdziesięcioletni starzec, tak słaby, że go podtrzymywać musiano, tak szczupły i nikły, że przezroczystem się zdawał raczej widmem, aniżeli istotą z krwi i kości. Minęło lat dwadzieścia cztery, i przekonał się świat, że w tem widmie papiezkiem palił się ogień genjuszu, że w ciągu niespodziewanie długiego pontyfikatu powstała w dawnym blasku potęga moralna, którą uznają państwa i rozumy świeckie, i przed którą chyli się kornie wiara rzesz niezliczonych.

Każdy dzień przynosi nam jakąś, bądź drobną, bądź ważniejszą wiadomość o zaostrzaniu się walki plemiennej w ziemiach polskich pod berłem pruskiem. Rząd coraz wyraźniej objawia wobec polaków zamiary wrogie, a z ław polskich w obu berlińskich ciałach prawodawczych zaczynają padać wyrazy, jakich nie słyszano tam dawniej.

Chcemy wierzyć, że Koło polskie w parlamencie niemieckim zdaje sobie sprawę z tego, iż zmiana taktyki nie powinna być nigdy dziełem chwilowego przypadku. Znając bezinteresowność i patrjotyzm posłów poznańskich, przypuszczamy, że Koło uznało za potrzebne uderzyć w ton ostrzejszy, i że zdecydowało się na to z całą świadomością następstw. Niewtajemniczeni w chwilową konstelację po za kulisami parlamentu, musimy zaufać posłom polskim i uwierzyć, iż ta ich decyzja odpowiada rzeczywiście wymaganiom obecnego położenia. Niepodobna nam bowiem przypuścić, iżby przedstawiciele prowincyj polskich bez należytego zastanowienia się alarmowali Izbę zwrotami, jakich się zazwyczaj w parlamencie nie słyszy.

Takie wyrażenia i zwroty nie przemijają bez śladu. Śladów tych dopatrzeć się łatwo nietylko w bezwzględnej i nic dobrego nie zwiastującej odpowiedzi ministra wojny, ale i w głosach tej nawet prasy, która zazwyczaj potępia politykę pruską. Temperatura walki podniosła się najwyraźniej o kilka stopni, a wszystko przemawia za tem, że temperatura jeszcze się podniesie.

Ministerstwo skarbu wniosło, jak się dowiadujemy, do Rady państwa projekt prawa o odpowiedzialności pracodawców za wypadki nieszczęśliwe z robotnikami. Nie jest to sprawa nowa. Po raz pierwszy projekt noweli o odpowiedzialności pracodawców przedyskutowany był w Radzie państwa w 1893 r. Wówczas jednak projekt ten zatwierdzenia nie uzyskał, gdyż, jak to dowodnie wykazał memorjał biura doradczego fabr. żelaza, przesłany wszystkim członkom Rady państwa, proponowane normy odszkodowania robotników były tak duże (za zupełną utratę zdolności do pracy przyznawaną była dożywotnia emerytura, równa całemu rocznemu zarobkowi), iż wprowadzenie prawa w życie pociągnęłoby za sobą ruinę przedsiębiorstw przemysłowych. To też obecny projekt prawa wprowadza pod tym względem zmiany zasadnicze, redukując w znacznym stopniu normy wynagrodzenia robotników. Za zupełną utratę zdolności do pracy odszkodowanie wynosić ma dożywotnio ⅔ zarobku. Jednocześnie wybitną cechą noweli obecnej jest dążność prawodawcy do zachęcenia przemysłowców do wzajemnego ubezpieczania robotników, z pominięciem towarzystw ubezpieczeń. W tym celu projekt robi znaczną ulgę na rzecz wzajemnego ubezpieczenia, zwalniając pracodawców, uczestniczących w niem, od dalszej odpowiedzialności cywilnej, gdy tymczasem zabezpieczenie robotników przez pracodawcę w Towarzystwie asekuracyjnem, nie zdejmuje z przemysłowców tej odpowiedzialności i daje zawsze robotnikowi prawo poszukiwania dodatkowego zadośćuczynienia jeszcze na drodze sądowej. Przyjęcie tego projektu przez Radę państwa sprawiłoby poważną zmianę w stosunkach pracodawców do robotnika i byłoby początkiem akcji prawodawczej do stałego zabezpieczenia bytu i losu robotników.

Prasa rosyjska, witając nominację jenerała von Wahla na gubernatora w Wilnie, wyraziła zdanie, że nieobsadzenie urzędu jenerał-gubernatorskiego świadczy o niewątpliwem uspokojeniu trzech guberni litewskich. Zdanie to podzielają wszystkie poważne organy rosyjskiej opinji publicznej. Tem dziwniejszem wydaje się odmienne stanowisko „Swieta", który zamieścił niedawno alarmującą korespondencję z Wilna i z zupełną powagą daje do zrozumienia, jakoby po zniesieniu jenerał-gubernatorstwa, „polska intryga w Wilnie podniosła głowę". Korespondencję tę przytoczyliśmy w dziale prowincjonalnym w zeszłym numerze „Kraju", nie nadając jej szczególnej wagi. Ale ks. Mieszczerski w „Grażdaninie" uznał ją za wybitny objaw „monopolistycznego patrjotyzmu", który widzi niebezpieczeństwo tam, gdzie ono wcale nie istnieje. Korespondencję „Swieta" książę zowie wprost „rakietą do zastraszania", albowiem żadnej intrygi polskiej w Wilnie niema, a gdyby naprawdę podniosła głowę, to jenerał von Wahl, znany

ze swej energji, utrzymałby wśród polaków wileńskich najściślejszy porządek, nie potrzebując wcale korzystać z przywilejów władzy jenerał-gubernatorskiej. Ks. Mieszczerski mniema, że płacz „Swieta“ nad zniesieniem jenerał-gubernatorstwa jest wręcz tendencyjny.

Zarzuty „Swieta“ są bowiem wprost naiwne. Ubolewa nad działalnością wileńskiego Tow. rolniczego, złożonego z samych „rzymskich katolików“, rozdziera szaty nad projektem założenia w Wilnie politechniki, w której młodzież ma się kształcić rzekomo w „miejscowych tradycjach kraju“; zwraca uwagę na „Tow. opieki nad dziećmi“, którego członkami są ciż sami „rzymscy katolicy“. I więcej nawet: łzy roni nad orkiestrą, założoną przez p. Montwiłła, bo nietylko członkami jej są „rzymsko-katolicy“, ale i słuchaczami—publiczność tegoż wyznania. Co gorsza, powstało w Wilnie Tow. spożywcze nawet dla rzemieślników; więc intryga polska ogarnia już niższe warstwy ludności.

Książę Mieszczerski wyjaśnia „Swietowi“, że wszystkie fakty powyższe są przekręcone. Tow. rolnicze w Wilnie założone zostało w r. 1899, przy poparciu zmarłego jenerał-gubernatora Trockiego, który też poparł i zamiar zbudowania politechniki. Wśród członków Tow. rolniczego jest dużo członków-rosjan, a sam projekt politechniki na zebraniu ogólnem tegoż Towarzystwa w grudniu r. z. odczytany został przez rz. r. st. Lewitskiego, zarządzającego dobrami państwa w gub. wileńskiej i kowieńskiej. Tak samo Tow. opieki nad dziećmi powstało za zezwoleniem jen. Trockiego, a w Tow. spożywczem rzemieślników reprezentowani są zarówno rosjanie i niemcy, jak i polacy. Gdzież tu intryga polska?

Ks. Mieszczerski wyraża oryginalne przypuszczenie, że „Swiet“, ubolewający nad zniesieniem jenerał-gubernatorstwa, mimowoli leje wodę na młyn tych żydów, którzy przyzwyczaili się obrabiać interesy, korzystając ze złych stosunków pomiędzy polakami a rosjanami i władzą krajową. Takiego przypuszczenia zapewne nie spodziewał się „Swiet“, który, jak wiadomo, nigdy miłością ku żydom nie pałał.

Znaną już jest historja o tem, jak p. Diedłow w „Now. Wrem.“ włożył w usta bronzowemu Mickiewiczowi na Krakowskiem-Przedmieściu wyznanie, iż on, Adam Mickiewicz, nie jest polakiem, lecz rosjaninem. Opinja w Warszawie niesłusznie posądzała o autorstwo tego pomysłu p. Michała Diedowa, współpracownika „Warszawskiego Dniewnika“. Wskutek tego p. Diedow ogłosił w pismach warszawskich następujące zaprzeczenie:

„Z powodu zamieszczonych w „Dzienniku „Nowoje Wremia“ artykułów p. Diedłowa o Mickiewiczu, odebrałem, prócz kilku anonimów, także wiadomość, że w Warszawie rozpowszechnianą jest plotka, jakobym był autorem tych artykułów. Ponieważ plotka ta przybiera niepożądane zgoła rozmiary, więc muszę oświadczyć: 1) że prócz „Pietierb. Wied.“, „Rossji“ i „Mirowych Otgołosków“, do żadnych innych pism stołecznych nie pisywałem, nie pisuję i pisywać nie zamierzam; 2) że nazwisko moje brzmi: *Diedow*, lecz nie *Diedłow* i 3) że autorem wspomnianych artykułów o Mickiewiczu jest p. Włodzimierz syn Ludwika Kign, stale używający pseudonymu „Diedłow“, dość znany publicysta rosyjski, pochodzący z *polsko*-niemieckiej rodziny (ob. „Encyklop. Słow.“ Brockhausa i Efrona, t. XV, str. 43), do którego raczą zwracać się ze swojemi pretensjami moi anonimowi korespondenci. *Michał Diedow*, współpracownik „Warsz. Dniewn.“

Pokazało się więc dokładnie, że nie Mickiewicz jest rosjaninem, ale przeciwnie — że p. Diedłow (Kign) o mało co nie został polakiem. A więc teraz wszystko w porządku.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Dworskie.

× W piątek d. 8 (21) lutego miała szczęście przedstawić się Ich Cesarskim Mościom Najjaśniejszym Państwu deputacja z gub. kutaiskiej. Po wygłoszeniu przez nią adresu wiernopoddańczego, Jego Cesarska Mość uszczęśliwił deputację następującemi słowami: «*Cesarzowa i Ja z zadowoleniem wysłuchaliśmy waszego adresu i dziękujemy wam za wyrażone w nim uczucia oraz za odwieczną wierną służbę szlachty kutaiskiej dla Tronu i Ojczyzny. Mamy nadzieję wkrótce zobaczyć się z wami na Kaukazie*».

× W poniedziałek d. 11 (24) lutego miał honor przedstawić się Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Panu jego wysokość Emir bucharski wraz ze swym następcą i świtą, złożoną z 6 osób.

× D. 1 (14) lutego w pałacu Zimowym mieli szczęście przedstawić się Jego Cesarskiej Mości członkowie naukowej *wyprawy tybetańskiej*, ze sztabs-kapitanem Kozłowem na czele. Jego Cesarska Mość raczył zapytywać, czy wojna chińska nie odbiła się na losach wyprawy, i czy nie spotkano w drodze szwedzkiego podróżnika Swena Gedina, który listownie donosił Najjaśniejszemu Panu o przebiegu swej podróży. Z listów tych okazuje się, że Gedin nie dotarł do Lhassy, i że jego zbiory zrabowano; podróżny szwedzki w lipcu ma wrócić do Rosji. Wszyscy uczestnicy wyprawy Kozłowa otrzymali ordery i odznaczenia.

Urzędowe.

× Urzędownie ogłoszono pewne zmiany *w ustawie prasowej*. Odtąd *art. 157* tej ustawy będzie brzmiał: «Dozór nad drukarniami, litografjami i metalografjami, również nad zakładami, zajmującemi się wyrobem i sprzedażą artykułów drukarskich, oraz nad handlem książkami, pozostając nadal pod kierunkiem głównego zarządu prasowego, należeć ma: 1) w Petersburgu, Moskwie, Warszawie, Wilnie, Kijowie, Łodzi, Odesie, Rydze i Tyflisie do specjalnych inspektorów drukarń i handlu książkami, i 2) w innych miejscowościach—do urzędników mianowanych przez gubernatorów i naczelników miast». *Art. 158:* «Osoby, życzące sobie założyć drukarnię, litografję, metalografję lub inny podobny zakład do drukowania pisma i rysunków, powinny uzyskać pozwolenie: w Moskwie i w Warszawie od jenerał-gubernatora, a w innych miejscowościach od gubernatora lub naczelnika miasta, przyczem obowiązane są do wskazania liczby i wymiaru maszyn, które zamierzają posiadać». *Art. 162* zaznacza, że o każdej zmianie w liczbie i rozmiarze maszyn należy zawiadamiać zarządy, przy których są mianowani inspektorzy prasowi lub specjalni urzędnicy do nadzoru prasowego. *Art. 163:* Kto pragnie posiadać ręczną maszynę, winien prosić o stosowne pozwolenie. *Art. 164* nakazuje drukarniom utrzymywać księgi sznurowe do zapisywania obstalunków. *Art. 174* zaleca komorom zawiadamiać władzę o sprowadzanych z zagranicy maszynach drukarskich i transportach czcionek z oznaczeniem, dokąd transporty te idą. Za niezawiadomienie władz o zwiększeniu liczby maszyn i ich siły w drukarniach, winnym grozi kara do 50 rb.

× W urzędowym organie «Cerk. Wiedom.» na rozkaz nadprokuratora Synodu rządzącego, ogłoszono: «W kijowskich i niektórych innych czasopismach ukazała się wiadomość, że Synod najświętszy pozwolił wydać tłómaczenie *Nowego Testamentu w narzeczu małoruskiem*. Tymczasem w ostatnich latach do Synodu najświętszego wcale nie podawano próśb tego rodzaju. Podawane zaś dawniej prośby o wydanie Nowego Testamentu w narzeczu małoruskiem zostały uchylone».

Ogólne.

× Dowiadujemy się, że roztrząsanie projektu reorganizacji administracji ziemskiej w 9 guberniach zachodnich zostało już w połączonych departamentach Rady państwa ukończonem. Do ogólnego zebrania projekt wniesiony będzie za parę miesięcy.

× Sprawa otwarcia wydziału *górniczego w Politechnice warszawskiej* — jak donosi «Warsz. Dniewn.»—już ostatecznie została postanowiona. Kończącym ten wydział studentom będzie przysługiwał tytuł inżyniera górniczego, ze wszystkiemi prawami, związanemi z tym tytułem.

× O działalności *wyższej rady rolniczej*, zwołanej niedawno i pracującej pod przewodnictwem ministra skarbu, «Graždanin» pisze: «Na pierwszej sesji, jak słyszałem, roztrząsano spokojnie i wszechstronnie ważne zagadnienie, które wskazuje, że działalność rozpoczęto od podwalin. Mianowicie zastanawiano się nad utrwaleniem bytu wszelakiej własności ziemskiej i nad obroną jej nienaruszalności. Przeszłej soboty znów, o ile słyszałem, zajęto się roztrząsaniem innej sprawy zasadniczej: w jaki sposób zawiązać bezpośrednie stosunki między główną radą rolniczą a lokalnymi przedstawicielami rolnictwa. Jeżeli pogłoski nie są mylne, w takim razie sprawę tę można uważać za skończoną w sposób najlepszy: zamierzono utworzyć lokalne komitety gubernialne pod przewodnictwem gubernatorów i powołać do nich przedstawicieli szlachty, ziemstwa oraz rolników, zarówno właścicieli większych, jako też i włościan. Program, po opracowaniu go przez radę rolniczą, ma być przesłany komitetom gubernialnym do sprawdzenia i uzupełnienia».

× Posiedzenia *komisji do reformy szkół średnich* przerwano na kilka tygodni, aby dać czas podkomisjom na opracowanie programów szczegółowych. Podkomisyj takich pracuje 14, mianowicie: 1) w sprawie wykładów religji, pod przewodnictwem archijereja narwskiego Innocentego; 2) rozkładu lekcyj w szkołach typu ogólnego, pod przewodnictwem kuratora okręgu petersburskiego von Anrepa; 2) rozkładu lekcyj w szkołach z językami starożytnemi, pod przewodnictwem kuratora okr. warszawskiego, Szwarca; 4) w sprawie przygotowania nauczycieli dla szkół; 5) w sprawie etatów nauczycielskich, pod przewodnictwem kuratora Anrepa. Reszta podkomisyj pracuje nad programami poszczególnych przedmiotów nauczania. Podkomisja druga ma oprócz tego opracować plan ćwiczeń fizycznych i wycieczek szkolnych.

× Z powodu zniesienia w niektórych miastach stowarzyszeń rzemieślniczych i ich zarządów, «Now. Wr.» oświadcza się w ogólności za zniesieniem *miejskich zarządów stanowych*. Według dziennika — zbytecznem jest utrzymywanie tych zarządów, jeżeli miasta posiadają ogólne własne rady i zarządy, do których składu wchodzą zarówno mieszczanie, jako też kupcy i rzemieślnicy.

× Z wiosną r. b. rozpocznie się budowa *kolei żelaznej Bołogoje-Siedlce*. Według doniesienia «Now. Wr.» nowa linja pójdzie od Bołogoje do Ostaszkowa, Toropca, Wielkich Łuk, Newla, Połocka, Wilejki, Lidy i Wołkowyska, przetnie wiele miejscowości, nie posiadających teraz kolei żelaznej. Do prac przygotowawczych sprowadzono już kilka tysięcy robotników z gub. kazańskiej, samarskiej i symbirskiej.

× Ministerstwo rolnictwa i dóbr państwa postanowiło — według doniesienia «Now.»—ze wszech miar starać się o *ożywienie towarzystw rolniczych* w Rosji oraz o zwiększenie ich liczby. W tym celu zamierzono udzielać im pomocy materjalnej.

W Petersburgu.

= **Jubileusz papiezki.** Dnia 7 lutego w 24-tą rocznicę wyboru Jego Świątobliwości Ojca św. Leona XIII na Papieża, J. E. arcybiskup Bolesław Kłopotowski o godzinie 11 odprawił uroczystą mszę św. w otoczeniu kapituły i licznie zgromadzonego duchowieństwa stolicy. W czasie mszy św. ks. metropolita zwrócił się do ludu z przemową, w której wykazał znaczenie papieztwa w kościele i zachęcał słuchaczy, aby okazywali miłość dla Namiestnika Chrystusowego przez ścisłą łączność z nim, posłuszeństwo Jego duchownemu kierownictwu i gorącą modlitwę, aby Pan Najwyższy wspierał go łaską swoją i zachował go najdłużej dla dobra ludu wiernego. Wieczorem tego dnia w Akademji duchownej odbył się ku czci Leona XIII wieczór muzykalno-literacki, w którym jeden z alumnów Akademji miał odczyt o zasługach społecznych dziś panującego Papieża, i wygłoszone zostały hymny ku Jego uczczeniu w języku łacińskim, greckim, hebrajskim i polskim. Uroczystość uświetnił swą obecnością Jego Ekscelencja metropolita z kapitułą, prałatami, kolegjum i profesorami seminarjum.

= **Wystawa** przemysłowo-rękodzielnicza, w Petersburgu zostanie otwarta niebawem w pałacu Taurydzkim. Protektorat nad nią objąć raczyła Jej Cesarska Mość Najjaśniejsza Pani Aleksandra Teodorówna. Do komitetu wystawy weszli pp. hr. Bobrinskij D. A. Timiriaziew, A. N. Naryszkina i inni przedstawiciele wyższych sfer petersburskich; jeneralnym komisarzem wystawy został p. K. W. Nikołajewskij. Pierwszy dział wystawy zajmą rękodzieła, drugi—narzędzia do wyrobu rękodzieł, trzeci—szkoły i warsztaty rękodzielnicze. Nadto urządzone będą osobne grupy geograficzne. Osobne miejsca zajmować będą: gubernie przemysłowe środkowo-rosyjskie, Królestwo Polskie i Finlandja. Najbogatszym będzie oddział tkacki; na wystawie znajdą się też zbiory poezji i muzyki ludowej różnych plemion, i będą przygrywały orkiestry ludowe, z różnych okolic państwa sprowadzone. Słyszeliśmy, że ma być tu także ludowa orkiestra polska. W tydzień po otwarciu wystawy odbędzie się w Petersburgu zjazd specjalistów w zakresie rękodzielnictwa.

= **Zgon ambasadora chińskiego.** Zwłoki zmarłego ambasadora chińskiego Jang-ju zostały uroczyście przeniesione do podziemi kościoła luterańskiego Piotra i Pawła, gdzie pozostaną przez pewien czas, zanim nie będą odesłane do Pekinu. Na uroczystość zgromadzili się posłowie państw, ministrowie: spraw zagranicznych rz. r. t. Lamsdorf i skarbu sekretarz stanu Witte, wielu dostojników państwowych i tłumy publiczności. O godz. 3 jeden z członków poselstwa chińskiego odczytał modlitwę, i zwłoki w trumnie, przykrytej żółtą flagą narodową, wyniesiono na ulicę. Wdowa po zmarłym, oraz członkowie poselstwa chińskiego byli w białych strojach żałobnych.

= **Witold Ihnatowicz**, autor popularnych podręczników do nauki języka francuzkiego, zmarł w Petersburgu w 68 roku życia. Po ukończeniu wydziału prawniczego w uniwersytecie moskiewskim, poświęcił się działalności pedagogicznej. Był nauczycielem w korpusach kadetów, w Instytucie elektrotechnicznym i na pensji katolickiej przy kościele św. Katarzyny.

= **T. Jeleniew**, b. członek rady ministra spraw wewnętrznych i głównego zarządu prasy, zmarł w Carskiem Siole d. 10 (23) lutego w wieku lat 65. Dzienniki petersburskie, zaznaczając jego działalność literacką, wyliczają między innemi następujące napisane przez niego prace: „Cywilizacja polska i jej wpływ na Ruś zachodnią“, „Współczesna kwestja finlandzka na zasadzie źródeł rosyjskich i finlandzkich“, „Wykłady o państwie finlandzkiem“, „Co zyskali i co spodziewają się zyskać finlandczycy przez odpadnięcie ich od rosyjskiej władzy państwowej?“

= **Bal polski** w Petersburgu odbył się z tradycyjną wystawnością dnia 9 b. m. w sali Zgromadzeń Szlacheckich. W pięknej, udekorowanej egzotycznemi roślinami sali zgromadziło się na krótko przed północą około tysiąca osób, wśród których reprezentowane były obficie przednie sfery stołecznego towarzystwa. W bocznej galerji ustawiono bufet. W kiosku — za filantropijny datek—darzyły kwiatami: p. Maleszewska z pp. Pokotiłówną i Wołowską; zaś cukrami, winem i chłodnikami panie: jenerałowa Borkowska z córkami, Gnoińska z córką, Guttmanowa, Sztolcmanowa, Sędzikowska z córką i Wojewódzka. Honory balu czyniły dwie gospodynie, panie: Spasowiczowa i Święcicka. Rozpoczął bal polonez, prowadzony w dwóch pierwszych parach przez panią Maleszewską z Augustem hr. Potockim i p. Natalję Spasowiczową z posłem hiszpańskim, margrabią Piusem di Savoia. Tańców program tradycyjny przeplatały gęsto tańce wznowione, jako to „chaconne“, lub nowe, jak ulubione już „pas de quatre“. Przewodniczył tancerzom i tancerkom, znakomicie biegły w komponowaniu choreograficznych figur inż. Słaboszewicz. Tańczono, jak na wielki, prawie reprezentacyjny bal, niezwykle ochoczo i długo. Na sali, oprócz wymienionych pań i panów, widzieliśmy wielu członków ambasad: francuzkiej i holenderskiej, posła austrjackiego przy dworze petersburskim, bar. Lexa d'Aehrenthal, jeneralnego konsula duńskiego p. M. Benisławskiego oraz wiele osób z dzielnic zachodnich i południowych, bawiących przelotem w Petersburgu. Bal przeto tradycyjnie—udał się jaknajlepiej.

= **Z teatrów i widowisk.** W operze włoskiej, we wtorek 12 b. m., w dzień benefisu p. Battistiniego, wystawiono operę Donizettiego „Maria di Rohan“ z p. Salomeą Kruszelnicką w roli tytułowej. Partja Marji, wymagająca niepowszedniego zasobu sił wokalnych, dała sposobność naszej rodaczce do zabłyśnięcia całą potęgą pięknego głosu.—W teatrze Maryjskim, w sobotę 16 b. m., odbędzie się widowisko-koncert na cel dobroczynny, w którem weźmie udział artystka opery Cesarskiej, pani Bolska.—Głośna artystka japońska Sada-Yakko, występująca z wielkiem powodzeniem w Paryżu i Londynie, zjeżdża ze swoją trupą do Petersburga. Przedstawienia odbędą się w poście.—Na scenie jednego z teatrów prywatnych niebawem ukaże się dramat „Ogniem i mieczem“, przerobiony z romansu historycznego H. Sienkiewicza przez p. Iljiczenko-Gorską.—Wystawienie na scenie teatru Nowego znanego dzieła H. Sienkiewicza „Quo vadis“ w przeróbce Emila Moreau (autora „Madame Sans-Gêne“), tłómaczonej przez hr. A. Z. Murawjewową—wywołało różne zdania. Zbyt mała scena teatru Nowego, na której artyści zaledwie pomieścić się mogą, nie nadaje się do obrazu areny cyrkowej z lożą Nerona i jego dworem. Mimo to sztuka sprawia wrażenie. — Moskiewski teatr artystyczny, którego przedstawienia budziły tak wielkie zainteresowanie w roku ub., zjeżdża do Petersburga na występy gościnne, które rozpocznie w d. 4 marca w teatrze Panajewa. Repertuar zapowiada sztuki: Ibsena, Gorkaho, Czechowa i Niemirowicza-Danczenki.

= **P. Erazm Dłuski**, twórca opery „Urwasi“, wyjechał do Lwowa, aby wziąć udział w przygotowaniach do wystawienia tej opery w tamtejszym teatrze miejskim.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Z TYGODNIA.

W senacie włoskim król Wiktor-Emanuel odczytał długą mowę od tronu, której redakcja nie wywołała w nim zapewne uczucia wdzięczności dla mini-

strów. Mowa była nudna i słuchano jej z widocznem roztargnieniem. Milczeniem głębokiem przyjęto cały ustęp o polityce zagranicznej, nie rozczulono się nad zamiarem rządu «nadwerężenia idealnej zasady małżeństwa», czyli, mówiąc poprostu: nad zapowiedzią wniosku ustawodawczego o rozwodach, i powitano oklaskami tylko wzmianki o przyjściu na świat księżniczki Jolanty i o dzielności wojsk włoskich w Chinach. Wiadomo zresztą, że urzędownie wszystkie wojska są dzielne i waleczne.

Wykrycie olbrzymiego fałszerstwa marek pocztowych i znaków stemplowych w Bułgarji, odsłania coraz nowe szczegóły niesłychanych intryg ludzi, którzy głosili, że «pragną wybawić ojczyznę z anarchji, w jaką wpadła skutkiem walki stronnictw, i nadać jej rząd mocny i trwały». Miljonowe środki dla stworzenia takiego rządu czerpano ze wspomnianych fałszerstw. Wyrabiano dziennie fałszywych marek i stempli na sumę kilkunastu i kilkudziesięciu nawet tysięcy franków. Wielki herszt tych wszystkich «odnowicieli», kraju dr. Jowew, który odebrał sobie życie, umiał fałszować nietylko marki. Będąc szwagrem przywódcy stambołowców Petkowa i mając z nimi stosunki, pisywał do nich częste listy, i wycinając z otrzymanych odpowiedzi pojedyńcze wyrazy, układał z nich straszliwe dokumenty, które fotografował, w zamiarze skompromitowania następców Stambołowa. «Przedwczesna» śmierć nie pozwoliła Jowewowi doprowadzić do skutku tych pięknych zamiarów, a wykrycie fałszerstw jego wspólników unicestwiło urzeczywistnienie pomysłu nadania Bułgarji «mocnego rządu».

Podejrzliwość sułtańska nie zna granic. W pałacu zbiegłego do Europy zięcia sułtana Mahmuda-Damala baszy, zamieszkał marszałek armji tureckiej Fuad-basza. Człowiek to w Turcji znany, chwała armji, bitny wódz i żołnierz, zwycięzca w wojnie wschodniej pod Heleną i na Kaukazie. Honorował go padyszach, obdarzał orderami, wyprawiał w poselstwach nadzwyczajnych do Liwadji i Petersburga. Dzielny marszałek podobał się wszystkim w Rosji, otrzymał tu ordery Orła Białego i św. Aleksandra Newskiego... I wszystko szłoby jaknajlepiej, gdyby nie to nieszczęśliwe zamieszkanie w domu Mahmuda. Otoczono dom szpiegami, a gdy nie mogąc pozbyć się ich w drodze legalnej, Fuad kazał rozpędzić tych panów swej służbie, i ztąd wynikła bójka uliczna, oskarżono go, że pragnie wywołać zaburzenia przeciwormiańskie i... wywieziono na statku gdzieś bardzo daleko. Tu wmieszał się w sprawę poseł rosyjski p. Zinowjew i w posłuchaniu, trwającem parę godzin, doradzać miał sułtanowi złagodzenie kary, jaka dotknęła Fuada.

W ostatnich czasach prasa europejska interesowała się pytaniem, jak na konfiikt hiszpańsko-amerykański w roku 1898 zapatrywały się wielkie mocarstwa. Obecnie w urzędowym «Journal de St.-Pétersbourg» ukazał się komunikat w tej sprawie. Kiedy zaostrzył się stosunek między Hiszpanją a Stanami Zjednoczonemi z powodu Kuby, przedstawiciele mocarstw europejskich zebrali się u posła angielskiego Paunsfota, d. 2 (14) stycznia r. 1898, i na jego propozycję posłali depesze do swoich dworów, z propozycją wmieszania się w tę sprawę. Rząd rosyjski tej propozycji nie uwzględnił, widząc w niej zamiar potępienia polityki Stanów Zjednoczonych. «Ten sposób postąpienia—mówi dziennik—był nowym objawem tradycyjnej przyjaźni, łączącej Rosję ze Stanami Zjednoczonemi».

J. M.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Francja. W Paryżu utworzyła się liga przeciw pojedynkom, z filjami na prowincji. W każdym okręgu będą mianowani członkowie sądów honorowych. W Paryżu utworzył się już sąd honorowy, przewodniczącym został ks. Broglie.—Przybyła do Paryża deputacja czeska, złożona z 60 osób, na uroczystość setnej rocznicy urodzin Wiktora Hugo.—Publicysta czeski Schmidt Boszec, przybyły do Paryża w celach politycznych, odczytał w sali Bodinier referat, w którym wskazuje na niebezpieczeństwo pangermanizmu międzynarodowego i na solidarność interesów Francji i Czech.

Anglja. Z powodu oświadczeń lorda Rosebery w kwestji irlandzkiej, nastąpił rozłam w stronnictwie liberalnem. Część starych liberałów, z Campbell Bauermanem na czele, pragnie wytrwać przy *„home-rule'u"* irlandzkim, w duchu politycznego testamentu Gladstona. Prasa ministerjalna zadowolona jest z tego obrotu rzeczy, gdyż zapewnia on dłuższe panowanie dla Chamberlaina i unjonistów. Podobno Rosebery przejdzie również do unjonistów.

Turcja. Głośna amerykanka, mis Ellen Stone, została nareszcie uwolniona z rąk rozbójników i przybyła do m. Strunigi.

Transwaal. Słynny De Wet znowu przerwał linję blokhauzów i ukrył się przed anglikami w niedostępnych wąwozach. Angielski pułkownik Parck napadł na oddział boerów, ukrywający się w górach, rozproszył go i zabrał do niewoli 164 ludzi, oraz zawładnął całym obozem. W liczbie jeńców znajduje się kilku oficerów boerskich.

Stany Zjednoczone. Przybyły do Waszyngtonu ks. Henryk pruski został uroczyście powitany przez prezydenta Roosevelta.

SKOROWIDZ ADRESÓW.

DR. JAN PILTZ, specjal. od chorób nerwowych, osiadł w Warszawie; przyjmuje od godziny 9—10 rano i od 4—6 po poł. Piękna 14.

NADESŁANE.

WYSZŁY Z DRUKU
WINCENTEGO KOSIAKIEWICZA
POEZJE.
Są do nabycia w warszawskim Kantorze „Kraju". Marszałkowska 119.
Cena 1 rb., z przesyłką 1 rb. 25 k.

KRONIKA.

Kościół i duchowieństwo.

* Uroczystości jubileuszowe 25-lecia pontyfikatu Leona XIII rozpoczęły się we czwartek d. 20 lutego, uroczystem *„Te Deum"* w kościele św. Piotra. W nabożeństwie, które odprawił kardynał sekretarz stanu ks. Rampolla, wzięło udział 24 kardynałów, około 40 biskupów, szlachecka gwardja papiezka w uniformach galowych, około 300 delegatów katolickich stowarzyszeń rzymskich, liczne delegacje z Włoch i zagranicy i olbrzymi tłum z 20 tys. osób. Tłum witał z zapałem Ojca św., stojącego w oknie pałacu watykańskiego. Ojciec św. przyjmował w sali tronowej Watykanu komitet jubileuszowy z kardynałem-wikarjuszem Respighi na czele, oraz deputacje. Ze wszystkich stron świata nadesłano niezliczone telegramy i listy. Rządy państw katolickich wysłały umyślne delegacje; z państw protestanckich uczyniły to tylko Niemcy i Anglja. Delegacja niemiecka przybędzie do Rzymu d. 3 marca. Na czele jej stać ma jenerał konnicy, baron Loë z Bonnu.

* Ludność polska W. Ks. Poznańskiego, Prus zachodnich i Szlązka górnego postanowiła w dniu 2 marca r. b., jako w wilję **rocznicy koronacji Leona XIII**, urządzić **wspaniałe iluminacje** okien i domów.

* W Krakowie zawiązał się komitet obywatelski z hr. Stanisławem Tarnowskim na czele, który zamierza d. 2 marca r. b. urządzić **uroczysty wieczór**, celem uczczenia 25 rocznicy pontyfikatu Ojca św., Leona XIII.

* Wychodzący w Wiedniu „Sławianskij Wiek" zapewnia, że niektórzy studenci chorwaccy przeszli **z katolicyzmu na unję**, objaśniając ten swój krok przeszkodami, stawianemi przez metropolitę Dwornika rozpowszechnianiu obrządku głagolickiego, to jest słowiańskiego.

* W Toruniu pierwszy raz od niepamiętnych czasów odbyły się d. 29 stycznia **prymicje kapłana, rodowitego litwina**, Wojciecha Dannellanckiego. Ks. dziekan Januszkowski z Tylży przemówił po litewsku, a ks. prob. Neuman z Frauendorfu po niemiecku. Na uczcie śpiewano wiele pieśni litewskich.

* Dowiadujemy się, że w składzie osobistym duchowieństwa djecezji **żmudzkiej** zaszły następujące zmiany: *Przeniesieni—filjaliści:* ks. Kaz. Malinowski—z Mieczajć do Medyngian; ks. Winc. Kowszas — z Połan do Pojezior; ks. Winc. Tomkiewicz — z Deguć do Moniszkanc. *Wikarjusze* parafi: ks. Jan Pujdak — z Wieszynt do Rumszyszek; ks. Józ. Jarsus — z Subocza do Wieszynt; ks. Józ. Wajczus—z Okmian do Żabiszek; ks. Jan Butkiewicz—z Żabiszek do Okmian; ks. Wład. Daniłowicz—z Rakiszek do Datnowa; ks. Kaz. Szlejwis — z Wewiržan do Kul; ks. Józ. Stonius—ze Średnika do Erżwiłka; ks. Winc. Rożański — z Erżwiłka do Średnika; ks. Józ. Szapałło—z Łaukiessy do Świadości; ks Piotr Wanagas — z Subocza do Ellerny; ks. Mich. Skorupski— z Ellerny do Łankiessy; ks. Ant. Karwelis— z Wodakl do Szyłel; ks. Mich. Karaś — z Szat do Dorbian; ks. Mich. Piotrowski— z Abel do Powondenia; ks. Konst. Czapas—z Zagor do Abel; ks. Ant. Matiulis— z Wojnuty do Wewiržan; ks. Alb. Razmo — z Girdyszek do Niemokszt; ks. Jan Mieszkowski — z Kupiszek do Girdyszek. *Mianowani:* ks. Fel. Paszkanis, kapelan gimnazjum szawelskiego—na wikarjusza par. w Płungianach; ks. Józ. Dyrginczus, kapelan szkoły realnej w Poniewieżu, na kapelana gimnazjum szawelskiego; ks. Kaz. Szawlis, wik. par. w Poniewieżu, na kapelana poniewiezkiej szkoły realnej. *Zmarli kapłani:* ks. Józef Stankiewicz, mansjonarz przy kościele par. w Telszach, lat 75; ks. Wiktor Rustejko, administrator par. w Szawkianach, kanonik honorowy katedry żmudzkiej, lat 78; ks. Piotr Ławrynajtis, wik.

par. w Szkudach, lat 28; ks. Juljusz Nargiełło, administrator par. w Remigole, lat 60; ks. Władysław Mikoni, altarzysta w Olsiadach, lat 68.

Prawo i sądy.

** Zjazd sędziów pokoju w Kijowie rozpoznawał niedawno w drodze apelacji sprawę budowniczego politechniki kijowskiej prof. **Kitnera** przeciw prezesowi komisji budowlanej, zarządzającemu kijowską Izbą skarbową, docentowi uniwers. p. **Samofałowowi o potwarz.** Ten ostatni na posiedzeniu komisji budowlanej, na które nie przybył Kitner, powiedział: „uciekł, aby nie widzieć się ze mną; ale ja go sprowadzę etapem... umie on brać procenty od przedsiębiorców". Świadkowie, zbadani na żądanie oskarżonego, stwierdzili, że prof. Kitner zawsze bronił przedsiębiorców, chociaż roboty były źle wykonane, a ceny wygórowane. Strony szeroko rozwodziły się w swoich przemówieniach o t. zw. „procencie inżynierskim". Zjazd, uznając, iż w danym wypadku nie było potwarzy, tylko obelga zaoczna, uchylił wyrok sędziego pokoju, zwalniając p. Samofałowa od odpowiedzialności sądowej.

** Izba sądowa charkowska w sprawie małżonków Z., o której wspominaliśmy w N-rze 3 „Kraju", uchyliła wyrok sądu okręgowego, który odmówił **uprawnienia nieślubnej córki** p. Z., jako zrodzonej ze związku cudzołożnego. Zdaniem Izby sądowej, ponieważ pierwszy związek małżeński pani Z. został unieważniony przez Rzym (*utpote nulliter contractum*), przeto stosunek jej ówczesny z p. Z. nie może być uważany za cudzołóztwo, a więc niema przeszkody do uprawnienia zrodzonego z tego związku dziecka.

** Senat niedawno wyjaśnił, iż wysokość szacunku zastawionego przedmiotu, oznaczona w kwicie lombardu, nie może mieć znaczenia decydującego w wypadku, jeżeli z winy lombardu zastaw zostanie zgubiony i że strona zainteresowana może dowodzić, wartości zaginionego przedmiotu w inny sposób, np. przez świadków i t. p.

** Senat znów wyjaśnił, iż początkowe **zaprowadzenie bruków** na ulicach jest obowiązkiem zarządu miejskiego i musi być dokonanem z dochodów miasta; na właścicieli domów spada tylko ciężar dalszego utrzymania i naprawy bruków.

** W kwietniu r. b. Izba sądowa odeska zjeżdża do Winnicy dla rozpoznania **sprawy o 5 sędziach przysięgłych**, którzy przyjęli od oskarżonego podarki i traktament za uwolnienie go od winy.

** W dniu 16 b. m. na połączonem zgromadzeniu wydziału administracyjnego i cywilnego petersburskiego Towarzystwa prawniczego, członek naszej redakcji, adw. przys. p. Bohdan **Kutyłowski** wygłosi **odczyt** p. t.: „Wywłaszczenie przymusowe i wnętrze ziemi".

Osobiste.

∞ Ciężką chorobę przebywa **Henryk Siemiradzki.** Utworzyła mu się na języku narośl natury rakowatej. Kuracja, zdaniem lekarzy-specjalistów, potrwać może długo.

BIURO INFORMACYJNE
PRZY REDAKCJI „KRAJU"

udziela odpowiedzi na zapytania czytelników, mające charakter ogólniejszy i dotyczące stosunków administracyjnych, prawnych, społecznych, ekonomicznych i t. p.

Nr. 1088. (*H. E. B. w Szepiet.*). Ustawodawstwo rosyjskie nie podaje nigdzie przepisów o uwolnieniu się od poddaństwa i nie w tych przepisach należy szukać rozwiązania pytania, interesującego sz. pana. Pp. X. i Y., synowie b. poddanego rosyjskiego, uwolnionego od poddaństwa w drodze właściwej, urodzili się w Rosji, tu uczęszczali do szkół i odbyli powinność wojskową, co stanowi najlepszy dowód, że są uważani za poddanych rosyjskich — nie są jednak zaliczeni do żadnego stanu. Otóż na mocy art. 522 p. 9, mają oni niezawodnie prawo wpisać się w poczet mieszczan miasta, w którem zamieszkują. W tym celu powinni wnieść odpowiednie pytanie do miejscowej Izby skarbowej, dołączając atestację 6 obywateli-właścicieli nieruchomości miejskich, poświadczoną przez urząd mieszczański („uprawa").

Nr. 1073. (*W. A. J. L. w Wilnie*). Zarząd „Towarzystwa autorów dramatycznych rosyjskich i kompozytorów operowych" mieści się w Moskwie w mieszkaniu prezesa, p. Kondratjewa (pałac jenerał-gubernatora). Członkiem może zostać każdy autor dramatyczny, piszący po rosyjsku, czyj utwór był już wystawiony w jakimbądź teatrze lub innej scenie płatnej (na dowód należy załączyć afisz), albo uzyskał aprobatę cenzury dramatycznej, skoro zamierza powierzyć Towarzystwu opiekę swojego prawa własności literackiej lub muzycznej; wpis wynosi 25 rb. jednorazowo; za ochronę prawa własności swoich członków Towarzystwo potrąca sobie od 30—35 proc. ich honorarjum autorskiego. Autorowie, piszący w innych językach, mogą zostać członkami tegoż Towarzystwa tylko w tym razie, jeżeli utwory ich są przetłómaczone na język rosyjski. Członek Towarzystwa powinien przelać na komitet Towarzystwa prawo zezwalania na wystawianie w teatrach swoich sztuk na przyjętych w Towarzystwach warunkach, wyjąwszy teatry Cesarskie oraz stołeczne. Wszelkie umowy z dyrekcją teatrów Cesarskich autor zawiera sam, bez udziału Towarzystwa. Ma też prawo zawierać sam układy z przedsiębiorcami teatrów stołecznych co do wystawienia sztuk, które jeszcze nie były dawane w stolicach. O wszystkich tych układach członek winien niezwłocznie zawiadomić komitet Towarzystwa. Ochrony praw autorskich podejmuje się także rosyjskie Towarzystwo teatralne (zarząd mieści się w Petersburgu: ul. Mikołajewska 31): wpis rocznie 5 rb., za opiekę 20 proc. od wynagrodzenia autorskiego. Uczestnictwo w jednem Towarzystwie wyklucza przyjęcie do drugiego.

Nr. 1094. (*W. Józ. G. w Tar.*) I nam się wydaje, że inicjatywa w sprawie zabezpieczenia losu robotników wiejskich powinna należeć do towarzystw rolniczych, gdyż zadanie to przechodzi siły gospodarstw pojedyńczych średnich i dostępne jest tylko dla bardzo wielkiej posiadłości. Niektóre towarzystwa rolnicze podjęły już tę sprawę. Niedawno zatwierdzona została ustawa kasy przy Tow. rolniczem kurlandzkiem dla zabezpieczenia na starość bytu robotników wiejskich w gub. kurlandzkiej. Kasa ta istnieje przy Tow. rolniczem i kierownictwo jej należy do komitetu. Uczestnikiem kasy może zostać każdy właściciel ziemski lub dzierżawca w Kurlandji; każdy członek wnosi jednorazowo po 1 rb. i rocznie po 3 rb. 50 k. od każdego robotnika męzkiego rocznego, pełnoletniego i zobowiązuje się do składania tych rat za każdego robotnika, aż do dojścia przez tegoż do 60 lat życia. Dla kontroli uczestnik przedstawia komitetowi spis swoich robotników i zawiadamia o wszelkich zmianach. Przy przejściu od jednego uczestnika kasy do drugiego, robotnik nie traci prawa do emerytury. Po dojściu do 60 lat, robotnik otrzymuje emeryturę, której wysokość zależy od tego, przez ile lat za niego opłacano składki do kasy; rozmiary jej określa zgromadzenie ogólne Tow. rolniczego. Tuszymy, że i nasze towarzystwa pójdą za tym dobrym przykładem.

ZAŚLUBINY I ZARĘCZYNY.

W Krakowie odbyły się zaręczyny posła na sejm, Kazimierza ks. **Lubomirskiego** z hrabianką Teresą **Wodzicką**, córką Józefa, posła austrjacko-węgierskiego w Sztokholmie.

W Wilnie, w kaplicy Ostrobramskiej odbyła się w niedzielę 3 lutego uroczystość zaślubin Cezarego hr. **Stadnickiego** z p. Celiną **Karwicką.**

Dnia 11 lutego w parafji Włostowice pobłogosławiony został związek małżeński, zawarty pomiędzy p. Tomaszem **Czepkowskim** a panną Wandą **Sierpińską.**

DONIESIENIA.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT **FERDYNANDA HÖSICKA**, wydawcy „Bibljoteki ilustrowanej dla młodzieży" **w Warszawie**, przy ul. Senatorskiej № 496, posiada zawsze na składzie **wszelkie nowości literackie** we wszystkich językach: Przyjmuje prenumeratę na **wszystkie pisma** w kraju i zagranicą wychodzące. Główny skład **Globusów, Tellurji i Planetarji.**

CAPILLIFER.

Środek wzmacniający cebulki włosów, niszczący łupież, wskutek czego rosną gęste i mocne włosy, co zostało stwierdzone długoletnią praktyką.

Ceny flakonów po 2, 3, 4 i 6 rubli. Mydła do mycia włosów po kop. 20, 30 i 40 za sztukę. Aby uniknąć nadużyć, każdy flakon opatrzony na korku i denku jednakowemi markami № 1036 pozwolenia Urzędu Lekarskiego, portretem i podpisem wynalazcy, u którego wyłączna sprzedaż. Warszawa, Aleja Jerozolimska, 70. T. L. Grabowski.— Obstalunki od rb. 2 załatwiam po otrzymaniu zadatku rb. 1. (970)

NEKROLOGJA.

Ś. p. Antoni Korewicki,

ur. w roku 1829, syn Antoniego, kapitana wojsk polskich, i Tekli z ks. Kurcewiczów, po długich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, oddał Bogu ducha 15 grudnia 1901 roku, — polecając siebie pamięci tych, z którymi go serdeczne uczucia łączyły.

LISTA ZMARŁYCH.

† **Lewandowski** Gustaw, doktór i obywatel ziemski, lat 62—w Warszawie. **Mirewicz** Juljan, inżynier, emeryt, lat 77 — w Warszawie. **Kudelski** Leon-Walery, lat 77 — w Warsz. **De Rosset** Józef-Marjan, wikary klasztoru oo. Kapucynów w Krakowie, l. 65 — w Warszawie. **Stawikowski** Leon, nauczyciel szkoły technicznej kolei Warsz.-Wied., l. 61—w Warszawie.

† **Górski**-Pobóg Jan, ob. ziemski, l. 64 — w Koniówce (gub. radomska). **Hoffmanowa** Klotylda - Marja, z Kłobukowskich — w Kielcach. **Ihnatowicz** Witold, profesor elektrotechnicz. instytutu — w Petersburgu. **Koelner** Maurycy, doktór, l. 91 — w Kole. **Kowalski** Zdzisław-Juljan, l. 27—w Otwocku. **Krasicka** hr. Helena z Oskierków, lat 66—w Poniemuniu. **Perkahl** Zygmunt, dr. med., chirurg, b. prezes Tow. lekarskiego w Płocku—tamże. **Skoryna** Karol, prowizor farmacji, l. 35 — w Pabjanicach. **Włodek** Tomasz-Józef, ks., l. 80 — w Kielcach. **Zawadzki** Ksawery, ob. ziemski, l. 76 — w Postrużach.

† **Andruszewski** Albin — w Poznaniu. **Poller** Józef, urzędnik bibljoteki Jagiellońskiej w Krakowie, lat 73—tamże. **Strzelecki** Wiktor, radca apelacyjny — w Krakowie.

EKONOMISTA.

Z TYGODNIA.

[Cła kompromisowe. Zmiany w ustawach banków ziemskich. Podwyższenie opłat w pociągach pośpiesznych. Handel z Anglją. Węgiel dla Galicji].

Ostra postawa, zajęta przez skrajną partję agrarjuszy niemieckich w sprawie celnej, nie pozostała widocznie bez wpływu na resztę parlamentarjuszów, bo, jak donoszą pisma niemieckie, komisja taryfowa zaprojektowała kompromisowe załatwienie sprawy i w tym celu proponuje większością 15 głosów przeciwko 13 podniesienie ceł na zboże w stopniu następującym:

	taryfa autonomiczna		*taryfa minimalna*	
	projekt rządowy	kompromisowy	projekt rządowy	kompromisowy
pszenica . .	6,5 mar.	7,5 mar.	5,5 mar.	6,0 mar.
żyto . . .	6 »	7 »	5 »	5,5 »
jęczmień. .	4 »	7 »	3 »	5,5 »
owies. . .	6 »	7 »	5 »	5,5 »

Wniosek kompromisowy podpisali konserwatywni członkowie komisji, liberalni, centrum i dr. Komierowski, odmówiła zaś podpisu cała lewica, jeden z członków centrum, paru liberałów oraz agrarjusze, których kompromis jeszcze nie zadawalnia. W tych dniach oczekiwane jest oświadczenie hr. Posadowsky'ego co do stanowiska rządów związkowych wobec projektowanego kompromisu, zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że sfery rządowe na żadną zwyżkę taryfy się nie zgodzą, ze względu zarówno na stosunki międzynarodowe, jak i na potrzeby przemysłu i handlu niemieckiego.

W uzupełnieniu ogłoszonych niedawno przepisów o działalności towarzystw akcyjnych, ministerstwo skarbu wniosło do Rady państwa dalsze zmiany w ustawodawstwie akcyjnych przedsiębiorstw bankowych. Podajemy za «Rus. Wied.» najgłówniejsze zmiany w ustawach banków ziemskich: 1) celem zapobieżenia nadużyciom, powstającym na gruncie zbyt łatwego szafowania funduszami rezerwowemi, banki ziemskie mają prawo lokowania ich w innych instytucjach kredytowych w ilości nie większej nad $^1/_{10}$ zakładowego kapitału banku ziemskiego; 2) dla ukrócenia spekulacji budowlanej, opartej na łatwym kredycie, norma pożyczek na zastaw nieruchomości miejskich nie może być większą nad $^4/_5$ ogólnej sumy pożyczek, wydanych przez bank ziemski w ciągu roku; 3) papiery procentowe kapitałów zapasowych winny być wnoszone na przechowanie do kantorów i filij Banku państwa; wreszcie 4) dla dokonania rewizji rządowej wystarcza żądanie $^1/_5$ części akcjonarjuszów, rozporządzających $^1/_{10}$ kapitału zakładowego, zaś minister skarbu może zarządzić rewizję bez wyjednywania Najwyższego zezwolenia.

W konsekwentnie przeprowadzanej dążności swojej do zwiększenia dochodów kolejowych, władze taryfowe, po podniesieniu ogólnej taryfy osobowej na odległościach powyżej 3 tys. wiorst, oznajmiają obecnie, że z dniem 18 kwietnia wprowadzone zostaną zwiększone opłaty dodatkowe «za szybkość» w pociągach pośpiesznych. Z ogłoszonego wykazu tych opłat widzimy, że podwyższenie opłat nie jest stosowane, jako zasada ogólna, na wszystkich kolejach i do wszystkich pociągów, ale uwzględnia warunki lokalne. A zatem żadnych zmian nie wprowadzono na kolejach: Petersbursko-Warszawskiej, Warszawsko-Wiedeńskiej, Południowo-Zachodniej i Bałtyckiej. Natomiast dość znacznie podniesiono opłaty dodatkowe, np. na kolei Moskiewsko-Brzeskiej: za odległość Moskwa-Brześć opłata w I klasie wynosi 6 rb. 30 k. (zamiast dotychczasowej 4 rb. 20 k.), a w II klasie—5 rb. 5 k. (zamiast 2 rb. 52 k.). Na Mikołajewskiej zwyżka opłaty dotknęła tylko drugiej klasy w pociągach pośpiesznych, mianowicie za odległość Petersburg-Moskwa 3 rb. 60 k., zamiast 2 r. 70 k. Większe podwyższenie opłat dodatkowych zastosowane też będzie do pośpiesznych pociągów syberyjskich oraz do t. zw. ekspresów.

W londyńskiej Izbie handlowej p. Coock, angielski agent handlowy, zamieszkały w Moskwie, odczytał w tych dniach referat o nawiązaniu bliższych stosunków handlowych z Rosją. Zdaniem p. C., chwila obecna, z powodu gmatwających się układów celnych z Niemcami, sprzyja ogromnie temu zadaniu. Największą usługę mogłoby oddać utworzenie osobnej anglo-rosyjskiej Izby handlowej dla nawiązania stosunków z Rosją bez pośrednictwa niemców. Opinję p. C. potwierdził w zupełności p. Murray, sekretarz londyńskiej izby handlowej, oraz p. Tatiszczew, agent handlowy rosyjskiego ministerstwa skarbu.

Wogóle ruch w kierunku rozszerzenia rynków zbytu daje się zauważyć ogólnie. Właściciele kopalń węgla w zagłębiu dąbrowskiem, wobec nagromadzenia się dużych zapasów węgla, wywołanego stagnacją w przemyśle, wysłali delegację do Lwowa, celem zaofiarowania swego węgla przemysłowcom miejscowym, sprowadzającym dotąd węgiel ze Szlązka. O ile wiemy, kombinacja ta ma wszelkie szanse powodzenia, a uwzględnić należy, że Galicja sprowadza rocznie około 40 tys. wagonów węgla, za sumę koło 5 milj. koron.

G.

TYDZIEN EKONOMICZNY.

Ogólne.

— **Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowe** otrzymały od kancelarji do spraw kredytowych polecenie aby kopje rocznych sprawozdań niezwłocznie nadsyłano do kancelarji zaraz po zatwierdzeniu tych sprawozdań przez ogólne zebranie. Do sprawozdania powinny być dołączane uchwały zebrania ogólnego z wykazem liczby członków, biorących udział w zebraniu.

— W Moskwie Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiemu Księciu Sergjuszowi Aleksandrowiczowi przedstawiała się deputacja robotników z fabryk mechanicznych, w których ma być założona **ogólna kasa pomocy wzajemnej dla robotników**. Deputacja wyraziła Jego Cesarskiej Wysokości wdzięczność za zaufanie i za starania o zatwierdzenie statutu kasy.

— W ministerstwie skarbu podniesiony został projekt podwyższenia opłaty od **paszportów zagranicznych**. Projekt ten jednak nie uzyskał poparcia w ministerstwie spraw wewnętrznych, które żąda znowu obniżenia dotychczasowej opłaty od paszportów zagranicznych.

— Jak olbrzymie znaczenie przy budowie kolei żelaznych mają **studja przedwstępne**, zbadanie terenu i wytknięcie kierunku, łatwo się domyśleć. Tymczasem, jak dotąd, specjalne piśmiennictwo rosyjskie ograniczało się w tym względzie kilku rozdziałami z „Geodezji" prof. Bogusławskiego i broszurą p. Tichonowa, gdyż jedyna praca większa o studjach kolejowych inż. Stuckenberga jest oddawna wyczerpaną i już nieco przestarzałą. Dotkliwą tę lukę w piśmiennictwie technicznem wypełnia wydane świeżo 4-tomowe dzieło naszego rodaka, inż. **Henryka Krajewskiego**, p. t.: *„Żeleznodorożnyja izyskanja i sostawlenje projekta"*, uzupełnione albumem rysunków technicznych. Wedle opinji fachowców, książka ta zadawalnia wszelkie wymagania nauki i powinna być stałym przewodnikiem każdego inżyniera kolejowego. W opracowaniu książki brali obok autora udział pp. inż.: Bystrzyński, Berkiewicz, Mejerowicz, Kiełdysz i inni.

KRONIKA GIEŁDOWA.

Petersburg, 13 (26) lutego. Od wtorku do soboty usposobienie giełdy było słabe, dzięki silnej podaży walorów; między innemi wiele zleceń sprzedaży otrzymywano z Warszawy. Przez poniedziałek i wtorek tendencja nieco wzmocniła się; płacono ceny wyższe, chociaż obroty były wogóle ograniczone. Ceny wtorkowe—banki: rosyjski dla hand. zewn. 299 — 301, handl.-przem. 241,5 — 246, międzynarodowy 349 — 352, dyskontowy 435–428–431, wileński ziemski 500; walory naftowe: kaspijskie 4,200, mantaszewskie 168,5—172; metalurgiczne: sormowskie 100 — 112,5, putiłowskie 78,5 — 80, bałtyckie 1110—1125, donieckie 61 — 67. Pożyczki premjowe: I — 482 — 478, II — 385 — 380, III — 306 — 302. Renta 96$^1/_8$.

Warszawa, 22 lutego. Listy zastawne ziemskie $4^1/_2$-proc. 99,45—99,60; 4-proc. — 88,05 — 89. Listy zastawne m. Warszawy 5-proc. w zaofiarowaniu — 100; $4^1/_2$-proc. w tranzakcjach — 93,40. Z akcyj — Rudzkie 680—705—698, starachowickie 161—165,5.

Czeki: na Londyn 94 rb. 80 k. za 10 funt. szt.; na Paryż 37 rb. $67^1/_2$ k. za 100 franków; na Berlin 46 rb. $27^1/_2$ k. za 100 mar.; na Wiedeń 39 rb. 55 k. za 100 koron.

Dyskonto — w Petersburgu: Bank państwa $4^1/_2$—6, giełda $4^1/_2$ — $6^1/_2$ proc., w Londynie, Paryżu, Berlinie, Amsterdamie i Brukseli 3 proc., w Wiedniu $3^1/_2$ proc., w Kopenhadze 4 proc.

RYNKI ZBOŻOWE.

Na rynkach międzynarodowych obroty ograniczone, ale usposobienie mocne, zwłaszcza w Niemczech z pszenicą i żytem. Płacono:

	Pszenica.	Żyto.	Owies.	Jęczmień.
W New-Yorku.	101,5	—	—	—
» Londynie	102,5—106	—	107—109,5	79
« Marsylji.	101,5—103	—	—	70,75
» Berlinie...	129,25	113,75	120,5	—
» Hamburgu.	—	82,25	—	—
» Gdańsku. .	85—105	—	—	—

Na rynkach rosyjskich usposobienie również przeważnie mocne. Popyt na pszenicę ze strony Niemiec i Anglji, — na żyto ze strony Danji. Ogólna zwyżka cen owsa. Płacono:

	Pszenica.	Żyto.	Owies.	Jęczmień.
W Warszawie	96—105	75—88	88—99	—
» Kijowie..	87—89	65—67	80—82	—
» Wołoczyskach	85—91	60—65	—	55—60
» Odesie....	89	—	—	68
» Libawie ..	—	82	89—97	—
» Rewlu....	88—93	81—84	90—99	75—78

NASIONA. (Sprawozdanie domu handlowego B. Hozakowski w *Toruniu*). Usposobienie mocne. Bardzo pożądaną jest koniczyna biała po cenach nader wysokich, dalej seradella i łubiny po cenach również wyższych. Płacono: koniczynę czerwoną (franco Aleksandrowo) — 6,03 do 7,81 rb., białą 7,54 do 13 rb., szwedzką do 7,54 rb., seradellę do 1,50 rb., tymoteusz do 4 rb. za pud. Po cenach tych każda, choćby największa partja, odbiorców znajduje.

WEŁNA. W *Berlinie* płacono: myta włościańska 75—106 mar., kortowa 110—130 m., sukienniczą 132—169 m., niemyta włościańska 36—44 m., średnia 45 — 49 m., wyborowa 50 — 60 m. za centnar. W *Warszawie* tendencja zwyżkowa, popyt na gatunki wyższe dobry.

CUKIER. W *Kijowie* — rafinada 5,50, mączka (przeciętnie) 4,46$^1/_2$. W *Odesie* mączka 4,60. W *Petersburgu*—rafinada Keniga 5,75—5,80; mączka 5,00—5,05. W *Moskwie* — rafinada 5,55 — 5,60; mączka 5,00 — 5,02$^1/_2$.

MASŁO (kor. «Samopomocy») w *Rydze* — na wywóz — I gat. 34—37 kop., II gat. 31—33 k., III gat. 27 — 30 kop. za funt.

Przy datach starego stylu podawaną jest w nawiasie data nowego stylu. Daty nowego stylu podawane są pojedyńczo.

Redaktor i Wydawca
Erazm Piltz.

ŻYCIE I SZTUKA

PISMO DODATKOWE, ILUSTROWANE.

„Kraj" Petersburg, 15 (28) lutego 1902 r. № 7

Szczęsny Potocki. Według sztychu współczesnego, ze zbiorów p. J. Weyssenhoffa.

NIEDOSZŁY POJEDYNEK

KS. JÓZEFA PONIATOWSKIEGO ZE SZCZĘSNYM POTOCKIM.

(EPIZOD Z DZIEJÓW TARGOWICY).

1793 r.

W pamiętnikach Sieversa, posła pełnomocnego rosyjskiego w epoce 2 rozbioru Rzeczypospolitej, znajdujemy wzmiankę o zatargu listownym między Szczęsnym Potockim a księciem Józefem, zakończonym wyzwaniem pierwszego do rozprawy honorowej.

Było to w lutym 1793 r. Szczęsny przebywał podówczas naprzemian to w Warszawie, w dawnym pałacu Mniszchów, przy ulicy Senatorskiej (w otoczeniu zauszników, które krewniak jego, Jan Potocki, krajczyc koronny, uwiecznił w rzadkim szkicu odręcznym, z natury zdjętym) [1]), to znów w Grodnie, jako przywódca stronnictwa, którego zadaniem było zniweczenie doszczętne ustawy majowej; książę Józef zaś, po wręczeniu królowi dymisji ze stanowiska wodza wojsk, broniących w r. 1792 r. granic i samodzielności kraju przed okupacją sąsiedzką, bawił w stolicy Austrji, zkąd go niebawem dwór wiedeński miał wydalić.

Źródła polskie o szczegółach szermierki piórowej między owymi dwoma przedstawicielami dwóch biegunowo sobie przeciwnych obozów i zasad, nie wspominają; a jakkolwiek w listach króla do Szczęsnego i księcia Józefa do króla, z owej właśnie epoki, są napomknienia o owym zatargu, jednakże o jego przebiegu i epilogu niema w nich mowy.

Przeglądając w roku 1897 w archiwum ministerstwa spraw zagranicznych w Paryżu tomy raportów dyplomatycznych z epoki konfederacji targowickiej, natrafiłem w tomie 321 na dokumenty N-ra 75, 102, 133 i 200, sprawę pomienioną wyświetlające. Przesłanemi one były ministrowi spraw zagranicznych w Paryżu przez Purandiera, agenta francuzkiego przy emigracji polskiej, w Lipsku podówczas zgromadzonej.

Wymiana listów między Szczęsnym a księciem Józefem odbyła się w języku francuzkim, gdyż książę tym tylko językiem władał biegle, a nawet z królewskim swym stryjem wyłącznie po francuzku korespondował. Jako uzupełnienie informacyj o zatargu posłużą nam, oprócz pamiętników Sieversa [1]), własny pamiętnik księcia Józefa o kampanji 1792 r. [2]), nadto listy księcia do Stanisława-Augusta [3]), wreszcie dokumenty z archiwum ks. Czartoryskich i Paszkowskich, ogłoszone przez Ludwika hr. Dębickiego [4]).

Szczegóły te stanowić mogą charakterystyczny do dziejów Targowicy przyczynek.

I.

Stosując się do rozkazu imperatorowej, Stanisław-August 24 lipca 1792 roku uczynił akces do konfederacji targowickiej.

Nowina ta zeszła się jednocześnie z wieścią o niepomyślnym przebiegu obrony zagrożonych nad Bugiem pozycyj wojsk Rzeczypospolitej.

Korpus oficerski, żywiąc nieograniczone do swego naczelnego wodza, księcia Józefa, zaufanie, uwierzyć nie chciał wiadomości o odstępstwie od hasła sejmowego: «król z narodem, naród z królem». Garstkę walecznych obrońców Dubienki ożywiał stale duch rycerski i wiara w powodzenie rozpaczliwych, choć bezowocnych wysiłków. Postanowiono wspólnie z naczelnym wodzem zwrócić się do króla z protestem przeciw układom z przywódcami Targowicy.

„Dozwól nam raczej — brzmiały słowa odezwy do króla — zginąć od oręża mężnych przeciwników naszych, lecz nie poniżaj nas, Najjaśniejszy Panie, równając z odstępcami".

Wielhorski i Mokronowski podjęli się ową odezwę przedstawić królowi, jednocześnie zaś starszyzna wojskowa obozu księcia Józefa napisała do marszałków sejmu podanie, by sprowadzić króla do obozu i skłonić go do dalszej walki obronnej.

Odpowiedź królewska rozwiała wszelkie złudzenia. Stanisław-August nietylko stwierdził przystąpienie swe do Targowicy, lecz nadto wezwał wojsko do złożenia przysięgi na wierność temu związkowi.

„Zaklinam Waszą Książęcą Mość i całe pod komendą jego zostające wojsko, na tę wierność, której daliście mi tyle tak chwalebnych dowodów — pisał król — abyście mnie osobiście, a, co większa, całej ojczyzny nie podawali w największe niebezpieczeństwo, a raczej w ostatnią nie wtrącali zgubę, sprzeciwiając się temu, com ja już przyrzekł, to jest: że przestaniemy wojować i że wraz ze mną wojsko Rzplitej przystępuje do konfederacji, powagą i interpelowaniem Imperatorowej zaszczyconej. Jest nieodbita potrzeba, aby rozkazy moje były wykonane nieodwołalnie. Inaczej popadłbym plamie złej wiary, a zemsta — zniszczeniem kraju i osobistą zgubą zostałaby oznaczoną. Gdzie ja jestem, gdzie będą ze mną, tam honor ich zawsze będzie ocalony".

W odpowiedzi na ów rozkaz książę Józef zażądał od króla dymisji. Za jego przykładem poszło dwustu jenerałów i oficerów.

[1]) „Cała jego figura i ułożenie było takie" — brzmi objaśnienie, dołączone do rysunku, znajdującego się w zbiorze rycin Włodzimierza ks. Światopełk-Czetwertyńskiego, którego kopję podajemy.

[1]) Wyd. Żupańskiego. Poznań, 1865.
[2]) J. I. Kraszewski: „Bibl. pamiętn.", T. VI.
[3]) Raczyński: „Obraz Polaków", T. XVI.
[4]) „Puławy", T. I, str. 314, 332 i nast.

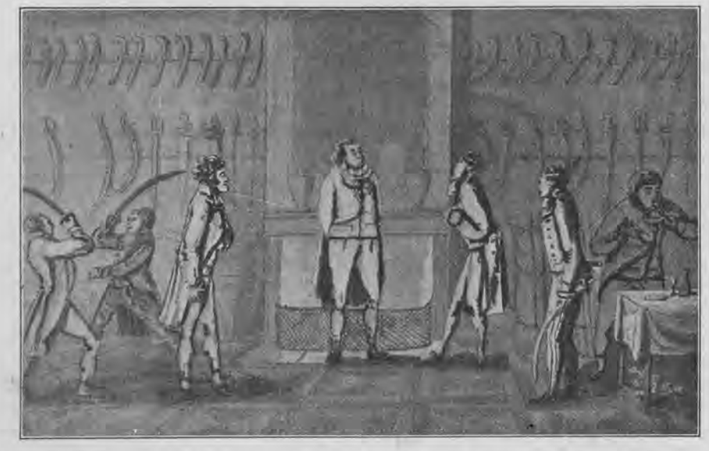

Zabawy Szczęsnego Potockiego w pałacu Mniszchów w Warszawie w r. 1793. Kopja odręcznego rysunku współczesnego Jana Potockiego. Ze zbiorów Włodz. ks. Czetwertyńskiego.

Król uderzył w strunę tkliwości i w listach: «*à mon cher Pepi*» błagał i zaklinał na wszystkie świętości, by książę z towarzyszami żądanie dymisji cofnął.

«Ja nie zdołam przeżyć tego, gdy mnie odstąpisz»—pisał.

Wśród lirycznych wynurzeń znajduje się argument: «Pamiętaj, że przedewszystkiem «trzeba zapłacić twoje i moje długi...»

Nawoływania królewskie pozostały bez echa.

„Obowiązek mój — pisał książę — moje przekonanie, słowo dane, przysięga, zaufanie towarzyszów, honor żołnierza — wszystko to zmusza mnie wytrwać w postanowieniu. Uczynię, Najjaśniejszy Panie, co towarzysze moi postanowią. Postępowaniem mojem nie powoduje żadna próżność, ani to uczucie pochlebne, że grono tak szanowne chce dzielić losy moje i memu przekonaniu wznosi trofea".

Gdy Szczęsny Potocki polecił hetmanowi Rzewuskiemu, by odebrał od wojska przysięgę na wierność konfederacji targowickiej, książę Józef rozpisał do wszystkich korpusów, które przedtem pod jego pozostawały rozkazami, cyrkularze, potępiające odstępstwo targowiczan.

„Przykład niesubordynacji, jaki nam daje strona przeciwna — pisał w nich dawny wódz — nie plami umysłów naszych. Polecam wam, kochani towarzysze, po raz ostatni tę cnotę i zapewniam was na zawsze o szacunku moim i przywiązaniu, — tak jak *względem nich* nie mogę się wstrzymać od wyznania, że wiekuistą budzą we mnie ohydę".

Po rozesłaniu tej odezwy, zrzucił książę Józef mundur i wyjechał zagranicę. Za przykładem jego poszli jenerałowie: Kościuszko, Wielhorski, Zajączek, Mokronowski i znaczna liczba oficerów.

Kościuszko, zatrymawszy się w pałacu Błękitnym w Warszawie, pojechał do Zamku na ostatnią rozmowę z królem i ztąd wysłał podanie się do dymisji.

Alexander Kraushar.

DN

U ŹRÓDEŁ WISŁY.

Jest u stóp Baraniej góry, w Beskidach zachodnich, cała zielonością suto przetkana wieś Wisła, cicha wieś, koleba królowej rzek polskich. Spada na nią słońce ze szczytów Czantorji i Bukowej i idzie po prześlicznej dolinie Jawornika i po drugiej, Dziechcińskiej. Naokół ruń, żółte zboża i granatowe lasy sosen, w powietrzu pełno rzecznych oddechów. Trawa skłania się na trawę; jedno rozfalone, rozszumione morze. Im dalej, tem więcej rozrzuconych, rozszarpanych szkarp nad Wisłą, — a na nich fantastyczny gąszcz smereczany, oplątany porostami, ljanami, mchami. Na krańcach wsi wije się, pod wierzch góry Baraniej, droga wśród gąszczów drzew, leśnych dziadów i pradziadów, strażników ciszy odwiecznej. Wnet kładą się pod nogi rozłożyste paprocie i borówczane krzewy. Ziemia przepojona wilgocią, mułem. Jeszcze krok—ukazuje się szklana tafelka wody, nie całe pół metra szeroka, ginąca wśród trzęsawisk mchów. To ta sama Wisła, co pod Krakowem, Sandomierzem, Warszawą, — Wisła flisaków Klonowicza, Wisła, niosąca jęk norbertańskich dzwonów za topielców i Zygmuntowe Żale... Taka malutka, taka dziecinna, niemowlęca w leśnych powijakach!... W dole rośnie, huczy, warczy—po złączeniu się Czarnej z Białą Wisłą. Wokół niej, na dwumilowej szerokiej przestrzeni mieszka piastowski lud, arka przymierza «między dawnemi a nowemi laty». Przeszły po nim burze, przeszła kilkuwiekowa niemczyzna, on skrzepł, jak w bursztynie, dochował mowę braci. Miasta odpadły, feuda odpadły, on przetrwał gałęzią tą samą, z temi samemi sokami, chociaż odciętą od pnia. Z wywrotów historycznych został mu jedynie luteranizm, oczytanie się w ewangelji i przez nie namaszczenie w wyrazach. Zresztą nic, Piast—jak był za Władysławowych czasów, po pierworodnym grzechu nieszczęsnego Krzywoustego testamentu. Potęga dźwięku polskiego i odziedziczonej po ojcach mowy tak silnie w nim pulsuje, że z czeskich kancjonałów modli się po polsku. Słychać tu i owdzie germańskie wtręty i akcenty—sztuczny osad na fali dawnej czystej—na językowej skarbnicy. Jest ich pięć tysięcy dusz w Wiśle, chłop w chłopa, dziewka w dziewkę, wszystko jędrne, zdrowe. Pod wpływem sąsiedztwa Cieszyna zatracają się niestety u mężczyzn dawne kolorowe, silnie dekoracyjne kostjumy: keptar, białe galanty, kerpcie, czerwone zawitki na podudziach. Kobiety pielęgnują w stroju konserwatywniej tradycje — odwieczne zabytki. Gorset-żywotka, suto złotem lub srebrem szamerowana, arcydzieło domowej estetyki, na ślicznie haftowanej i wysztywnionej koszuli szeroka, w leniwych fałdach falująca spódnica, wysoko sznurowane trzewiki, chusta na głowie, przewiązana pod szyją—u mężatek czepiec w dodatku—ot, cała parada. Wisła jest jedną z najpiękniejszych i największych wsi polskich na całym obszarze dawnego piastowskiego państwa. Czarodziejskie, zielone gniazdo, przerżnięte białą, rzeczną smugą! Dwa kościoły: ewangelicki i katolicki stoją, jak gołębie, przytulone do murawy. Błogosławiony spokój i dobroduszny uśmiech przyrody krążą po stokach i po dołach, krążą po atmosferycznej przestrzeni. Dopiero w dniu Wniebowstąpienia Najświęt. Marji Panny cisza ginie, z szumem Wisły zlewa się szum tysiąca pieśni, od Izdebnej, od Ustronia ciągną do zielonej wsi procesje, z muzyką odpustową na czele. Widziało się podobnych tysiące!... A jednak nie tysiące... To jedyne, rzewne, piastowskie, ze

Radca gminny ze wsi Wisła.

Szlązka. Idą, idą, krok za krokiem, już weszli do wrót świątyni i zaśpiewali: «Serdeczna Matko»... Ci sami bracia, te same serca, mimo wyznaniowych różnic...

Inteligencja ludu wiślańskiego jest znaczną; nikt mu nie imponuje. Nie tyle książka, ile natura złożyła w duszy jego skarb rozumu i światła. Szczęśliwi! Nie mają analfabetów, osiemset dzieci posyłają do pięciu szkół polskich. Rząd krajowy w Opawie wypłaca Wiśle 2,400 złr. rocznej subwencji na cele oświaty. Na czele gminy stoi od 25 lat wójt Paweł Raszka, wcielenie zdrowego rozsądku, samopomocy, kierownik urzędu, pisarz gminny, dyrektor kasy, radca każdej biedy, głowa patrjarchalna zagrody i myśl zielonej oazy. Gdy dnia 8 czerwca 1901 roku obchodził jubileusz, otrzymał od cesarza złoty krzyż zasługi, który mu wręczył starosta bielski, wśród pełnych uwielbienia mów bankietowych. Zresztą co się ma w Wiśle dziać? Pracują przy komorze arcyksiążęcej, lub idą za zarobkiem do kopalń węgla w Orłowej, w Karwinie, zresztą chwalą Boga, śpią zdrowo i kładą się na wieczne odpoczywanie tam, gdzie ich ojcowie, na ślicznym górskim cmentarzu, oblanym Wisłą, ocienionym świerkami, z których każdy mówi: «zbudzicie się», choćby w poszumie szpilek sosnowych i traw, brodzących wśród chwastów i łopuchów. Pochwalona wieś nietylko dla ciszy! Nie ma w niej kary—bo nie ma przestępstwa... Czasem z lasu porwą kłodę w poczuciu, że oni byli kiedyś nieograniczonymi panami, a panowie im potem własność zabrali. Konserwatywni są zresztą i odporni na agitacje polityczne, szalejące po za nimi. Socjalna demokracja nie zdobyła żadnej placówki w zielonej wsi. Chłop wiślański nie ma żadnego poczucia narodowego, uważa siebie za odrębną społeczność szlązką, zresztą polityktować nie umie i nie lubi. Niestety, szczerze przyznać trzeba, że radykalna, partyjna agitacja z Galicji, wszczęta pod hasłem pesymizmu i najczarniejszych opowieści, wpoiła w szlązki lud przekonanie, że u nas na dobre rozwijają się czasy starosty kaniowskiego i piekło dantejskie z tragicznym napisem: «wchodzący tutaj niech tracą nadzieję»...

Jednym z najpiękniejszych obrzędów ludowych w Wiśle, dochowanym w starych formach, pełnych uroku, naiwności i rzewności, jest wesele. Opiszemy je z wiernością etnograficzną, z wiernością kolorytu, z pozostawieniem dziwactw językowych.

Duża izba w domku ojca oblubienicy przepełniona po brzegi ludem, aż zaduch od ciżby i gorąca bije. Kolorowe szlązkie stroje mieszają się w barwny, jaskrawy ton, w żywe plamy nastrojowe. Gwarzą, śmieją się, wyczekują ochoty, która ich w wir taneczny rzuci. Rozlega się miarowe uderzanie w sień, coraz natarczywsze, żwawsze. Starosta «młoduchy» otwiera drzwi i pyta:

— Zkądżeście i cobyście radzi?

Przez rozchylone skrzydło bramy wciska się muzyka nierówna, dźwięki odpustowych akcentów.

— Przychodzicie tutaj—mówi dalej — z takim hałasem, śpiewem i graniem, a my są ludzie spokojni i cichutko tu przybywamy.

I starostowie obu stron częstują się wódką u wejścia, a tymczasem

Wodospad Białej Wisły.

grajkowie pomykają za stół, do izby, wraz z żeniuchem, drużbami i narodem, który się zwlókł za nimi. Wnet nadchodzą starostowie, zastępcy oblubieńców. Starosta młoduchy zwraca się do swego towarzysza:

— Cobyście radzi?

— Chcielibyśmy pięknego ptaszka, który miał bardzo piękne pióra. Kilka piór wyrwaliśmy, a on nam uciekł... Chodzimy za nim, szukamy go, bo widzieliśmy u was kilku ludzi, którzy z niego pierze mają. Prosimy pięknie, wskażcie tego ptaszka...

Starosta «młoduchy» różowe daje przyrzeczenia, tylko prosi, aby goście trochę cierpliwi byli i posilili się, by w drodze nie zbrakło sił do tańca.

Rozbrzmiewają tony pieśni kościelnej, pieśni religijnej.

Przyprowadzają małą, dziesięcioletnią dziewczynkę, «pierwszą młoduchę», tak samo, jak oblubienica ubraną, w barwnym czepcu, ustrojonym sztucznem kwieciem, blaszkami i papierkami.

Niepodoba się drobiazg staroście «żeniucha»:

— To dobre, ale dla mnie jest młoda i mała, żeby mi nogi prała. Bądźcie tak dobrzy, jeszcze i poszukajcie.

Teraz przynosi starosta «młoduchy» wonniczki (bukiety) i szatkę (chustkę) na talerzu.

— Znalazłem pierze z ptaszka, a że bardzo drogie, prosiłbym o zapłatę.

Oblubieniec bierze swoją, drużba swoją wonniczkę, przypinają ją do kabatu i rzucają na talerz pieniądz.

Wówczas wchodzi ona, wybrana, zasmucona, niepewna.

— Czyście teraz kontenci?—bada jej rzecznik.

— Kontenci! kontenci!

Zaczyna mowę starosta panny młodej, Paweł Padziorski, urzędowy orator na wiślańskich weselach. Jest krawcem, ale twarz ma i namaszczenie kapłańskie, godne.

«Kochana młoducho! Dzień dzisiejszy jest w życiu twojem najważniejszy, gdyż biorą cię od ojca, od matki, a masz się przyłączyć do przyszłego męża. Nie myśl sobie, że przez to wolność nabędziesz, albowiem powierzają cię oblubieńcowi, a w związku małżeńskim pozostawać musisz czy we dniach żałosnych i wesołych, czy w pełnych biedy i utrapienia. Nie wiesz, czy drogę, w którą się wybierasz, wyścielą kwiaty lub kamienie, więc radzę nie wstępować w związek małżeński bez rozwagi i prośby do Pana Boga o pomoc. Nie jest to służba, w której zostawałabyś rok lub kilka miesięcy, ale przez wszystek czas żywota swego, aż do śmierci. Więc weź sobie na teraz i zawsze słowa Zbawiciela, który powiedział: «szukajcie najprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a czego potrzebujecie, będzie wam dane»... Bądź pilną i pracowitą w powołaniu twojem, z gospodarstwem wielkiem lub małem mądrze się obchodź, módl się i pracuj, a Pan Bóg pobłogosławi twoje przedsięwzięcie».

Poczem zwraca się do pana młodego:

«Kochany żeniuchu! Słyszałeś słowa, powiedziane do oblubienicy i przyszłej małżonki twojej. Radzę, zauważ dobrze, co czynisz i jaki dar bierzesz od uczciwych rodziców i jak im się za to masz odwdzięczyć. Król Salomon powiada: «kto znalazł żonę, znalazł dar piękny i dostąpił łaski od Pana». Miej tedy tę córkę domu w zacności, miłuj ten drogi klejnot z całego i wiernego serca, bo mężowie powinni miłować żony, jako własne ciało swoje, a żaden ciała swego nie miał w nienawiści, ale je żywi i ogrzewa. Nie miej tedy w żaden czas

Szkoła ludowa polska we wsi Wisła.

ani w żadnej rzeczy w podejrzeniu żony, miłuj ją ustawicznie i pomagaj znosić krzyż i cierpienia, które osobliwie żony znosić muszą. Do tego wszystkiego niech ci Pan Bóg dopomoże i niech poszczęści drogę, na którą się wybierasz».

Następnie przemawia do obojga: «Święty apostoł Paweł prawi: «dopełniajcież wesela mojego, abyście jedno zrozumieli, jednostajną miłość mając; bądźcie jednomyślni, jednorozumiejący, nic nie czyniący niesfornie lub przez próżną chwa-

Wójt gminy Wisła Paweł Raszka z żoną.

lę». I wy także dopełniajcie wesela waszego, bądźcie jednomyślni, jednorozumiejący, nic nie czyniący niesfornie lub przez próżną chwałę. Do tego wam pomoże miłość Boga, przez ducha Bożego wniesiona, duchem Bożym ożywiona!»

Starosta oddaje młoduchę żeniuchowi i wówczas rozpoczyna się wspaniały, wysoce nastrojowy akt podziękowania i proszenia o przebaczenie rodziców. W drżących rękach trzyma panna młoda papier, zapisany niezgrabnemi, dużemi literami.

«Dziękuję wam, drogi tatulku, i wy, kochana matulku, wy, miłe siostrzyczki i braciszkowie! Oto nadszedł mi dzień bardzo ważny, a chwila wiele znacząca. Mam bowiem porzucić związek panieństwa swego, porzucić lata swobodne, wstąpić w stan małżeński, który sam Pan Bóg ustanowił. Dziś przypatruje mi się wam najdrożsi rodzice dziękować. Wyście mię wychowali i miłością otaczali. Niech wam Pan Bóg łaskawy i miłościwy hojnie wynagrodzić i zapłacić raczy!... A jeżelim wam słowem lub uczynkiem ubliżyła, to was, najdroższy tatulku i najdroższa mamulko, proszę po trzykroć przez Syna Bożego, przez Ducha Świętego, przez Trójcę Świętą, żebyście mi odpuścili ze serca serdecznego. Amen».

Teraz śpieszą wszyscy do ewangelickiego kościołka wśród dźwięków muzyki. Pastor wypowiada zazwyczaj długą, przewlekłą mowę, na temat okolicznościowy. Rozbrzmiewają organy,—zaczyna się ceremonja wiązania rąk.

Goście weselni zatopieni są w kancjonałach, — w modlitwie, płynącej z dziesiątek ust. Na pulpicie ławek leżą rozrzucone świstki z wierszem domorosłego wieszcza:

„Idźcie do ołtarza złączeni miłością,
Bóg swoich obdarza życia szczęśliwością“...

Minęło!... Podnoszą się, idą do izby rodziców młoduchy na «swoczynę»—podwieczorek. Rozlega się pieśń nabożna, za nią modlitwa starosty,—poczem zabierają się do jedzenia. Gwarzenie przy stole trwa do północy. Gdy godzina duchów wybije, podnosi się znowu starosta:

— Moi ludkowie, gospodarz, u którego jesteśmy, dłużej nas trzymać nie może, bo czas piękny mamy, a każdego czeka zajęcie, więc niech do domu śpieszy!...

Zamiast do domu, tłoczy się gromada do karczmy, gdzie ochota przeciąga się do świtu — niekiedy do trzech świtów...

Gospoda arcyksięcia we wsi Wisła.

O obrzędach, o zwyczajach, przechowywanych z pietyzmem przez lud z nad źródeł Wisły od czasów bodaj piastowych, mógłbym pisać i pisać. Dość jednak, sądzę, powyższego obrazka weselnego, aby dać wyobrażenie o tem, jak wiele cech charakterystycznych nie odpadło jeszcze od tych dzielnych a serdecznych ludzi tam, wśród zielonych wzgórz zacisznych...

Ernest Łuniński.

OKOŁO MAROKKA.

Z WRAŻEŃ TURYSTY.

(Dokończenie).

W przekonaniu o doniosłej roli, jaką w przyszłości będzie mogła odegrać w północno-zachodniem Marokko, Hiszpanja w r. 1899 przyznała Francji prawo do bezpośredniego wpływu w południowych oazach Tuatu i Tidikeltu, a odpowiedzią na ściślejsze porozumienie się Anglji i Portugalji będzie zapewne przyłączenie się Hiszpanji w sprawach marokańskich do przymierza franko-rosyjskiego. Poseł rosyjski w Tangerze popiera bardzo energicznie politykę francuzką, a urząd ten piastuje dziś wytrawny dyplomata p. Bakcheracht, ożeniony z rodaczką naszą hr. Czapską, dawną morganatyczną małżonką wielkiego księcia heskiego.

Dla państw, wchodzących w skład trójprzymierza, zaczepne postępowanie Francji w Marokko stanowi prawdziwą *causa foederis*. Ale ponieważ celem trójprzymierza jest wzajemne zagwarantowanie nietykalności terytorjalnej granic własnych, przeto ani Niemcy, ani Włochy, ani tem bardziej Austrja nie mają żadnej podstawy do wystąpienia z interwencją bezpośrednią w kwestji marokańskiej. Utrzymanie równowagi politycznej na północnem wybrzeżu Afryki polega na ściślejszem porozumieniu się z Anglją przeciwko uroszczeniom Francji.

Anglja zaś posiada niewątpliwie w północno-zachodniem Marokko poważne interesy handlowe, skoro jej bilans handlowy wynosi 775,745 funtów sterlingów importu i 219,089 funtów eksportu; natomiast interesy polityczne tego państwa streszczają się wyłącznie w dążeniu do zajęcia Tangeru, który, leżąc prawie naprzeciw Gibraltaru, dzieli z nim panowanie nad wejściem do morza Śródziemnego. Anglja nigdy nie dopuści obcego mocarstwa do usadowienia się w Tangerze, owszem, w razie poważniejszych zamieszek w kraju dalekiego Zachodu, nie omieszka sama zająć ten ważny punkt strategiczny. Dziesięć minut bombardowania przez flotę angielską obróci w perzynę fortyfikacje Tangeru, a bataljon piechoty morskiej, wysadzony na ląd od strony wielkiego Soko, z łatwością opanuje miasto. Należy dodać, że Tanger w połowie XVII wieku należał do Anglji jako wiano Katarzyny, infantki portugalskiej, zaślubionej królowi Karolowi II, ale po upadku dynastji Stuartów, parlament odmówił kredytu na obronę tego miasta, obleganego przez mulej Izmaela Wielkiego, i flota angielska opuściła w 1688 r.

Tanger, wysadziwszy w powietrze fortyfikacje ówczesne, których szczątki dziś jeszcze zalegają zatokę.

Tak się przedstawia w głównych zarysach dzisiejsza sytuacja polityczna w kraju dalekiego Zachodu.

Panujący dziś w Marokko sułtan Abdel-Azis wstąpił na tron w r. 1894, jako szesnastoletni chłopiec, po śmierci swego ojca mulej Hassana, a objęcie rządów przez młodocianego władcę prawowiernych obeszło się, wbrew odwiecznym tradycjom maurytańskim, prawie bez rozlewu krwi, gdyż tylko dwóch jego braci, wielki wezyr i minister wojny przypłacili życiem zmianę monarchy. Takie niewidziane dotychczas w Marokko pokojowe załatwienie sprawy następstwa tronu tłómaczy się sprężystością jego doradcy, późniejszego wezyra, sidi Achmeta bin Muza, zgodnem poparciem kandydatury Abdel-Azisa przez wszystkie państwa europejskie i niebywałym urodzajem tego roku, dzięki czemu wojownicze pokolenia arabskie wolały używać w spokoju darów Bożych, niż narażać się na zmienność losów fortuny bojowej.

Sułtan Abdel-Azis, jako nieograniczony monarcha, łączy w osobie swej władzę świecką z władzą duchowną; brakuje tylko, aby się przebrał po europejsku, gdyż wówczas ujrzelibyśmy ciekawy widok—głowę kościoła w epoletach i ostrogach. Istnieje wprawdzie w Marokko coś w rodzaju Rady stanu, złożonej z ulemów, którzy mają sobie powierzony wykład koranu, ale ci mędrcy czcigodni w obawie o własną skórę, stosują się do każdorazowego rozkazu swego monarchy, pocieszając się maksymą, że lepszy jest pies żywy niż lew zdechły. Pewien wpływ na sprawy państwowe wywiera jednak harem sułtana, na którego czele stoi *hadżib* (t. j. zasłona), zaufany szambelan sułtana jegomości i naczelnik rzezańców seraju.

Ministrowie i wyżsi dostojnicy dworscy otrzymują tak nizką płacę, że niewątpliwie umarliby z głodu, gdyby im zabrakło sposobności obdzierania swoich poddanych. Najzyskowniejszym jest urząd ministra spraw wewnętrznych (*wezir-el-dakhalani*), gdyż od niego zależą nominacje kaidów, czyli baszów prowincyj, którzy za pewną sumę wydzierżawiają podatki od rządu. Celem każdego baszy jest przedewszystkiem zebranie jaknajwiększej ilości pieniędzy, a po drugie, ukrycie zlupionych skarbów przed okiem sułtana, którego główny dochód stanowi konfiskata majątku swoich poddanych. Historyk arabski el-Mamun przyznaje, że wszystkie klęski, jakie spadają na Maurytanję, są karą Boską za zdzierstwo i przekupstwo urzędników, a b. poseł angielski w Tangerze, mr. Drummon Hay, nie bez słuszności twierdzi, iż rząd marokański jest chyba najbardziej plugawą instytucją na całym świecie i odznacza się w stosunkach dyplomatycznych zupełnym brakiem dobrej wiary.

Sułtan Abdel-Azis, wzorem swoich dostojnych przodków, przez cały prawie rok prowadzi wojnę przynajmniej z połową własnych poddanych, którzy mu systematycznie odmawiają płacenia podatków, i wskutek tego znajduje się ciągle w obozie. Uwierzytelnieni przy jego osobie posłowie zagraniczni byliby zmuszeni podzielać trudy obozowego życia władcy prawowiernych, gdyby sam rząd marokański nie był nie życzył sobie ich obecności na dworze sułtana. Wskutek tego dyplomaci europejscy mieszkają w Tangerze, dokąd sułtan nigdy nie przyjeżdża, i w mieście tem mieszka również sekretarz do spraw zagranicznych, za którego pośrednictwem obcy posłowie znoszą się z rządem marokańskim. Obowiązki te spełnia dziś sidi Mahomet el Torres, potomek rodziny hiszpańsko-maurytańskiej, wysoki starzec o niedźwiedziowatych ruchach i okazałej, choć nieco zgarbionej postaci. Funkcje jego polegają na przewlekaniu każdej sprawy w nieskończoność, co też rzeczywiście potrafi robić po mistrzowsku, gdyż do każdej noty dyplomatycznej dołącza swój komentarz, ułożony umyślnie w ten sposób, aby nikt nie mógł zrozumieć, o co właściwie chodzi. Ztąd potrzeba ciągłych nowych wyjaśnień i informacyj, co przy braku poczty i wogóle dróg, przeciąga decyzję sprawy na kilkanaście miesięcy, czasami na kilka lat nawet. Wreszcie posłowie europejscy, zwątpiwszy o możliwości dojścia do porozumienia drogą zwyczajną, zaczęli coraz częściej udawać się osobiście do obozu sułtana, co tak przestraszyło rząd marokański, że, pragnąc uwolnić się od takich niepożądanych odwiedzin, postanowił utworzyć w Tangerze specjalny departament do spraw zagranicznych, coś w rodzaju arabskiego Tsung-li-jamenu, z tem oczywiście wyliczeniem, iż z sześcioma trudniej się będzie dogadać niż z jednym. Niestety, w kraju dalekiego Zachodu jeden tylko Allach wie prawdę, więc dotychczas jeszcze posłowie europejscy nie mogą się dowiedzieć, jakie są właściwe atrybucje tego departamentu, którego członkowie, zebrawszy się raz w październiku zeszłego roku, nie dali o sobie od tego czasu żadnego znaku życia.

Ale jeśli stosunki dyplomatyczne wchodzą niejako w dziedzinę operetki, oczekującej swego Offenbacha, to stosunki wewnętrzne wkraczają poniekąd w sferę tragizmu. Podstawą skarbowości w Marokko jest mocne przekonanie, że wzrastający dobrobyt ludności prowadzi do buntu przeciwko sułtanowi, ztąd konieczność urządzania wypraw wojskowych przeciwko pokoleniom, które bądź wskutek obfitego urodzaju zboża, bądź wskutek pomyślnej hodowli bydła, doszły do stanu jakiej takiej zamożności. Zresztą żaden arab nie zapłaci nigdy podatków dobrowolnie, nie wie bowiem, ile rzeczywiście się od niego należy, a ile ma zamiar schować do kieszeni miejscowy basza; dla wyciśnięcia podatków stosowaną jest chłosta lub «żelazna dżillaba», składająca się z dwóch desek, nabitych gwoździami, wśród których ściskają niewypłacalnego dłużnika. W razie zbrojnego oporu, wojska sułtańskie za-

Zabytki architektoniczne Marokka. Dawne wały i bramy. Zdjęcie fotogr. migawkowe p. B. Bouffalla.

bierają się do egzekucji, równając z ziemią wioski, wypalając oczy poważniejszym mieszkańcom lub ucinając im ręce do połowy, ztąd w Marokko na każdym kroku spotkać można ślepców i bezrękich. Wyroki śmierci wykonywane są bardzo rzadko, a jeżeli w niektórych miastach widać głowy ludzkie zatknięte na bramach, to są to posolone głowy więźniów, zmarłych w drodze, przyniesione przez eskortujących żołnierzy na dowód, że w całej partji nie było ani jednego wypadku ucieczki.

Sułtan nie posiada więcej jak dwanaście tysięcy regularnego wojska, wyćwiczonego przez instruktorów francuzkich i angielskich, na których czele stoi szkot Mac Hean; reszta armji składa się z nieregularnych oddziałów konnicy arabskiej, uzbrojonej w łuki lub odwieczne skałkówki. Konnica ta rekrutuje się z kilkunastu pokoleń, którym ten przywilej został nadany za przywiązanie do tronu. Nie da się zaprzeczyć, że w walkach ze zbuntowanemi plemionami konnica taka może oddać pewne usługi, ale w zetknięciu się wojskami europejskiemi nie okaże się prawdopodobnie na wysokości swego zadania. Kilka salw szrapnelami wystarczy do rozpędzenia na cztery wiatry fantazji arabskiej, t. j. ukośnej szarży na nieprzyjaciela. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, wśród arabów jest bardzo mało dobrych jeźdźców, a wskutek wadliwej jazdy synów pustyni i nieumiejętnego siodłania, konie ich są wiecznie poranione, lub z kretesem pokaleczone. Hodowla koni znajduje się w upadku, arabowie nie znają wataszenia koni, a o odpowiednim doborze matek musieli już chyba zapomnieć.

Zasługą ojca dzisiejszego sułtana jest stworzenie artylerji marokańskiej, złożonej z kilku bateryj górskich, dowodzonych przez renegatów hiszpańskich. Oprócz tego na murach znaczniejszych miast stoją stare, zardzewiałe armaty, a przeznaczeni do ich obsługi kanonierzy wypijają z gustem przeznaczoną do ich smarowania oliwę. W Tangerze, gdy do zatoki wpływa pancernik cudzoziemski, basza wydaje zwykle rozkaz przywitania go salwą ze wszystkich bateryj, ale zwyczaj ten powoli zaczyna wychodzić z użycia, bo od wstrząśnienia mogą się jeszcze, broń Boże, rozsypać mury forteczne; ostrożność więc nie zawadzi.

W całym kraju dalekiego Zachodu, za wyjątkiem Tangeru i najbliższych okolic, istnieje niewolnictwo. Główne rynki, na których odbywa się sprzedaż niewolników, są Mogador, Fez i Mekinez. Niewolnicy, wyłącznie murzyni, pochodzą po większej części z Sudanu; na rynku w Mogadorze spotkać można niewolników, pochodzących z basenu rzeki Niger. Cena niewolnika waha się od 20 do 200 rubli, stosownie do wieku, płci, zdrowia i siły osobnika. Obchodzenie się z niewolnikami dobre; po śmierci pana odzyskują wolność *ipso jure*.

W południowych prowincjach Marokka, wśród ludności miejscowej rozgałęziona jest sekta *aissania*, coś w rodzaju średniowiecznych biczowników; członkowie tej sekty wierzą, że człowiek przez cierpienie zlewa się z bóstwem. W tym celu na dorocznych procesjach, przypadających w jesieni, wpadają pod wpływem haszyszu i egzaltacji religijnej w rodzaj szału, kaleczą się strasznie nożami, rozrywają żywe barany, gryzą kamienie i skorpjony i połykają węże. W czasie t. zw. *taifa-el-aissania* europejczykom i żydom pod karą śmierci nie wolno wychodzić na ulice.

Teokratyczne rządy muzułmańskie, cywilizacja przerafinowana i zdegenerowana, a także obfita infiltracja krwi murzyńskiej wśród maurów, sprawiły, że genjusz rasy arabskiej już dawno wypowiedział swe ostatnie słowo. Wyparty siłą zbrojną po za słupy Herkulesa, stracił swą dawną moc i sprężystość, zawarł się sam w sobie i skamieniał—i dziś nad krajem dalekiego Zachodu unosi się smutny powiew śmierci, z której nie masz zmartwychpowstania. Jest to — że przytoczymy tu słowa Byrona—«piękna twarz zaraz po skonaniu», oblicze, na którem nie odzwierciedla się już żadne uczucie ludzkie, gdzie gości tylko zimna, lodowata i smutna obojętność.

Br. Bouffałł.

POZNAŃSKIE TOWARZYSTWO
PRZYJACIÓŁ NAUK.

Hojny dar w kwocie dwudziestu tysięcy marek, złożony w ostatnich czasach przez J. E. ks. arcybiskupa Stablewskiego na rzecz budowy nowego gmachu dla zbiorów poznańskiego Tow. przyjaciół nauk, zwrócił uwagę szerokiego ogółu na tę instytucję. Szlachetna inicjatywa arcypasterza nie pozostanie zapewne bez skutku. Należy się spodziewać, iż znajdą się dalsze fundusze, które pozwolą piękne zbiory Towarzystwa umieścić w odpowiednich ramach.

Będzie to jeden z licznych etapów rozwoju, jakie przechodził wielkopolski przybytek nauki i sztuki od chwili założenia, t. j. od roku 1857. Z pierwotnej siedziby w pałacu Raczyńskich Towarzystwo przyjaciół nauk wyparte zostało przez Kuratorjum zapisu Raczyńskiego, w którem przemożny udział wzięły rządowe i polityczne sfery pruskie. Schronienia Towarzystwu udzieliła wówczas spółka bazarowa. Dzięki ofiarności ś. p. hr. Seweryna Mielżyńskiego, Towarzystwo posiadło w 1871 r. własny dom przy ulicy Młyńskiej. Spadkobierca prezesa honorowego, hr. Józef Mielżyński, gdy pomieszczenie zbiorów wprędce okazało się niedostatecznem, z pomocą składek i funduszów Towarzystwa wzniósł w dziedzińcu obszerniejszy, kilkopiętrowy gmach, w którym mieszczą się po dziś dzień zbiory, bibljoteka i muzeum Towarzystwa. By upamiętnić zasługi rodziny, zakładowi nadano miano: Muzeum imienia Mielżyńskich.

Poznańskie Tow. przyjaciół nauk liczy cztery wydziały: historyczno-literacki, lekarski, przyrodniczo-techniczny i archeologiczny. Pierwszy posiada największą liczbę członków; najruchliwszym atoli jest wydział lekarski, dzięki czynnemu uczestnictwu młodych zwłaszcza lekarzy poznańskich. Wydział ten wydaje własne czasopismo zawodowe p. t.: «Nowiny Lekarskie», które w kołach specjalistów cieszy się dużem uznaniem.

Godność prezesa Towarzystwa sprawuje ks. biskup Likowski, mąż chlubnie znany na polu działalności naukowej. Wice-prezesem jest dr. W. Skarzyński, sekretarzem—hr. Engeström. W poszczególnych wydziałach przewodniczą: w historyczno-literackim—dr. B. Erzepki, w lekarskim—dr. H. Święcicki, w przyrodniczo-technicznym—dr. Fr. Chłapowski i w archeologicznym—dr. Koehler.

Zbiory Towarzystwa składają się z bibljoteki, liczącej z górą 42 tys. dzieł, z galerji obrazów malarzy polskich i cudzoziemskich (blizko tysiąc numerów), z kolekcji rycin, wśród których znajdują się piękne okazy Falka i Chodowieckiego, z gabinetu numizmatycznego, z muzeów przyrodniczego i archeologicznego... To ostatnie należy niewątpliwie do najbogatszych na północnym wschodzie Europy. Okazy z epoki kamiennej są niemal w swoim rodzaju jedyne. Wśród zbiorów Towarzystwa znalazły się wreszcie wszystkie prawie pamiątki, jakie różne dzielnice polskie ofiarowały Kraszewskiemu z okazji pięćdziesięcioletniego jubileuszu.

Gmach Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu.

Zbiorów dopełniają liczne pamiątki po mężach, którzy zasłużyli się ojczyźnie. Nie brak nawet narodowego stroju ś. p. Zyblikiewicza... Być może, iż dział ten posiada pewne cechy naiwności, nie licujące z powagą naukową innych działów; przybysza polskiego cechy te nie dziwią, lecz rozrzewniają...

U d-ra Bolesława Erzepkiego.

Konserwatorem zbiorów Towarzystwa jest dr. Bolesław Erzepki. Typ uczonego w najsympatyczniejszem znaczeniu tego słowa. Łączy mrówczą pracowitość filologa z zapalnym entuzjazmem poety. Dr. Erzepki urodził się w 1852 r. w Pawłowicach pod Lesznem, w W. Ks. Poznańskiem. Studja gimnazjalne odbył w Lesznie, uniwersyteckie we Wrocławiu.

Dr. Bolesław Erzepki.

Już w 1885 roku powołano go na stanowisko konserwatora zbiorów Towarzystwa. Od r. 1893 piastuje urząd przewodniczącego w wydziale historyczno-literackim. Jego prace z dziedziny historji języka polskiego i z zakresu historji piśmiennictwa polskiego, tudzież studja nad przedhistoryczną archeologją W. Ks. Poznańskiego, zjednały mu zasłużone uznanie. Jako owoc pracy d-ra Erzepkiego nad literaturą polską okresu Stanisława-Augusta, niebawem ukażą się zbiorowe wydania pism Fr. Zabłockiego, Stanisława Trembeckiego i Kaj. Węgierskiego. W edycjach tych znajdzie się sporo zabytków literackich, dotychczas zupełnie nieznanych.

* * *

Gabinet uczonego. Wszędzie pełno książek, broszur, rękopisów. Dr. Erzepki, mimo szóstego krzyżyka za pasem, zachował młodzieńczą żywość usposobienia. Nauka konserwuje...

— Pyta mię pan—mówi dr. Erzepki—czy Poznań jest środowiskiem intelektualnem? Tak nie jest. Polityka i ciężka walka ekonomiczna o byt pochłaniają nazbyt umysły. Wskutek tego zainteresowanie się nauką osłabło. Trzeba ogień nieustannie podsycać... Gdy mamy zapowiedziany w Towarzystwie odczyt, musimy rozsyłać listy, zapraszać gorąco. Inaczej nie możnaby liczyć na znaczniejszą obecność członków. Bo na zwykłych posiedzeniach wydziałów Towarzystwa bywają tylko członkowie.

Wydział historyczno-literacki urządza co rok kilka posiedzeń publicznych. Wtedy sala bywa natłoczoną. Towarzystwo wchodzi w ten sposób w zetknięcie z szerszą publicznością. Na doroczne, uroczyste posiedzenie Towarzystwa wstęp również wolny jest dla wszystkich.

— A wydawnictwa Towarzystwa?

— Wydajemy roczniki, które poświęcone są wyłącznie pracom naukowym, powiedziałbym—cięższego kalibru, t. j. takim, które ze względu na treść nie znalazłyby pomieszczenia w czasopismach zwykłych, a które tem niemniej posiadają rzetelną wartość naukową. Z inicjatywy Towarzystwa ukazało się w druku wydawnictwo pomnikowe: «Kodeks wielkopolski z XIV wieku». Cztery wielkie tomy! Obecnie podjętem zostało wydawnictwo takiegoż kodeksu z XV stulecia. Zajmuje się niem uproszony specjalnie prof. Piekosiński z Krakowa...

W tej chwili zastukano do drzwi i na progu ukazał się starzec średniego wzrostu, o twarzy czerstwej i rumianej, o białych włosach.

— Oto właśnie profesor Piekosiński. Przedstawię pana...

Sędziwy historyk dotknięty jest wszakże głuchotą. Porozumiewać się z nim można tylko za pomocą kartek. Dr. Erzepki pisze moje nazwisko i dodaje obok: dziennikarz!

Profesor grozi mi palcem z uśmiechem:

— Dziennikarz? Biedny człowiek! Na tamtym świecie nie wybaczą panu tego fachu... Będzie to wielkie szczęście, jeśli skończy się na długiej pokucie w czyścu...

Gospodarz, ratując mą opinję, pisze nową kartkę:

— Gość nasz tworzy również powieści...

W twarzy starego profesora nie widzę żadnej zmiany.

— Powieści? Phi!... I to ma być okoliczność łagodząca! A wydajeż je przynajmniej w książkach?

Tłómaczę się jednym tchem, iż dotychczas znajdowałem dość lekkomyślnych wydawców.

— No, jeśli w książkach... Tylko szkoda, że romanse... Ale zawsze lepsze to od tej codziennej bibuły, której ja zresztą nigdy nie czytam...

Mogłem był odpowiedzieć czcigodnemu akademikowi, iż również niewielu z moich kolegów (o czytelnikach wolę nie wspomnieć!) oddaje się lekturze jego heraldycznych i prawno-historycznych dociekań. Postępując tak, prawdopodobnie nie mamy słuszności. Ma-ż ją—względem nas—prof. Piekosiński?...

* * *

Gdyśmy zostali sami, pytam d-ra Erzepkiego, nad czem obecnie pracuje.

— Przygotowuję nowe, zupełne wydania dzieł Zabłockiego, Trembeckiego i Węgierskiego...

I gospodarzowi zaświecił w oczach ogień.

— Nie ma pan pojęcia—mówi—jakie ja skarby odnalazłem w Zabłockim. Dotychczas uważano go prawie wyłącznie za komedjopisarza... Tymczasem jest to jednocześnie pierwszorzędny satyryk. Co za moc—i co za serce!

— Byłżeby on tym poetą, którego szuka bohater ślicznej noweli Konstantego M. Górskiego: «Bibljoman»? Nie chce wierzyć, żeby w epoce, kiedy ojczyzna rozpadała się w gruzy, iżby w takiej chwili nie zabrzmiał wielki głos bólu i rozpaczy. I szuka, szuka niezmordowanie... Spełniłżeby szanowny doktór owe marzenia «Bibljomana»?

— Pana Górskiego znam, zdaje mi się jednak, żem jego noweli nie czytał, więc odpowiedzieć na pańskie pytanie nie mogę. Zabłocki zresztą nie jest lirykiem... Smaga satyrą. Lecz jad, tkwiący w jego szyderstwie, widocznie pali mu i zatruwa krew, kłuje nieznośnym bólem... Posłuchaj pan tylko. Przeczytam jego wiersz, napisany w czasie sejmu czteroletniego, gdy uchwalono stutysięczne wojsko polskie.

Dr. Erzepki wyjmuje z szuflady gruby rękopis, zbliża się do okna i poczyna czytać:

«Stanęło sto tysięcy wojska. Bogu chwała!
Teraz to będzie Polska po Europie brzmiała!
Stanęło sto tysięcy wojska! Są żołnierze!
Bogu chwała! Gdzież oni? Gdzieżby? Na papierze!
Dajmy na wojsko wszystko, połowę mniej więcej!
Bogu chwała! Już i żołd jest na sto tysięcy!
Jedni płaczą, drudzy się śmieją rozrzewnieni—
Są miljony... Gdzież one? W każdego kieszeni.
Nikt nam przeczyć nie będzie ni rządu, ni męztwa,
Ni wspaniałości... prawda, ni krzywoprzysięztwa.
Odtąd bać się nie będziem pamiętnych nam gości.
Jest obrona! W kim? Pewnie w Boskiej Opatrzności».

— Zwrócił pan uwagę — mówi dr. Erzepki—że każde zdanie, to cięcie szablą. I jaka odwaga cywilna! Mówić równie gorzką, nagą prawdę w chwili najgorętszego entuzjazmu! Jakie głębokie poczucie obowiązków obywatelskich!

— Znaczna część satyr Zabłockiego, które zebrałem, była już znana dawniej. Ale często przypisywano je Trembeckiemu lub innym poetom. Dokonałem odpowiedniej selekcji, uzupełniłem zbiór satyrami, które udało mi się wynaleźć, a które dotychczas nie były nigdzie jeszcze drukowane...

Spojrzałem na zegarek. Uprzejmy gospodarz dostrzegł mój ruch i żywo zawołał:

— Musi pan obejrzeć nasze zbiory. Nie puszczę pana inaczej—i z pewnością nie będzie pan żałował.

Czasu tego dnia miałem niewiele i wskutek tego szybko, zbyt szybko przebiegaliśmy sale. Dlatego wolę dzisiaj o samem Muzeum nie mówić. Skoro będę miał sposobność ponownego i dokładniejszego zwiedzenia zbiorów poznańskich, napiszę o nich obszerniej.

Poznań. **Prost.**

Z FOTOGRAFIJ AMATORSKICH.

Lirnik, odwiedzający dwory wiejskie w Lubelskiem. Zdjęcie fotogr. p. L. H.

Nowoczesne majoliki kolorowe prof. Manzla, przewyższające włoskie z czasów Odrodzenia majoliki Lukki della Robia. Glina do nich użyta pochodzi z Prus wschodnich.

LISTY KRAKOWSKIE.

[Krakowskie bractwo literackie w XVI w. i «szczupłe fundacje». Kościół św. Wojciecha, jako jego siedziba. Nowa legenda o św. Wojciechu, czyli św. Wojciech i austrjacka biurokracja. «Melduj» i «czekaj»! Pies symboliczny, jego tragiczne dzieje i medytacje nad nim «Czasu». Dzisiejsze literackie bractwo, prokurator i stowarzyszenie dziewic. Czemu «Chochoł» jest artystyczny, ale nie wesoły?!.

Jest w Krakowie kościół, który, jak powiada w «Klejnotach Krakowa» Pruszcz, «szczupłe fundacje ma, *jakoteż* bractwo literackie (od r. 1583), które wszelkie potrzeby i nabożeństwa z cudownej Pana Boga opatrzności prowiduje, gdyż co roku kilka tys. mszy św. bez żadnej fundacji odprawia się».

Zdawna Kraków kościołów miał mnogo, a kościoły mnogo ziemskiego dobytku. Jeszcze i dzisiaj można w nich nietylko (jak mawiał Pruszcz) przedniego «nabożeństwa zażyć», nietylko «świętych dostatek» podziwiać, ale nieraz i doczesnemu ich bogactwu się dziwować: w materjach, kruszcu i żyznych ziemskich posiadłościach. Jeszcze i teraz... Cóż dopiero ongi, gdy jeszcze ani wróg zbrojny, ani austrjak łapczywy nie naruszył bogatych królewskich zapisów, hojnych darów szlachty i mieszczaństwa, i *wotów* pobożnego ludu. I w owym to czasie największego splendoru krakowskich kościołów, gdy każdy z nich miał i fundacyj bogatych obfitość i bractwa, zakładane przez zasobne cechy, był jeden kościół taki, o którym napisano w «Klejnotach Krakowa», że «szczupłe fundusze ma, jakoteż bractwo literackie». W tem skojarzeniu i uzupełnieniu «szczupłych fundacyj» «bractwem literackiem» jest jakiś bezwiedny symbolizm lub ironiczne zacięcie; jest dalej w następnych słowach uznanie, że to bractwo nie od wczoraj widocznie umie bicz kręcić z piasku...

Kościół ten stoi na Rynku, tuż obok Sukiennic, a jest pod wezwaniem św. Wojciecha. Jest to, zdaje się, najstarszy kościół krakowski, mały kościołek, «który był przedtem bałwochwalski»; potem «niemiecka nacja» w nim się usadowiła.

Onegdaj poszedłem oglądać tę dawną siedzibę bractwa literackiego z XVI wieku. Nie ten sam jest to już kościół: przebudowano go dwukrotnie w XVII i XVIII wieku. Wszystko się w nim zmieniło, zginęła nawet pamięć, że «w tym kościele wiele heretyków nawróciło się». Stoi w pośród rynku zapomniany i opuszczony. Była to środa, a «we środy przez rok cały nabożni kościół ten wizytują liczno». Przez uchylone wrota wsunąłem się do maleńkiej barokowej świątyni i znalazłem się w jej wnętrzu sam jeden. Pusto tam było i cicho, jak w cmentarnej kaplicy, tak cicho, że miałem wrażenie, że ztąd właśnie po całym Krakowie cisza się rozchodzi. Na palcach stąpając, rozglądałem się napróżno za zabytkami dawnemi, świadkami dziesięciowiekowej przeszłości; nagle posłyszałem miarowy szelest klapci, wlokących się po kamiennej posadzce, i zaraz, tuż za sobą—szept cichy. To—nieruchoma dotychczas i przygarbiona postać oderwała się od stopni bocznego ołtarza: baba kościelna, która teraz półgłosem, półszeptem wprost w ucho opowiadać mi jęła dzieje świątyni, której jest strażniczką:

— Dawno to było. Nie było tu jeszcze Krakowa. Nad Wisłą ciągnęły się nieprzebyte lasy, ciągnęły się jednym ciągiem, het, od Niepołomskiej puszczy. Tu w tem miejscu lasy były i moczary, a po lasach błąkał się nasz apostoł, św. Wojciech. Błąkał się dniem i nocą. Aż przyszedł tu, w to miejsce, gdzie my teraz stoimy; w miejscu tem była kałuża: tam, gdzie stoi wielki ołtarz. Apostoł patrzy, aż tu w wodzie odbija się wyraźny, piękny wizerunek Najśw. Marji Panny. Był to cud: znak, że stanąć tu winien kościół...

Tu zadyszana, dychawiczna baba odsapnęła ciążko raz i drugi, potem kończyła:

— Św. apostoł zrozumiał. Poszedł zaraz do urzędu cud zameldować, wniósł podanie, i jak tylko pozwolenie przyszło, postawił kościół, w którym mianowali go pierwszym biskupem...

Le charme etait rompu! Nie słuchałem już, jak następca św. Wojciecha «wyjechał zagranicę do Jędrzejowa»; uciekłem. Nie! w tej babie nie pokutuje duch dawnego literackiego bractwa! Choć, kto wie? Wszak bractwo literackie przyprawia dla nas dawne legendy wedle współczesnego smaku, choć nie zawsze z naiwną szczerością tej kościelnej wiedźmy.

Bądź co bądź, byłem naocznym świadkiem, jak lud w swe podania składa «swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty». Czyż to «zameldowanie cudu», «wniesienie podania» i czekanie aż «przyjdzie pozwolenie» nie stanowi teraz u nas treści samej i kwintesencji myśli naszych i uczuć na każdym kroku?

Takimi wychowała nas austrjacka biurokracja, ta niezrównana w swej gorliwości strażniczka zastoju, co sama, nieruchoma, pilnuje zazdrośnie, by się ktoś inny nie ruszył. Ona nie ruszy się, póki jej czego nie «zameldować», a tobie ruszyć się nie pozwoli, póki «pozwolenie nie przyjdzie». Ona czeka na «zameldowanie», ty—na «pozwolenie», a robota publiczna—na chętne ręce, które odwykły się jej imać, bo wpierw trzeba «meldować», potem czekać, długo czekać, wciąż czekać! I to «meldowanie» i czekanie w krew nam już weszło. Chcesz założyć towarzystwo?—«melduj» i czekaj! Chcesz założyć fabrykę?—«melduj» i czekaj! czekaj i «melduj!» i jeszcze «melduj» i czekaj! Tymczasem zagraniczny współzawodnik uprzątnie ci z przed nosa pole zbytu i usadowi się na niem niewzruszenie? «Zamelduj» to i czekaj! Jeśli kościółek św. Wojciecha stoi na krakowskim rynku cichy i opuszczony, to jedynie dlatego, że wówczas w owych lasach i bagnach nie było tu jeszcze tego biurokratycznego bagniska, w którem każdy zapęd grzęźnie. Inaczej św. Wojciech czekałby może na pozwolenie do dziś dnia! Chyba, żeby się mu było czekanie sprzykrzyło, i że byłby poszedł założyć swój kościół na Węgrzech, jak to dziś czasem mniej cierpliwi przemysłowcy czynią z fabrykami.

Nie! Im więcej nad tem rozmyślam tem pewniej mniemam, że to nie była zwykła kościelna baba. W niej pokutował duch literackiego bractwa z XVI wieku. Niech czytelnicy osądzą sami. Czyż zwykła baba oddałaby tak wiernie a zwięźle w kilku słowach cały tok naszych myśli i sposób naszego myślenia? Mnie w mem mniemaniu utwierdzają jeszcze mocniej tragiczne przejścia tego historycznego psa, o którym od tygodnia mówi cały Kraków. Gdyby nie to, że tyle osób przekonało się namacalnie, że był to pies żywy, powiedziałbym, że i on był symboliczny; tem bardziej, że nawet występował w państwowych barwach: był *czarny* w *żółte* plamy! Posłuchajcie smutnych jego dziejów, które opowiem przedmiotowo, według «urzędowych danych», własnym konceptem dodając tylko psychologję nieszczęsnego czworonoga, a przyznacie, ufam, że psychologja ta jest logicznie niewątpliwa.

Był tedy czarno-żółty pies w Prądniku pod Krakowem, silny kundys, który wściekł się z niewiadomej urzędownie przyczyny. Czując swój stan, rozumny kundys zapragnął «zameldować się» coprędzej u «dotyczącej władzy». W tym celu ugryzł psa samego pana wójta. Pan wójt się zmartwił. Nie widząc żadnego skutku, pies gryźć jął po łydkach członków rady gminnej na wyrywki. To poskutkowało: rada się zebrała i postanowiła «zameldować» ten wypadek starostwu. Bez wahania starostwo zarządziło zabicie chorego psa *w zasadzie*, poruczając jego wykonanie «dotyczącej władzy». Bezzwłocznie też rozpoczęto korespondencję, w celu wyjaśnienia, która władza jest «dotycząca»? Pokazało się, że jej właściwie niema. Myślano zrazu o oprawcy miejskim, ale wyczerpująca i gruntowna korespondencja z magistratem krakowskim wykazała, że oprawca ten urzęduje tylko w obrębie rogatek. Trzeba więc albo uzyskać kredyt na stworzenie nowej posady oprawcy dla powiatu, rozpisać konkurs i t. d. i t. d.,

«albo niech pies przyjdzie na teren gminy miejskiej». Pies tymczasem kąsał ludzi po okolicy bez wyraźnej myśli przewodniej, co częściowo tłómaczy się zrozumiałem łatwo zdenerwowaniem, częściowo poszukiwaniem na własną rękę, acz nieco bałamutnem, «władzy dotyczącej». Skoro jednak tylko sprawę wyjaśniono, pies natychmiast przyszedł «zameldować się» do Krakowa. Przechadzał się po ulicach—napróżno: biedaczysko nie wiedział, że dotychczasowy oprawca właśnie podał się do dymisji, a jego następca jeszcze nie objął urzędowania! Pies starał się usilnie zwrócić na siebie uwagę władzy, kąsając w Krakowie ludzi to koło dworca kolei, to po ulicach, na których przypuszczał obecność osób urzędowych. W braku «dotyczącej władzy», mozolił się tak przez kilka dni bez skutku. Słyszał widocznie, że są u nas ludzie, którzy starają się budzić władze z jej drzemki i, węchem swym wiedziony, odnalazł d-ra L., adwokata i dziennikarza—«ten mi napewno pomoże»—i ugryzł go w nogę. Adwokat jednak zamiast uderzyć na alarm, poszedł się leczyć do zakładu d-ra Bujwida, gdzie zaczęło się zbierać coraz liczniejsze towarzystwo. Pies był w rozpaczy. Co mógł, zrobił, by się «zameldować»—i nic! Niezrażony, obmyślił sposób niezmiernie przebiegły. Znalazł na ulicy dwóch policjantów i zatrzymał się przed nimi chwilę, rozumując: «Ukąszę ich? pójdą do d-ra Bujwida. Nie głupim!» I przed nosem policjantów kąsać począł jakiegoś przechodnia. Ten, opędziwszy się sam, jak mógł, wskoczył do dorożki: «do d-ra Bujwida!», a policjanci dalej nieruchomie i niewzruszenie «pilnowali porządku!» Pies nie wiedział, że Kraków, jako forteca, ma policję nie miejską, lecz wojskową, a nadzór nad psami i wodowstrętem należy do zakresu działania władz miejskich! Nie wiedząc tego, pobiegł do dyrekcji policji, stanął pod węgłem i... podniósł lewą nogę. Policjant patrzył nań uważnie, pies na policjanta wyzywająco. Wreszcie, zniechęcony, machnął ogonem: «Nie! I to widocznie nie jest jeszcze władza «dotycząca!» Oczy psu błysnęły jasno, zaświeciła w nich myśl nowa, stanowcza. Wciągnął ogon, pochylił głowę i ruszył prosto przed siebie cwałem. Przebiegł miasto, minął rogatki, pędził naoślep naprzełaj polami; zagony migały się mu w oczach. Dopędził do granicy rosyjskiej. Pies nie miał paszportu. Czy wiedział, że go tu potrzeba? Niewiadomo. Wieczystą więc pozostanie tajemnicą, czy chciał wejść w zakres działania innej władzy, czy krok jego ma znamiona samobójstwa? Dość, że mimo wołania: «stój!» pędził, aż padł od kuli strażnika!

Psu temu historycznemu «Czas» nawet poświęcił wstępny artykuł, wykazując, że władze wywiązują się ze swych obowiązków «psim swędem», i że policja nasza—«psu na budę». («Czas» mówi to oczywiście podnioślejszym stylem). Jest w tem bezsprzecznie przesada. Wina bowiem jest po stronie psa całkowicie: pies spełnił tylko połowę obywatelskiego obowiązku: «zameldował się», dobrze; ale potem powinien był czekać! Czekanie to grunt. Przecież dla byle psa zmieniać nie będziemy całego naszego biurokratycznego systemu! Nie wątpię, że w tej chwili przez usta moje mówi jasnowidzący duch bractwa literackiego, jak przemawiał onegdaj przez usta kościelnej baby.

Dzisiaj w zdanie Pruszcza o onem bractwie wstawićby należało jeszcze jeden wyraz: «szczupłe fundacje ma bractwo literackie i *prokuratora*». Dopiero między «szczupłemi fundacjami» a «prokuratorem» dzisiejsze nasze bractwo czułoby się jak w domu! Jeśli kto inny o nas nie pamięta, to austrjacki prokurator troskliwą otacza nas opieką. Jeśli kto inny o nas nie czyta, to prokurator czyta za wszystkich, czyta uważnie, tak uważnie, że już... nikt po nim czytać nie potrzebuje. Publiczności też trzeba oddać tę sprawiedliwość, że bardziej pamięta o prokuratorze, niż o «szczupłych fundacjach»: świeżo znów wzywała jego wkroczenia ustami stowarzyszeń dziewic, starszych cechów i t. d. W tym wypadku gorliwość ta obywatelska była nawet zbyteczną, bo prokurator jest jedyną władzą, która działa, choć mu się nie «melduje». Zresztą można było, jak się komu coś niepodoba, nie czytać, a nie robić koniecznie takiego rwetesu. Ładną będziemy mieli literaturę, jeśli piszący nie o to będą się troszczyli, by myśl swoją oddać w całej pełni, ale o to, by zyskać względy stowarzyszeń dziewic! Co prawda, dziewice i nie czytały i krzyczały w niebogłosy, «czując — jak powiada «Chochoł»—że nadeszła chwila, w której będzie można dużo mówić».

Dla objaśnienia dodam, że «Chochoł» jest to nowe pismo tutejsze humorystyczne, którem doprawdy możemy się pochlubić. Wydają go uczniowie Akademji sztuk pięknych, którzy umieli mu nadać znamię zupełnie artystyczne. Ostatni, trzeci numer z ilustracjami w sześciu barwach (wykonanemi w Krakowie!) przedstawia się wręcz okazale. Narazie tekst nie stoi jeszcze na wysokości rysunków. I dziwić niema się czemu: między «szczupłemi fundacjami» a prokuratorem, jak bractwo literackie zdobyć się ma na humor?

Wierzbięta.

. . . . . .

WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI.

Autor „Króla Salomona“, urodzony w 1834 roku w Galicji, umarł w Warszawie d. 12 lutego r. b. Pośmiertne wspomnienia czasopism o autorze „Salomona“ nie przyniosły ścisłej a krytycznej charakterystyki jego pism i talentu. Inaczej być nie mogło. Z dnia na dzień nie pisze się charakterystyki takiej. Postaramy się dopiero po niejakim czasie dać wizerunek krytyczny poetyckiej twórczości W. Zagórskiego. Dziś przypominamy tylko, że w „Kraju“ przed laty drukowany był po raz pierwszy w całości „Król Salomon“.

Przeżył Wł. Zagórski lat 68. Jako wychowaniec szkoły wojskowej w Krems, potajemnie przyłączył się do legji garibaldczyków, walczącej we Włoszech, i w 1859 r. biwakowe pędził życie. Po żołnierce owej, przeplatanej tworzeniem piosenek ulotnych, osiadł we Lwowie i współpracował pilnie w pismach satyrycznych „Szczutek“ i „Chochlik“. Nazwę *Chochlik* przyjął sobie za pseudonym — a pod tym tytułem wydawał od 1866—1868 r. tygodnik humorystyczny. W 1883 r. przybył do Warszawy i odtąd nieprzerwanie zajęty był nad Wisłą pracą dziennikarską i literacką. Wydał oddzielnie pod pseudonymem Chochlika: dwa tomy poezyj p. t.: „Zmierzchy i świty“, „Piosnki i żarty“, „Pamiętniki starego parasola“, „Król Salomon“, „Wybór poezyj“ w dwóch tomach; powieści: „Wilcze plemię“, „O własnych skrzydłach“, „Szalone głowy“ i „Zbiór nowel“ w 4 tomach.

Wizerunek poety, zamieszczony powyżej, jest kopją szkicu ołówkowego, wykonanego z natury przed rokiem. Jest to zarazem jedyna z lat ostatnich, a bardzo wierna podobizna Wł. Zagórskiego. J.

WYMIERAJĄCE DRZEWO.

O „wymierającem drzewie naszych lasów“ znajdujemy w dwóch ostatnich numerach tygodnika „Na około świata“ godny uwagi artykuł. Drzewem tem, znikającem coraz bardziej z powierzchni ziemi, jest cis. Autor artykułu podaje następujące przyczyny tego faktu: 1) osuszanie gruntów uważa za jeden z najważniejszych powodów, gdyż cis rozrasta się tylko na ziemi wilgotnej; 2) nowoczesna metoda gospodarki leśnej, system porębowy, nie oszczędzający drzew młodych, a przez usuwanie starych i rozłożystych, zmniejszenie cienia, który cisom konieczny jest do wzrostu; wreszcie 3) trudność opylania tych drzew. Dodać należy, iż obawa przed trującemi własnościami liści cisu, a zwłaszcza przekonanie, że sprowadzają szkodliwe skutki na ocielone krowy, karmiące się temi liśćmi, jest przyczyną, iż w wielu okolicach ludzie usilnie wytrzebiają drzewa cisowe; rosną one zresztą powolnie i ulegają rywalizacji drzew szybko rosnących, które cieszą się u ludzi większem poparciem. W dawnych czasach cis był czczony, jako drzewo, poświęcone bożkowi wojny (wyrabiano z niego łuki do strzelania) i z tego powodu starannie go pielęgnowano; po wprowadzeniu chrześćjaństwa poczęto go niszczyć, aby nie podtrzymywać w dalszym ciągu kultu bałwochwalczego. Liście jego służyły dawniej, prawdopodobnie na zasadzie starodawnych wierzeń pogańskich, do ozdabiania miejsc uroczystości ludowych, a także, jako dodatek do pewnych gatunków pieczywa; dla cennych zaś warunków drzewa, poszukiwany był przez stolarzy, tokarzy, snycerzy, łuczników i t. p. Zarówno ustępowanie powolne cisu z powierzchni ziemi, zmniejszenie się liczby stanowisk tej rośliny, jak i stopniowe zmniejszanie się jej wymiarów, wątpliwości już dziś podlegać nie może, iż tylko przy wielkiej ostrożności i starannem pielęgnowaniu mogłyby jeszcze oddzielne, pozostałe dotychczas jej stanowiska zostać utrzymane i przekazane następnym pokoleniom. W Tatrach giną świstaki, w puszczy Białowiezkiej żubry, a w lasach—cisy. G.

Z CHWILI BIEŻĄCEJ.

Zygmunt Noskowski, twórca muzyki do fantazji choreograficznej p. t.: «Święto ognia», wystawionej po raz pierwszy w teatrze Wielkim warszawskim w ubiegłym tygodniu. Jeden z najwybitniejszych naszych współczesnych muzyków-kompozytorów.

Panna Alicja Roosevelt, córka prezydenta Stanów Zjednoczonych, obrana przez ces. Wilhelma na chrzestną matkę nowego jachtu cesarskiego «Meteor», zbudowanego w dokach New-Yorku.

PISMA HEBRAJSKIE J. KLACZKI.

Przed kilku dniami Juljan Klaczko, jeden z najświetniejszych pisarzy polskich, obchodził 75-tą rocznicę swoich urodzin. Solenizantowi zasyłano z rozmaitych stron najlepsze życzenia, a przy sposobności wymieniano wszystkie jego zasługi, zalety, cnoty i talenty. Czytaliśmy więc, że Juljan Klaczko to grek z czasów Peryklesa, lub włoch z epoki Odrodzenia, przeniesiony żywcem do nas współczesnych, aby nam tłómaczył i wyjaśniał myśli, uczucia i dzieła dawno ubiegłych stuleci; z pod pióra jego wychodziły studja znakomite o Dantem, Michale Aniele, Rafaelu... Trzydzieści lat upływa właśnie od chwili napisania przezeń „Wieczorów Florenckich". Przed kilku laty stworzył arcydzieło nowe p. t.: „Juljusz II". Czytaliśmy, że Klaczko jest mistrzem pióra, poetą, który myśli obrazami, i stylistą jednocześnie nieporównanym w trzech językach: polskim, francuzkim i niemieckim. Czytaliśmy, że jest on wielkim historykiem, świetnym artystą, doskonałym literatem i nawet niepospolitym dziennikarzem. Jednego tylko drobniutkiego szczegółu o Klaczce nie mogliśmy się doczytać—pisze „Izraelita"—mianowicie, że jest on z pochodzenia żydem, i że po raz pierwszy promienie jego talentu zajaśniały na niwie literatury hebrajskiej. A tymczasem... Wiadomo jest, że rodzinie Klaczków zawdzięcza piśmiennictwo hebrajskie kilku bardzo zdolnych pracowników; wiadomo, że Juljan Klaczko już jako 13-letnie dziecko uchodził w Wilnie za „cudownego" młodzieńca, że w wieku tym znał już dobrze współczesną mu literaturę polską i francuzką, a poglądy jego na utwory tych literatur zdumiewały głębokością i oryginalnością sądu. Wiadomo, że jako 16-letni młodzieniec wydał w Lipsku w r. 1842 tomik poezyj hebrajskich częścią oryginalnych, częścią tłómaczonych. Tłómaczył na hebrajski: „Farysa", „Powrót taty" z polskiego, powieść p. t.: „Zbieg z czasów zburzenia drugiej świątyni" z niemieckiego; przetłómaczył także studjum Karola Moore p. t.: „Miłość i rozum". Do oryginalnych jego utworów hebrajskich, ogłoszonych drukiem, należą: wiersz sielankowy p. t.: „Dziewica i fijołek", elegja: „Sulamit na wzgórzach Jerozolimy" oraz powieść p. t.: „Rybak". Większa część hebrajskich poezyj Klaczki pod ogólnym tytułem „Owoce młodości" pozostała w rękopisie; w rękopisie też pozostało dużo przekładów na hebrajski z języka polskiego. Zarówno w przekładach jak i w utworach oryginalnych młodego Klaczki najwięcej olśniewa znawców mistrzowska hebrajszczyzna.

An.

KANONIZACJA JOANNY d'ARC.

Proces kanonizacyjny Joanny d'Arc, wszczęty w Rzymie na instancję miasta Orleanu, trwa już lat trzydzieści dwa, a ukończonym zostanie nie wcześniej jak w r. 1910. Jak wiadomo, sprawa uznania za świętą danej osobistości przejść powinna przez trzy okresy rozstrzygnięć Trybunału św. Kongregacji. Proces Joanny d'Arc przeszedł już przez dwa okresy. Dziewica Orleańska otrzymała już tytuł „czcigodnej", a w dniu 17 grudnia r. ub. na uroczystem posiedzeniu Trybunału św. Kongregacji przemawiali już w jej obronie dwaj, przez Trybunał wyznaczeni obrońcy (jeden z nich cywilny), oraz argumenty ich zbijał, występując przeciw kanonizacji, również przez Trybunał wyznaczony prokurator, t. zw. „adwokat djabła" (był nim monsignore Lugari). Wynik obrad trzymany jest w tajemnicy; wiadomo tylko, że sprawa kanonizacji wybawicielki Francji, ma gorącego rzecznika w osobie kardynała Parochi, i że przewodniczący w Trybunale kardynał Ferrata da mu poparcie. Obecnie zatem pozostaje rozstrzygnięcie pytania: „czy po śmierci Joanny d'Arc objawiły się jakie cuda za jej przyczyną lub jej wyraźnem wstawiennictwem wywołane?" Czciciele Dziewicy Orleańskiej przytaczają ich wiele, i zapewne nie omieszkają złożyć przed Trybunałem wystarczających dowodów i dokumentów.

D.

Niezwyciężona lalka.

Na wystawie fotograficznej w Krakowie. Obszerna izba, w jej rogu stoi wielka, wypchana lalka w białej kamizelce. Opodal milczącem półkolem otacza ją poważne grono dziennikarzy, inżynierów i wojskowych, wpatrując się w lalkę uważnie. O dwa kroki przed lalką austrjacki kapitan w mundurze patrzy na nią srogo. Dobywa pałasza i wali ją z całej siły przez piersi, wali na odlew, żga sztychem, znów tnie ostrzem, aż się zadyszał i ustał. Wtedy milczące półkole zbliża się do lalki, każdy palcem dotyka białej kamizelki, kiwa głową, mruczy pod nosem i dziwuje się, jak umie. I znów poważne półkole cofa się, formuje, milczy i jeszcze uważniej lalce się przygląda. Pan kapitan rzuca jej spojrzenie srogie. Podają mu rewolwery, bierze pierwszy, bada go starannie: „kaliber 9 milimetrów", „nabój 7 gramów", „proch czarny"; dziennikarze zapisują to skrzętnie. Kapitan mierzy: paf! paf!—lalka ani drgnęła, a kule opadły u jej stóp bezsilne. Paf! paf! paf! Kapitan bombarduje lalkę na pięć kroków, na cztery kroki, na dwa kroki, zmienia rewolwery, strzela z przodu, z boku, strzela *à bout portant*—i wciąż kule, jak groch kapią na podłogę, a lalka stoi nietknięta. Milczące półkole zbliża się znów do lalki, każdy palcem dotyka białej kamizelki (i t. d., jak wyżej).

Srogiego kapitana wysłały tu umyślnie władze wojskowe na spotkanie z niezmożoną lalką, którą przysłał tu Szczepanik, ubrawszy ją w swoją kamizelkę... kulo i szablotrwałą. Kamizelka z surowego jedwabiu wyszła z pojedynku ze srogim kapitanem cało, jest tylko nieco osmolona.

Dobry wynalazek, niema co mówić. Szkoda, że na przód tylko kosztuje 6 tys. koron, a dokoła—12 tysięcy. Nie każdy jest egipskim chedywem, którego stać na taką garderobę.

— Proszę panów zatrzymać się jeszcze chwilkę—woła gospodarz wystawy p. Szczepański, i w tej chwili oślepia nas błysk magnezjowego światła.

— To migawkowe zdjęcie dla „Ilustracji Polskiej"—objaśnia nas gospodarz-redaktor. Fotografja nie bardzo się udała: wszystkie osoby drgnęły, prócz jednej: niezwyciężonej lalki.

Żet.

Kraków.

NOTATKI.

Naukowe.

+ Staraniem Koła filozoficznego uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego w ciągu marca zostaną wygłoszone trzy publiczne wykłady **z zakresu filozofji**, mianowicie: prof. Henryka Struvego „O znaczeniu filozofji dla umysłowego życia narodu", prof. Stef. Pawlickiego „Współczesne społeczno-polityczne ideały" i prof. Maur. Straszewskiego „O religijnych ideałach doby obecnej".

+ P. Ludwik Stasiak w „Dzien. Pozn." zbija obiegające prasę pogłoski, które podają w wątpliwość autentyczność **grobu Bolesława Śmiałego** w Karyntji, a nawet zupełnie odrzucają podania o jego życiu pokutniczem i śmierci w klasztorze w Ossyachu. Przedewszystkiem p. S. zarzuca historykom polskim nieprawidłowe używanie nazwy miejscowości: Ossyach lub Ossyak, i uważa za właściwszą nazwę miejscową słoweńską Ossoje. Następnie zbija twierdzenia prof. Oswalda Balzera, utrzymującego, iż legendę o Bolesławie wymyślił i napisał opat Gröblacher w XVI wieku. Dowodzi, że już w wieku XV Jan Dąbrówka zapisał podanie o Bolesławie, a w w. XVI Hozjusz i Kuczborski oglądali grób i tablicę, że wreszcie sam napis tablicy, pisany literami romańskiemi, nie mógł powstać później, niż w XIV wieku.

+ Ze względu na to, że upłynęło już 25 lat od osuszenia błot poleskich, profesor Akademji wojenno-medycznej dr. Pasternacki, dokonał badań nad **zmianami klimatu na Polesiu**. Okazuje się, że kraj obecnie jest zdrowszy niż dawniej i nie daje takiego procentu osób, zapadających na choroby błotne.

+ Na ostatnim zjeździe przyrodników i lekarzy w Petersburgu, został założony **związek przyrodników**, do którego prawdopodobnie przystąpią wszystkie przyrodnicze stowarzyszenia w państwie.

+ Czasopismo „Revue Scientifique" umieściło pracę znanego uczonego **p. Zaborowskiego**, p. t.: „Pochodzenie starożytnego i współczesnego Kaukazu". Dzieła jego ogłaszane w języku francuzkim, zjednały mu sławę jednego z najpoważniejszych badaczy kultury przeddziejowej.

NOWE GMACHY WARSZAWY.

Wielkie halle targowe.

POLITYCY WSPÓŁCZEŚNI.

Honourable J. Chamberlain, angielski sekretarz stanu (minister) dla kolonij, radca tajny (*privy councillor*) i członek Izby deputowanych — przy pracy, w biurze ministerstwa kolonjalnego (*colonial office*). Rysunek z natury, wykonany specjalnie dla «Daily Graphic'u».

+ Dr. Karwowski na Szlązku i p. St. Wiszniewski w Warszawie, gromadzą materjały archiwalne **do historji rodziny Radolińskich** dla ks. Hugona von Radolin, ambasadora niemieckiego we Francji. Mówiąc nawiasem Radolińscy z Jaroczyna w Poznańskiem mieli przydomek Radolin. W 1888 r zniemczały Radoliński otrzymał tytuł „Durchlaucht", zwać począł siebie *Fürst von Radolin* i w takiem przebraniu figuruje dziś wsród arystokracji — niemieckiej.

+ Walka pomiędzy p. **Demczyńskim** a przeciwnikami przepowiadania pogody na zasadzie zmian księżycowych, ciągle jeszcze toczy się na szpaltach dziennika „Now. Wremia". Obecnie p. Demczyński z tryumfem zaznacza, że lutowe zamiecie wypadły w te dni, które on wskazał przed miesiącem.

+ Pod Berlinem dokonano prób z **pośpiesznemi pociągami elektrycznemi**. Największą szybkość osiągnięto 160 kilom. na godzinę, pod czas gdy na kolejach z lokomotywami parowemi dochodziła w Europie do 130, a w Ameryce do 140 kilom. na godzinę.

Literackie.

+ Wychodzący w Krakowie „Poradnik językowy" zaleca wzbogacanie mowy naszej wyrażeniami, branemi **z gwary ludowej**. Znany artysta - malarz Włodzimierz Tetmajer, autor zarazem kilku poetyckich utworów — proponuje w tem piśmie przysłuchiwać się bacznie, jakie wyrażenia utworzył np. lud ze wsi Bronowic pod Krakowem. Lud mówi tam: „drabinkarz" zamiast „karjerowicz" (bardzo obrazowe wyrażenie!), zamiast „kamaszę" — „cholewki", zamiast „bicykl"—„kółko" i t. p. Otóż „Poradnik" otworzył specjalną rubrykę dla zamieszczania nadsyłanych mu tego rodzaju wyrazów rodzimych starego lub nowego pochodzenia, któreby zasługiwały na przyjęcie ich do literackiego naszego języka, do skarbca mowy naszej. Bardzo chwalebnie; język nie jest martwy, a żywy, nie skrystalizowany raz na zawsze, ale rozwijający się wciąż.

+ Głośna w Galicji sprawa konfiskaty „Legend" Niemojewskiego, o czem pisaliśmy w „Uwagach" poprzedniego n-ru „Kraju", nie przestaje pokutować w dziennikach lwowskich i krakowskich. Sądziliśmy, że konfiskata wywoła tylko zaciekawienie i wyrządzi książce przednią reklamę. Wywołała **wylew zachwytu**! Płomienną obronę „Legend" skreśliło w „Słowie Polskiem" pióro p. Gab. Zapolskiej (Janowskiej). „W książce Niemojewskiego—pisze — niema nic po nad to, co każdy z nas, prawdziwie pojmujących Chrystjanizm, ma w głębi swego serca. Z książki Niemojewskiego modlić się może dziecko (!), bo tam nauczy się i pojmie dokładnie, kim był Chrystus". Ma odwagę swoich przekonań p. Zapolska, ani słowa, ale że szafuje zbyt odważnie liczbą mnogą, to też przyznać trzeba. Nie wadziłoby może nieco ostrożności w przemawianiu w imieniu wszystkich „prawdziwie pojmujących Chrystjanizm". Zostawmy to—Leonowi XIII-mu.

+ Bułgarski miesięcznik „Myśl" umieścił w zeszycie sierpniowym r. z. krytykę dokonanego przez F. Kowaczewa **przekładu „Pana Tadeusza"**. Krytyk, p. B. A. z Ruszczuku, wyraża ubolewanie z powodu, iż autor przekładu, błędnie i nieudolnie używając dwóch narzeczy bułgarskich, obniżył wysoką wartość Mickiewiczowskiej epopei, i nie był w stanie oddać ducha, ani myśli poety. Szczęśliwiej zapewne wywiąże się z tego zadania rodak p. F. Kowaczewa, dr. Christo Kesiakow, który, biegle władając językiem polskim, dał już liczne dowody swych zdolności poetycznych w tłómaczeniu pomniejszych utworów Mickiewicza.

Panna Chauvin, tłómacząca sędziom istotę sprawy metodą poglądową, przy pomocy okazów rzeczowych.

+ W duchu średniowiecznym tradycyj romantycznych „Wędrowiec" ogłosił **igrzyska kwiatowe**, w których do współzawodnictwa zaproszono „wszystkich poetów polskich". Nagrodami za najlepsze ballady będą: róża złota i róża srebrna, za najlepsze zaś sielanki—lilja złota i lilja srebrna. Objętość każdego utworu ma nie przekraczać za 100 wierszy. Termin—15 kwietnia.

+ W brukselskim „Petit bleu" zamieścił **Henryk Merzbach** kilkociągowy artykuł p. t.: „*La Prusse et la Pologne*". Jest to faktyczny i dosadny przyczynek do polemiki między prof. L. Leclère'em, który dzielnie w „Petit bleu" ciął po prusakach za Wrześnię — a p. H. Weberem, który usiłował mu dowieść, że rząd pruski ma rację. Po czyjej stronie stanął zasłużony prezes „Towarzystwa polskiego wzajemnej pomocy" w Brukselli, zbyteczna zaznaczać. Temat wrzesiński, jak widzimy, nie wyczerpany jeszcze w prasie zagranicznej.

+ „Goniec Łódzki" ogłasza **konkurs poetycki** imienia Józefa Bohdana Zaleskiego, z tytułu setnej rocznicy urodzin pieśniarza stepów. Nagród będzie dwie. Pierwsza w kwocie 350 rb. przyznaną zostanie pracy oryginalnej zarówno pod względem treści, jak i formy; druga w kwocie 150 rb. utworowi, najlepszemu z nadesłanych. Termin nadsyłania prac na konkurs upływa z dniem 1 stycznia 1903 r. Utwór konkursowy, nigdzie nie drukowany, powinien mieć objętości 800—1,000 wierszy.

+ Czasopisma zagraniczne zamieściły następujące opracowania **rzeczy polskich**: W piśmie „Das Freie Wort" № 21 artykuł Peregrinusa „Problemat austrjacki. 8. Rejwach polski". „Aus Fremden Zungen" № 2 podaje szereg poezyj K. Tetmajera w przekładzie niemieckim. W „Gartenlaube" № 3 A. Amlacher opisuje kraj huculów. Włoska „Nuova Antologia" № 723 wydrukowała przekład noweli H. Sienkiewicza „Lux in tenebris lucet". Wiedeńska „Die Zeit" Nr. 322 dała studjum Haeckera o St. Wyspiańskim, i temuż pisarzowi poświęcono feljeton w dzienniku chorwackim „Obzor" Nr. 35. Dziennik ten nadto w N-rze 27 podał sylwetkę Wojciecha Dzieduszyckiego.

+ W wydawnictwie „Jubilejnyj Sbornik", poświęconem jubileuszowi prof. Storożenki, profesor uniwersytetu moskiewskiego R. Brandt umieścił charakterystykę **Adama Mickiewicza**. Książka zbiorowa wyszła w Moskwie w r. b.

+ W „Kurjerze Warszawskim" **Stanisław Przybyszewski** ogłosił list następujący: „Szan. panie redaktorze! Proszę o gościnność w łamach poczytnego pisma pańskiego. Mnie osobiście nic nie obchodzi, co o mnie ludzie sądzą, myślą, mówią lub piszą, ale tu chodzi o moją rodzinę. Rozeszła się pogłoska, jakobym był umysłowo chory i przebywał w Tworkach. Dopóki to szeptano sobie na ucho, śmiałem się ze smutnem politowaniem, ale teraz, kiedy to już pisma zagraniczne powtarzać poczynają, ośmielam się jaknajpokorniej zaprotestować przeciwko temu i oświadczyć, że nietylko w Tworkach nie byłem, ale rzadko kiedy cieszyłem się tak dobrem zdrowiem, jak obecnie. A oświadczenie to robię ze względu na moich rodziców, którzy są w podeszłym wieku, a tę samą niegodziwą plotkę przed dwoma laty matka moja omal życiem nie przypłaciła. Proszę przyjąć i t. d. *Stanisław Przybyszewski*".

+ W Paryżu zaczęło wychodzić oryginalne wydawnictwo: **słownik do dzieł Zoli**. Obejmie on spis wszystkich osób, występujących w powieściach Zoli, ich życiorysy, wzajemne ich stosunki rodzinne ze wskazaniem wszystkich miejsc, gdzie o tych osobach znajduje się choćby najmniejsza wzmianka.

+ W jednem z archiwów londyńskich znaleziono nieznaną dotychczas **sztukę Szekspira**, której temat zaczerpnięty z dziejów panowania królowej Elżbiety, a więc z wypadków współczesnych Szekspirowi. Sztukę tę ogłoszono w 36 tomie niemieckiego „Rocznika Szekspirowskiego".

ADWOKACKI DEBIUT PANNY CHAUVIN.

Panna Joanna Chauvin, doktór praw, pierwsza francuzka kobieta adwokatka, przemawiająca przed trybunałem paryzkim w sprawie nadużyć konkurencyjnych, popełnionych przez pewną fabrykę gorsetów. Na stole, przed trybuną sędziów ustawione *corpora delicti*. Panna Chauvin okazała przy tym pierwszym występie wymowę niepospolitą, świetną znajomość prawa i, rzecz naturalna, wręcz niedostępną dla kolegów swoich płci męzkiej—kompetencję.

NA ULICACH FLORENCJI.

Bujne i barwne życie uliczne nadaje miastom południowym charakterystyczne piętno. Wszelki gwar i ruch miejski, ześrodkowujący się na Północy pod dachami, wylewa się na Południu pod otwarte niebo; w miastach południowych wszystko, by tak rzec: rozgrywa się na ulicy. Oto obrazek jeden z tysiąca. Dwa, trzy tygodnie temu odbyła się we Florencji doroczna, bardzo popularna «Tombola» — loterja na fanty rozmaite. Los po 50 cent.; główna pieniężna wygrana: tysiąc lirów. Gdzie uscenizowano tę zabawę? to igrzysko? Rozumie się, pod otwartem niebem, na przepięknym placu, Piazza della Signoria, przed frontonem wspaniałego gmachu Loggia dei Lanzi, u stóp słynnego posągu Perseusza, dzierżącego w prawicy ściętą głowę Meduzy. Tombola taka—widowisko w swoim rodzaju jedyne. Do stolików, za któremi siedzą sprzedający losy—tłoczy się ciżba, jaką tylko Włochy po miastach swoich mieć mogą; bo nietylko każdy lazzarone musi bilet kupić — kupuje los każdy cudzoziemiec, przebywający we Florencji. Sport to dla jednych i drugich. Aby zaś żadnych kwestyj «formalnych» nie było, wygrywające numery pokazywane są «tłumowi» na dwóch o-

gromnych tablicach, widzialnych zdaleka. Tombola florencka jest jedną z najciekawszych i najbardziej ożywionych zabaw karnawałowego włoskiego sezonu.

Artystyczne.

+ Za inicjatywą artysty-malarza Jacka Malczewskiego tworzy się **stowarzyszenie artystów polskich**, mające na celu otwieranie ogólno-polskich wystaw sztuki. Sędziami wystawowymi mają być artyści przez kolegów wybrani po dwóch: z Warszawy, Krakowa i Lwowa. Prezesem stowarzyszenia został Jacek Malczewski.

+ Zbudowany w r. 1333 przez Kazimierza W. **zamek w Pyzdrach**, obecnie własność Jochme Mielżyńskiego, został opisany przez p. Fr. Paluszkiewicza w „Gazecie Kaliskiej". Autor opisu wzywa społeczeństwo polskie do podtrzymania tego pamiątkowego gmachu. Według p. P., zamek powinien być nabyty albo przez miasto na szkołę, albo przez osobę prywatną na pałac.

+ Do komitetu budowy **pomnika Chopina** w Warszawie liczni rzeźbiarze, architekci i malarze wystosowali zbiorową odezwę, prosząc, aby: 1) wszelkie sprawy z organizacją, zakresem konkursu i sposobem rozstrzygania tegoż, jakoteż i inne, dotyczące strony artystycznej zamierzonego dzieła—decydowali wyłącznie artyści plastycy; 2) aby skład owej wyrokującej komisji artystycznej wybrany był przez ogół artystów. Wśród podpisów nazwiska: Welońskiego, Marconiego, Szyllera, Jabłońskiego, Żmurki, Alchimowicza etc.

Nowe książki.

Pamiętnik Juljusza Słowackiego, ogłosił dr. Henryk Biegeleisen. Warszawa, 1901, str. 137. „Bibl. Dzieł Wyborowych". Cena 40 k. (w oprawie).

Książkę tę ułożył dr. Biegeleisen na podstawie zmiętych i pożółkłych od starości kart raptularzyka, który służył niezrównanemu słowa polskiego mistrzowi za skład myśli, wrażeń i studjów w przedostatniej dobie życia. Na spłowiałych tych kartach, zapisywanych pomiędzy r. 1843 a 1847, wykwitły tym sposobem «złote róże mistyki polskiej, nie bez ostrych kolców, zatopionych we własnem łonie poety, rzucał się girlandami tonów melancholiczny śpiew romantyki, pojony cichą rezygnacją». Są tu, obok całego szeregu rysunków z natury, dorywczo kreślone notatki, wiersze, wyciągi z czytanych książek, pierwsze rzuty pomysłów dramatycznych, i t. d. Do ciekawszych z pomiędzy tych zapisek, nużących nieraz skutkiem dążności podciągnięcia wszystkich objawów życia ludzkiego i całej przyrody pod sznur jednej zasady, należą wzmianki o Mickiewiczu, przeważnie nacechowane niechęcią... Lwią część pamiętnika zajmują rozmyślania i obserwacje ze świata transcedentalnego, a jak w całej teozofji poety, tak i tu nie brak zdrowych jędrnych ziarn wśród rzeczy dziwacznych, naciąganych do spirytystycznej teorji. Z wierszy, porozrzucanych po rozmaitych miejscach pamiętnika, zebrano tu sporą wiązankę; szkoda tylko, że są to same pierwsze rzuty lub fragmenty. Widać w nich jeszcze siłę twórczości Juljusza, ale już pozbawioną realnego gruntu. Fantazja jego rozpala się szybko, ale jeszcze szybciej gaśnie... Wyobraźnię poety bawią dziwne i straszne widziadła, oddane w zbyt naturalnej, a nawet szorstkiej formie. Wśród prostych i pięknych, nieraz podniosłych obrazów, wyrywa się tu Słowackiemu raz po raz jakieś pospolite słowo, zacierające jednem grubem pociągnięciem pendzla często najpiękniejsze wrażenie. Zanik zmysłu artystycznego i zamglenie wyobraźni twórczej widzi się w pamiętniku tym na każdym kroku. Jako przyczynek do psychologji Jul. Słowackiego w okresie towianizmu, jest «Pamiętnik» ten wielce ciekawy. Dołączone doń reprodukcje licznych akwarel i rysunków ołówkowych poety, również nie są pozbawione interesu dla wielbicieli Juljusza, świadczą bowiem, że miał talencik w tym kierunku...

Stanisław Orzechowski. „Opowiadanie upadku przyszłego polskiego z r. 1560". Warszawa, 1901, str. 32. Wyd. Kasy Mianowskiego. Cena 15 kop.

Rzecz ta St. Orzechowskiego, wydana obecnie nanowo przez prof. T. Wierzbowskiego, jako zeszyt XVI «Biblioteki zapomnianych poetów i prozaików polskich», spoczywała dotąd w rękopisie, opracowanym przez hr. Steckiego, w Bibljotece Jagiellońskiej. W głównej treści i przewodniej myśli jest traktacik ten identycznym z listem Orzechowskiego do Mik. Stadnickiego (ogłosz. przez J. Korzeniowskiego w «Orichovianach»). Wraz ze wstępnym listem do Jana Herburta, także ogłoszonym tu po raz pierwszy, tudzież z odpowiedzią ministrów protestanckich, jest to ciekawa ilustracja agitacyjnych zapędów Orzechowskiego i dróg, jakiemi chodził dla dopięcia swojego celu.

Herman v. Helmholtz. „Liczenie i mierzenie z punktu widzenia teorji poznania". Przekład prof. d-ra L. Silbersteina. Warszawa, 1902, str. 44. Wyd. „Przegl. Filozoficznego". Cena 75 kop.

Pomimo, że liczenie i mierzenie stanowią podwaliny najpłodniejszych, najpewniejszych i najściślejszych metod naukowych, jakie wogóle znamy, podstawy ich teoretyczno-poznawcze badano stosunkowo niewiele. Słynny uczony niemiecki, podejmując ten temat, zwalcza tu w części poglądy Kanta, nie zbijając ich całkowicie, ale usuwając tylko pewną w nich szczególną a nieusprawiedliwioną cechę specjalną, nie wytrzymującą krytyki doświadczalnej, a tem samem bardzo zgubną dla dążeń metafizycznych filozofji po-Kantowskiej.

Dr. Teobald Ziegler. „Wiara i wiedza". Przekład Ant. Krasnowolskiego. Warszawa, 1901, str. 42. Wyd. „Przeglądu Filozoficzn." Cena 40 kop.

Teza, której w swej neo-scholastycznej pracy dowodzi autor, da się streścić w następujących słowach: wiara i wiedza, jakkolwiek często i zawzięcie z sobą walczą, jako dzieci jednego ducha, spotykają się ostatecznie, mimo całego przeciwieństwa, we wspólnem żądaniu i we wspólnej myśli, którą możnaby wyrazić—zdaniem autora — w taki sposób: tylko prawda może nam dać wolność, a tylko wolność — prawdę. Przekład tej rozprawki, usiłującej pogodzić wyniki wiedzy z nauką Kościoła, zaleca się starannością.

Raporty Szkoły wydziałowej warszawskiej, składane Szkole Głównej koronnej w latach 1772—1789. Wydał T. Wierzbowski. Warszawa, 1902, str. 86. Z zapomogi Kasy Mianowskiego. Cena 60 kop.

Jest to pierwszy zeszyt wydawnictwa dokumentów Komisji edukacji narodowej. Komisja ta była instytucją znakomicie zorganizowaną, a utrzymywane przez nią zakłady naukowe nietylko miały dobre siły naukowe, ale i doskonałe programy nauk, tak dalece, że gimnazja współczesne niemieckie brały je sobie za wzór. Niniejszy zeszyt obejmuje najważniejszą grupę materjałów: mianowicie raporty szkół wydziałowych i podwydziałowych wydziału Mazowieckiego, składanych Szkole Głównej, czyli Uniwersytetowi krakowskiemu.

E. Halperine - Kaminsky. „Ivan Tourguenieff d'après sa correspondence avec ses amis français". Paris, 1901, str. 358. Eug. Fasquelle. Cena 1 rb. 40 k.

Wydana przez tłómacza «Quo vadis», korespondencja ta Turgeniewa z jego francuzkimi przyjaciółmi, zawiera listy autora «Poezyj prozą» do Flauberta, Zoli, Jerzego Sanda, Maupassanta, Taine'a, Renana, Th. Gauthiera, Sainte Beuve'a, Chojeckiego (Charles Edmond) i innych. W listach tych, niekiedy bardzo ciekawych, nie brak wzmianek i o Polsce. Oto naprzykład, co znajdujemy w liście z d. 25 października 1882 r., o Milutyna stosunku do Królestwa Polskiego: «Jeśli bym miał niemało zastrzeżeń co do działalności jego w Polsce (wyrażenie zresztą o dziele Tamerlana użytem było przez niego samego, gdyż w działalności swej widział smutną konieczność), nie zapomnę nigdy jego olbrzymich zasług, jakie wyświadczył Rosji w sprawie uwłaszczenia, i daleki jestem od uważania go za złego genjusza; przeciwnie, widzę w nim jednego z naszych wielkich—i rzadkich — mężów stanu».

BIBLJOGRAFJA TYGODNIOWA.

GAWAŁEWICZ M. Na skrawku ziemi, rb. 1 k. 35.
KEMPNER S. Giełda, jej istota, cel i ustrój, kop. 10.
KOPCZYŃSKI S. Znużenie, odczyt, k. 10.
KOZŁOWSKI W. M. Królestwo ideałów i odkupienie estetyczne, kop. 25.
MARCHLEWSKI J. Ekonomja polityczna czem jest i czego uczy, kop. 15.
NAJNOWSZY przewodnik po Warszawie, kop. 20.
NASSALSKI M., ks. Wezwanie do pokuty. Kazania pasyjne, rb. 1 k. 50.
RADZISZEWSKI J., ks. Odrodzenie filozofji scholastycznej, kop. 75.
RYDEL L. Zaczarowane koło, baśń dram. Wydanie 2-gie, z illustrac., rb. 1 k. 50.
STEFANJA. Elementarz, kop. 5.
WESTCHNIENIE do Boga. Książka do nabożeństwa, wydanie miniaturowe, rb. 1, rb. 1 k. 35, rb. 1 k. 60 i rb. 2.
W NASZYCH SPRAWACH. III. Szkice w kwestjach ekonomicznych i społecznych, rb. 1 k. 20.
ZALESKA-SARYUSZ K. Z wygnania, poezje, kop. 70.

Do nabycia w Księgarni **K. Grendyszyńskiego**, w Petersburgu (ulica Jekaterynińska № 2).

HUMORYSTYKA POLITYCZNA.

— Polska odpowie na pruskie «grzeczności i uprzejmości», rzucając niemcom na głowę nowe arcydzieła, pisane w języku, który zamierzano zgładzić z widowni świata.
(«Fischietto», wychodzący w Turynie).

Redaktor i wydawca **Erazm Piltz.**

CZYTELNIA

„Kraj" Petersburg, 15 (28) lutego 1902 roku. № 7

TREŚĆ:

ROK 1809. Powieść historyczna przez *Wacława Gąsiorowskiego.* (DC).
DROGI PIES. Przez *A. P. Czechowa*, tłóm. *W. G.*
DO BRACI ŚPIEWAKÓW. Wiersz, p. *Józefa-Stanisława Wierzbickiego.*
STRESZCZENIA. „W godzinie cudu", p. *St. Przybyszewskiego.* (DOK).
MIECZ I ŁOKIEĆ. Powieść z wieku XVII, przez *Wiktora Gomulickiego.* (DC).
MECENAS. Przez *A. Aug.*
TO I OWO.

Rok 1809.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

7) PRZEZ

Wacława Gąsiorowskiego.

— Co powiadałem?—zaperzył się stary.—Mospanie! Otóż to, otóż i zło, co nie od dziś się rozpleniło. Lada przeszkoda i już gotowy wykręt—a mnie co do tego?

— Jam człek skromny...

— A no właśnie!—przedrzeźniał Kazimierczak—Ja nie do tego! Ja nie uratuję, nieszczęścia nie odwrócę! Takich było miljony! Rozumiesz, mospanie?... Miljony patrzyły, jako i ty bezradne, z założonemi rękoma i oglądały się za siebie, kędy garść szamotała się... i miljony mówiły sobie: —przecież są tacy, co robią, a gdzie nam chudeuszom, prostakom, czy niezdarom!... Tfy, mospanie!... Acan kpinki sobie robisz z dobrej sprawy!... Jam stary! Mnie zwątpienie porze, ale tobie wara od tego! Jeżelim cię ziębił, to nie dla odwiedzenia cię od zamiaru, jedynie dla przygotowania, zaprawienia, byś nie robił sobie zbyt wiele, by cię lada przeszkoda nie zwarzyła w suppozycjach, byś wytrwał!...

Kazimierczak odsapnął ciężko i rzucił rozkazująco:

— Powiadaj mi, acan, co, jak i od kogo wiesz?!

Zabielski, oszołomiony stanowczością głosu swego opiekuna, rozpoczął tłómaczyć się ze wszystkiego a spowiadać.

Kazimierczak wysłuchał uważnie i zakonkludował:

— Żona waćpana ma więcej impetu a serdecznej myśli w jednym palcu!... Musisz rzecz doprowadzić! Przyjmą cię, ocenią posługę, czy nie... acan zrób swoje, abyś w sumieniu był czystym!... Cichym się być powiadasz, nie do wielkich czynów stworzonym—zgoda! Lecz oglądać ci się nie wolno na innych! Zadrgała w tobie skra poczciwsza, nie dajże jej zagasnąć.... A i o tem pamiętaj, że o powrocie myśleć ci nie wolno, chyba, że chcesz wpaść gdzie w pułapkę! Pościg jest i to nielada, no a kiedy tamtego, Rudzkiego, żywym zostawiliście... będzie on i o waćpanu pamiętał...

— Tak, prawda, lecz ósmy... dziewiąty dzień, prawie dwie niedziele... późno...

— Nie twoja rzecz!... Spóźnisz się, będą już o wszystkiem wiedzieli—to się ucieszysz, bo chyba nie o popisanie ci idzie, jeno o skutek!... Kiedyż ruszasz?...

Zabielski mimowoli wyciągnął rękę do obandażowanej głowy. Stary zrozumiał odpowiedź.

— Raną się nie turbuj... Wczoraj myślałem, żeś majaczył i lękałem się, bo z takich okaleczeń czasem i rozum ucierpieć może!... Dziś niebezpieczeństwo minęło... Wypoczniesz sobie, a jutro na noc... w drogę. Samego cię nie puszczę, żebyś nie utknął... Okazja będzie!... Do Warszawy blizko!... Żeby inna pora, sambym się zebrał... Ale, może wam kogo wskażę! Znacie miasto? Nie? Coś się obmyśli!... Dosyć tego!... O nic mnie nie pytajcie, bo tu koniec, mospanie, debatom!...

Kazimierczak skinął Zabielskiemu głową i powlókł się ociężale do sąsiedniej izby, pozostawiając rannego własnym myślom. Powrócił o zmierzchu ledwie, zajął się przygotowaniem posiłku i opatrzeniem rany, nie odpowiadając na pytania Zabielskiego, a ledwie kilka rzuciwszy wyrazów.

Pana Tadeusza poruszyło to osobliwe obejście. Kazimierczak choć niby to około niego chodził, a za prostaka się chciał wydać, budził w nim poszanowanie! Powiadał się coś jakby gajowym... Kazimierczakiem się zwał, a taka odeń szła buta, taka hardość, że pan Tadeusz rezon tracił, sprzeciwiać się nie śmiał, a każdy rozkaz spełniał. Zabielski sobie samemu słabość w tej mierze zarzucał i zbierał się, by ostrzej na starego natrzeć, a do sumitowania zmusić, lecz gdy zagadnąwszy, uczuł przenikliwy wzrok Kazimierczaka, wnet odbiegała go pewność siebie, plątał się, mieszał.

Ranek dnia następnego zeszedł również milcząco. Pan Tadeusz gorączkował się, po kilkakroć pytał o przygotowania do drogi i zawsze odbierał suchą odpowiedź, że czas jeszcze. Dopiero, gdy zmierzchać się zaczęło, Kazimierczak ożywił się. Opatrzył znów Zabielskiemu ranę, zastawił przed nim obfite jadło i zachęcał do posiłku.

— Jedz waćpan, pij, sił ci trzeba na drogę!... Kto wie, może się przygoda zdarzyć!... Z podwójnem sercem do obrony powinieneś się przysposobić... nie o ciebie tylko idzie!... Chociaż przeprawa może być spokojną...

— Więc dziś?!...

— Chciałbyś acan odłożyć?...

— Nie! Tylko powiadaliście o przewodniku, a nie widać go.

— Bądź acan spokojnym! Będzie!... Przed północą ruszysz!

— Hm!... Nie lepiejby wcześniej! Przecież noc już zapadła, czego zwlekać?!

— Napierasz się, może i lepiej!—odrzekł obojętnie i klasnął w dłonie.

Na ten znak, z sąsiedniej izby wyszedł barczysty, krępy kmieć w siwym kożuchu i stanął z uszanowaniem przy drzwiach.

— Oto przewodnik waćpana! — objaśnił Kazimierczak.—Możesz mu zaufać, doprowadzi cię, gdzie trzeba!... Zbieraj się więc! Weź te krucice na drogę od wypadku — no, i ten kożuch! Nie wzdragaj się, mnie nic po nim! W nim będzie ci bezpieczniej!...

Zabielski jął żegnać się a dziękować.

— Dziękuję waszmości za opiekę, za staranie, za pomoc... Nie wiem, czem się wywdzięczę...

— O tem potem!—przerwał sucho Kazimierczak.—Idźcie z Bogiem .. a o mnie zapomnijcie!...

Pan Tadeusz chciał odpowiedzieć, lecz stary popchnął go ku drzwiom, szepnął jeszcze kilka wyrazów przewodnikowi i powlókł się w głąb izby. Zabielski, rad nie rad, wyszedł za kmieciem przed chatę i rozejrzał się niepewnie po zasłanej śniegiem polanie leśnej.

— Wielmożny pan niech się mnie trzyma, skręcimy zaraz.

Kmieć zwrócił z wydeptanej ścieżki na przełaj w głąb lasu, kołując między zaroślami, omijając wilcze doły, a od czasu do czasu spoglądając ku wierzchołkom drzew. Szli tak w milczeniu długi czas, aż pan Tadeusz zaczął ustawać, potykać się a dyszeć ciężko. Kmieć postrzegł zmęczenie Zabielskiego i przystanął.

— Wielmożny panie, czasby wytchnąć.

— Nie, jeszcze trochę.

— Teraz lepiej, później nie będzie gdzie... zaraz z lasu wyjdziemy na pole... a potem niedaleko Pilica. Trzeba będzie żywiej nogi zbierać.

Zabielski przysiadł pod drzewem. Kmieć wyjął z zanadrza zawiniątko, a z kieszeni wyciągnął butelkę z gorzałką.

— Niech wielmożny pan się posilą. Przed północką ani chybi mróz chwyci.

— Daleko jeszcze?

— Będzie z mila... może i więcej... Ale co potem lżej, byle szlabany ominąć zdaleka i Pilicę przejść... Czas dobry. Lód, jak kamień.

— A wy co za jedni?

— Ja? Karaś... rybak, wielmożny panie.

— A tamten... wasz gospodarz?...

— Tamten?—powtórzył przeciągle kmieć.—Juści... Kazimierczak...

— Coś mi na chłopa nie wygląda...

— Może i nie...

— Znacie go dawno?—badał dalej pan Tadeusz.

— Ktoby tam spamiętał, człowiek rozmaitych ludzi spotyka.

— Cóż on tu robi na tem pustkowiu?

— Pewnie, co i wszyscy... Zima, to i siedzi pod piecem a grzeje się...

— Mówicie tak, jakbyście mi nie ufali—zauważył pan Tadeusz.

Karaś zmrużył oczy filuternie i odrzekł:

— Wielmożny panie, a gdzieżbym ja śmiał. Co wiem, to i gadam...

— Przecież tamtemu zła nie życzę. Opieki, gościnności zaznałem... a że chciałbym wiedzieć, komu ją zawdzięczam, to was zastanawiać nie powinno...

— Ho, ho!... Toć wiem, wielmożny panie!... Dlatego powiadam!... Siedzi na tej leśniczówce i tak sobie dycha! Nie on jeden. Takie czasy! Im kto dalej od miasta, ode wsi, od ludzi, to mu u nas zaciszniej i milej!...

— Wyście u niego w służbie?!...

— Niby ja?! — zastanowił się chłop.—Gdzie zaś!... Przecież teraz u wielmożnego pana!...

Zabielski zagryzł wargi.

— Frant z ciebie nielada!...

— Rybak do usług!... Zwyczajnie... zima... Z przerębla nie wielka obrada—wędruje się po świecie na posługach... Dziś wielmożnego pana do Warszawy... a znów potem może kogo z Warszawy pod Lublin!... Aby dalej, aby do wiosny, a jak kra spłynie—to się idzie na wodę, na Wisełkę!...

Zabielski, rozumiejąc, że od chłopa słowa nie dobędzie, podniósł się i rzucił ostro:

— Możemy iść, więc nie marudźmy!

— Wola wielmożnego pana!—odrzekł potulnie Karaś.—Tylko co teraz krucica może się zdać!... Nad granicą austrjacy lubią hukać, a prochu nie żałują!...

Pan Tadeusz zbył milczeniem uwagę rybaka i dał znak do ruszenia w drogę.

Karaś wysunął się naprzód.

Las tymczasem jął rzednąć, przeświecać tu i owdzie jasnym horyzontem wyiskrzonego nieba, wreszcie jął ginąć w porozrzucanych bezładnie kępach drzew, aż przeszedł w otwarte pole.

Karaś rozejrzał się uważnie dokoła i wskazał Zabielskiemu szarzejące na lewo cienie.

— Tam stoją—rzekł szeptem.—A tam wprost... gdzie czernieją krzaki... tam jest Pilica. Byle nie dojrzeli, bo by na nas ćma zleciała.

— Jest ich czem przyjąć! - mruknął zuchowato pan Tadeusz.

— Wielmożny panie! Byle nie przed czasem... Gdyby co... mam paszporty. A teraz, aby dostać się tu, na prawo.

Chłop, nie czekając odpowiedzi, ruszył chyłkiem przez pole. Zabielski pośpieszył za nim.

Karaś prowadził wprost ku małej rzeczce, która, wpadając do Pilicy, przecinała pole szerokim a wyniosłym po obu stronach rowem. Rzeczka, pokryta mocną skorupą lodu, a okolona krzakami wikliny, stanowiła doskonałą osłonę, a nadto wiodła wprost do zamierzonego celu.

Rybak pierwszy przybiegł na brzeg rzeczki i, jak kula, stoczył się na lód. Panu Tadeuszowi noga się podwinęła i runął w zaspę śniegową. Karaś pośpieszył mu z pomocą. Zanim atoli Zabielski zdołał wydostać

się z zaspy, w oddali rozległ się wystrzał, a wślad za nim dźwięki trąbki.

— Dostrzegli nas! Za mną, wielmożny panie... na lód! Byle prędzej!

Zabielski zsunął się po stromym brzegu za rybakiem i jął biedz, ile tchu starczyło. Alarm wszczęty wzmagał się, rósł. Panu Tadeuszowi nogi odmawiać zaczęły posłuszeństwa. Karaś naglił, wskazując po przez wiklinę snujące się na polu cienie.

— Wielmożny panie... Każdej chwili szkoda! Teraz już paszportami się nie wykręci... Jeszcze krzynkę...

— Nie mogę! —jęknął Zabielski.

Karaś pochwycił w ramiona słaniającego się pana Tadeusza i uniósł.

Koryto rzeczki rozszerzało się już, rozlewało... w odległości kilkudziesięciu kroków widać już było Pilicę.

Karaś odetchnął, lecz naraz wzrok jego padł na brzeg — i ciarki go przeszły. W miejscu, gdzie rzeczka wpadała do Pilicy, stał huzar z karabinkiem, wspartym na siodle.

— Wielmożny panie... krucica!—szepnął rybak do pana Tadeusza. Lecz ten poruszył ledwie wargami i zwisł bezwładnie na rękach Karasia.

Rybak przystanął, zafrasował się, a po chwili jął sunąć dalej, kryjąc się pod wikliną od strony, kędy widniała sylwetka huzara. W ten sposób myszkując, podsunął się tak blizko, że prawie mógł rozpoznać nastroszone wąsy kawalerzysty i niespokojnie zapatrzone w przestrzeń oczy. Jeszcze kilka kroków a Karaś dosięgnie Pilicy, a tam na drugiej stronie... austrjackie pikiety nie sięgają.

Lecz nowa zjawiła się przeszkoda. Oto w miejscu, gdzie stał huzar, wiklina nikła. Niepodobieństwem było przesunąć się tak, żeby nie być widzianym.

Rybak ułożył pana Tadeusza pod krzakiem, wyjął mu krucicę, opatrzył i postanowił czekać, póki Zabielski nie wypocznie.

Ale od pola nadchodzić zaczęły odgłosy przyśpieszonych kroków, a za niemi tuż, w górze rzeczki, zarysowały się cienie piechoty.

— W trzy pacierze nas pochwycą—mruknął Karaś.—Czy tak, czy tak—jeden koniec!

Nie namyślając się dłużej, wygramolił się na czworakach na brzeg i jął zataczać szerokie koło, aby z tyłu zajść huzara. Z początku posunął się szybko, lecz w miarę przybliżania się jego do kawalerzysty, koń ostatniego jął strzydz niespokojnie uszami, przestępywać z nogi na nogę, wreszcie targać się niespokojnie.

Rybak oka nie spuszczał z huzara, śledząc każdy jego ruch. Widział, jak ściągał cugle, jak odwiódł kurek karabina i jak ze wzrastającą uwagą wpatrywał się w wiklinę. Koń tymczasem coraz większy zdradzał niepokój. Huzar, dla uspokojenia go, cmoknął cicho i kilka kroków przejechał, poczem zawrócił na miejsce. Karaś rozpłaszczył się prawie na ziemi. Jedno drgnięcie głowy huzara i byłby odkrytym. Koń targnął się, zżymał jeszcze. Huzar poraz wtóry ruszył. Rybak dłużej się nie namyślał. Porwał się z miejsca, zmierzył i wypalił do huzara... Kawalerzysta pochylił się na siodle. Wystraszony koń poniósł go w pole.

Karaś, nie zwlekając, rzucił się znów ku rzeczce, do miejsca, gdzie był pozostawił Zabielskiego, porwał go na ręce i, ślizgając się, biegł prosto do koryta Pilicy...

Wystrzał pistoletowy, milczący brzeg rzeki napełnił odłosem alarmujących sygnałów. Z poza krzaków, pagórków, z bezbrzeżnej szarzyzny horyzontów wyłaniać się zaczęły stalowe ostrza bagnetów...

Karaś sunął coraz śmielej, coraz pewniej.

— No! — mruczał do siebie. — Hukajcie sobie teraz... hukajcie... Bez mała, a już!...

Zabielski odzyskał przytomność.

— Gdzie jesteśmy?

— Nic, wielmożny panie! Na Pilicy.

— Puście mnie! Sam pójdę!

— Kiedy wola... Jegomość ciężki! Niech się wielmożny pan wesprze... O dalej... Jezus Marja... idą na lód! Gonią!... Uciekajmy!... Do brzegu... do brzegu!...

Zabielski obejrzał się. Pluton piechoty austrjackiej sunął po lodzie.

Pan Tadeusz, trzymając się ramienia rybaka, zdążał, ile mu sił starczyło. Na szczęście, brzeg przeciwległy był już blizko. Karaś w kilku susach dopadł go, wskoczył i podał rękę Zabielskiemu.

— Teraz jesteśmy u siebie!... Tu nam nic nie mogą zrobić... Ba!... drą się za nami!... Taka i to granica!

Pluton austrjaków istotnie snać nie wiele sobie robił z tylżyckiego traktatu, bo przeszedłszy linję graniczną, z tą samą zaciekłością ścigał uciekających na ziemi Księztwa Warszawskiego. Pościg atoli teraz miał być dla straży granicznej o wiele pomyślniejszym. Zbiegów siły opuszczały. Karaś raz jeszcze próbował unieść Zabielskiego, lecz i jemu mocy nie stało. Zebrał jeszcze ostatek sił i zdołał wpaść w kępę rysujących się w blizkości brzegu zarośli i tam razem z panem Tadeuszem za krucice chwycić.

— Brońmy się!—zachęcał Zabielski, rozgrzany niebezpieczeństwem.

— Trzeba, wielmożny panie! — przytwierdził Karaś. Jedna dola...

Chociaż, co tu poradzi!... Dwie krucice—moja trzecia... a tu ani kija!

— Nic! Może ich spłoszy... Mierzyć ostrożnie!

Zaledwie pan Tadeusz zdołał podaną mu przez rybaka a wystrzeloną krucicę nabić—około zarośli rozległy się miarowe kroki warty... Oficer dowodzący, ażeby mu zdobycz nie uciekła, otoczył zarośla, a następnie trzem żołnierzom z podoficerem kazał ująć zwierzynę.

Żołnierze ruszyli z nastawionemi bagnetami, rozgarniając krzaki i wzywając do poddania. Karaś z Zabielskim dopuścili ich na odległość strzału i dopiero wypalili równocześnie, powalając dwóch najbliższych, drudzy dwaj cofnęli się pośpiesznie.

Oficer zębami zgrzytnął i zakomenderował: Cel do środka! Zabielski, który był zrozumiał niemiecką komendę, ledwie miał czas uprzedzić Karasia, aby na ziemi się położyć, gdy raz i drugi gruchnęła salwa karabinowa. Kule skrzyżowały się, zasypały ukrytych zbiegów odłamkami gałęzi i potoczyły się bezwładnie, ryjąc bruzdy w śniegu.

— Karaś, nie trafiła cię która?—szepnął pan Tadeusz.

— Dzięki Bogu!...

— Ani mnie!... Strzelają!...

Zabielski nie dokończył, gdyż znów rozległ się chrzęst rozsuwanych gwałtownie gałęzi.

Nowy strzał pistoletowy z krzaków raz jeszcze spłoszył następujących. Oficer, poruszony śmiałością oporu, kazał pochwycić bagnety i pierścieniem przeciskać się ku środkowi zarośli.

— Już nas pochwycą! Chybaby na drzewo się skryć... ale daremna fatyga... wielmożny panie!

Bagnety ze wszech stron wysuwały swe stalowe ostrza. Zabielski właśnie miał był zawołać, że opierać się dłużej nie będą, gdy naraz dały się słyszeć dźwięczne tony trąbki, a wślad za niemi gwałtowna komenda oficera dowodzącego:

— Do mnie tu!... Równaj się!... W tył!...

Żołnierze wypadli pośpiesznie z krzaków i skupili się w zwarty czworobok. Trąbka umilkła... oddział kawalerji otaczał zarośla razem ze stojącymi obok nich austrjakami.

— Kto tu dowodzi!?—huknął donośny głos.

— Porucznik von Bock!...

— Jaki pułk?!

— Brygady barona von Trautenberg, piechota Baillot-Latour!...

— Austrjacka!... Co pan tu robisz!?...

— To samo, co i pan — odparł hardo porucznik.

— Hola, panie kawalerze! Naruszyłeś samowolnie prawo graniczne!...

— Nie panu o tem sądzić!...

— Jestem szefem szwadronu pierwszego pułku strzelców Księztwa Warszawskiego!...

— Niepotrzebnie, panie majorze, unosisz się gniewem!—rzekł łagodniej porucznik. — Goniłem zbiegów, którzy ukryli się w tych krzakach tutaj... a przeszli granicę z naszej strony! Pozwól więc skończyć z nimi!

— O tem mowy być nie może!...

— Bronisz ich!? Złożę raport memu dowódcy! A tymczasem pozwól się pożegnać, panie majorze.

DCN

A. P. CZECHOW.

DROGI PIES.

—✻—

Porucznik Dubow, niemłody już przedstawiciel armji, siedział z jednorocznym ochotnikiem Knapsem, racząc się koniakiem.

— Wspaniały pies! — mówił Dubow, pokazując Knapsowi swoją Miłkę.—Przepyszny pies! Zwróć pan tylko uwagę na jego pysk! Sam pysk wart nie wiem ile! Gdyby się trafił amator, to za ten sam pysk zapłaciłby ze dwieście rubli! Nie wierzysz pan? Nie wierzysz pan? Więc w takim razie nic się pan na tem nie znasz i nie rozumiesz...

— Rozumiem się, ale...

— Przecież to setter, najczystszej krwi angielskiej! Wystawia znakomicie, a już co do węchu... Boże drogi, co to za węch! Wiesz pan, ile ja dałem za Miłkę, gdy była szczenięciem? Sto rubli! Osobliwy pies! Sze-elma, Miłka! Głu-upia, Miłka! Pójdź tu... psino, psinko moja...

Dubow przyciągnął do siebie Miłkę i pocałował ją między uszy. W oczach zabłysły mu łzy.

— Nikomu cię nie dam... moja ty śliczna... rozbójniczko. Przecież ty mię kochasz, Miłka? Kochasz?... No, pójdź precz!—krzyknął nagle. — Brudnemi łapami mundur mi walasz! Tak, panie Knaps, półtora setki dałem za szczenię! Więc widać było za co! Szkoda tylko, że nie mam czasu polować. Pies marnuje się, talent jego przepada... Dlatego tylko chcę ją sprzedać. Kup ją sobie, panie Knaps. Całe życie będziesz mi wdzięczny. No, jeśli pan masz mało pieniędzy, to niech panu służy za połowę ceny... Ustąpię ją panu zresztą za pięćdziesiąt rubli! Niech stracę!

— Ej, nie... — westchnął Knaps. — Gdyby tak pańska Miłka była rodzaju męzkiego, to możebym ją i kupił, ale...

— Miłka nie jest rodzaju męzkiego?—zawołał zdziwiony porucznik. — Panie Knaps, cóż się z panem dzieje? Miłka nie męzkiego... rodzaju?! Cha-cha... Dobryś sobie, panie Knaps! Patrzcież, więc on nie umie odróżnić psa od suki!

— Wmawiasz pan we mnie, jakbym był ślepy lub dziecko... — obraził się Knaps.—Ma się rozumieć, że to suka.

— Może pan jeszcze powiesz, że jestem kobietą! Ach, panie Knaps, panie Knaps! A niby pan jesteś skończonym technikiem! Nie, najdroższy panie, to jest najprawdziwszy i najczystszej krwi piessamiec! I mało tego, ale drugiego ta-

kiego ze świecą szukać... a pan gadasz, że to suka! Cha-cha-cha!

— Daruj pan, Michale Iwanowiczu, ale pan mnie chyba za głupca uważasz...

— No, nie potrzeba, bierz pana licho... Nie kupuj pan... Niema co z panem gadać! Niedługo pan zaczniesz utrzymywać, że ten pies niema ogona, tylko piątą nogę... Dajmy już pokój. Ja chciałem panu przysługę wyświadczyć... Wachramiejew, dajno koniaku!

Ordynans przyniósł koniaku. Porucznik nalał pełne szklanki. Siedzieli z pół godziny w milczeniu.

— A choćby to był pies żeńskiego rodzaju... — przerwał milczenie porucznik, spoglądając posępnie na butelkę.—Wielka mi rzecz! To jeszcze lepiej dla pana. Będzie miewała szczenięta, a co szczenię—to 25 rubli... Każdy kupi z chęcią. Nie pojmuję, czemu się panu tak podobają psy-samce! Suki tysiąc razy lepsze. Najpierw są łagodniejsze, a wreszcie przywiązańsze i wierniejsze. No, kiedy się pan już tak suk boisz, to weź ją sobie za dwadzieścia pięć rubli.

— Nie, drogi panie... Nie dam ani kopiejki. Popierwsze pies mi nie potrzebny, a podrugie nie mam pieniędzy.

— Tak mi trzeba było powiedzieć odrazu. Milka, pójdź precz!

Ordynans podał jajecznicę, po której zjedzeniu porucznik odezwał się znowu:

— Dobry chłop z pana, panie Knaps, uczciwy człowiek... Nie chciałbym pana puszczać tak bez upominku... Wiesz pan co? Weź sobie tego psa za darmo.

— Cóż ja z nim zrobię?—odparł Knaps, wzdychając. — Któż będzie u mnie pamiętał o nim?

— Hm... Kiedy pan nie chcesz — to trudno... Nie bierz pan w takim razie... Dokądże pan się śpieszysz? Siadajże pan!

Knaps przeciągnął się, wstał ze stołka i wziął czapkę do ręki.

— Późno już—do widzenia...—rzekł, ziewając.

— Poczekajże pan, odprowadzę pana.

Dubow i Knaps ubrali się i wyszli na ulicę. Pierwsze sto kroków przeszli w milczeniu.

— Nie wiesz, komuby można dać tę sukę?—zapytał porucznik. — Nie masz pan kogo znajomego? Suka, jak pan widziałeś, dobra, rasowa, ale mi całkiem niepotrzebna!

— Nie wiem... Jakichże ja tu mam znajomych?

Po drodze, aż do samego mieszkania Knapsa, nic do siebie nie przemówili. Wreszcie kiedy Knaps uścisnął dłoń porucznika i otworzył furtkę wchodową, Dubow kaszlnął i odezwał się niepewnym głosem:

— A niewiadomo też panu, czy tutejszy oprawca przyjmuje psy?

— Myślę, że przyjmuje... Napewno jednak powiedzieć nie mogę.

— Poszlę jutro sukę do niego... Niech ję tam licho porwie, niechaj ją oprawca udusi... Obrzydliwe psisko! Nieznośne! Nietylko, że nieporządki robi w mieszkaniu, ale wczoraj pożarła mięso w kuchni. I żeby to jeszcze była wyżlica, ale to djabeł wie co takiego! Mieszanina psa podwórzowego ze świnią! Dobranoc!

— Do widzenia! — odpowiedział mu Knaps, zamykając furtkę.

Tłóm. z ros. **W. G.**

DO BRACI ŚPIEWAKÓW.

Bracia śpiewacy, w górę, ale orlim lotem!
Szybować śmiało naprzód, ale z młodych wiarą!
Ukrzepiać serca słowem męztwa szczerozłotem,
Ozłacać pieśnią szczęścia rzeczywistość szarą,
A prawdą szczerą walić z góry, niby młotem!

Co ludziom do nudnego waszych jęków chóru,
I histerycznych miotań się w rzeźbionym rymie?
Nad księgą waszych bólów, powierzonych pióru,
Pół świata się rozśmieje, drugie pół zadrzèmie,
A w piersiach bratniej rzeszy nie znajdziecie wtóru.

Znużyły już te wszystkie nieskończone żale
I samolubnych płaczków skargi czcze nad sobą;
Wybrnijmy z toni smutków na piękności fale,
Nie mroczmy blasków życia kruchych serc żałobą,
I wznieśmy hymn: młodości, zdrowiu, szczęściu, chwale!

Świat piękna wielki, ale szlaki doń cierniowe.
Szczęśliwy, kto w tej drodze długiej się niestrudzi:
Jaśniejsze barwy znów na życia kłaść osnowę...
Śpiewajmy, lecz nie sobie, ale sercom ludzi!...
O, zgińcie stare smutki, wstańcie pieśni nowe!

Józef-Stanisław Wierzbicki.

STRESZCZENIA.

St. Przybyszewskiego:

„W godzinie cudu".

(Dokończenie).

I przyszła chwila, że ją zobaczył. Bo to ona być musiała. Nie znał jej przedtem nigdy, ale po tych oczach wyszukałby ją wśród miljona kobiet. Zastąpił jej drogę na ulicy, opowiedział, ile przecierpiał w ciągłej pogoni za nią, błagał o jedno słowo. Niech mu powie, że go kocha, niech powie przynajmniej, żeby odszedł—jedno słowo. A ona tylko płakała. «Boję się»—szepnęła cicho. Ogarnęła go wściekłość. «Na krzyż cię wbić każę!» Błędna z przerażenia wyrwała się z żelaznych kleszczy jego rąk i uciekła. A on, jakby go ktoś kosą podciął, padł bez jęku na ziemię.

Zamknął się, nikogo nie dopuszczał do siebie—teraz sam się jej bał, choć nie wiedział czemu—bał się, tęskniąc i pragnąc... Aż wreszcie ból się przełamał: tęsknota jakby sama się strawiła.

Musiał tylko jeszcze powiedzieć jej coś na pożegnanie, wyśpiewać ostatnie słowo.

Dawał koncert. Z pod jego palców wybuchła nieludzka pieśń. Wypowiedział w niej wszystkie bóle, swoje własne, ludzkości całej, przekleństwa przeznaczeniu, co kazało jemu i innym żyć, kalać się w błocie, tarzać się w ohydnem piekle wiecznie głodnych żądz, bez świadomości początku i końca, przyczyny i celu. Był w tej pieśni głosem wszystkich stworzeń i ziem, nieskończonością uczuć, wszechistotą. Stopił się w wieczności, zatryumfował... I szedł z wielką wiarą, że niesie odkupienie, ale wiedział w bezmiernym smutku, że go ukrzyżować każą...

Naraz w tym dumnym pochodzie ta sama wiecznie, choć zawsze zmienna wizja: łodyga tuberozy - z niej wykwita *Ona*.

„Zachichotały rubinowe oczy, zakołysały się śmiechem dwie łodygi narcyzów..."

Tego wieczoru przyszła do niego. Zerwał się przerażony i patrzył przez mrok na opartą o ścianę, na dyszącą głęboko. «Nie, to nie był sen. To ona—ona krwią i ciałem». Patrzyli na siebie przestraszeni, niemi.

„Przyszłam do ciebie — szepnęła — przyszłam... tęsknota i pragnienie strawiły mnie".

„O, upojeń godzina — godzina cudu, kiedy dwie dusze w jedną się zleją... — Lękasz się grzechu? - pytał gorącym szeptem. — Kocham grzech, kocham piekło — z Tobą — z Tobą... I obwisła mu w ramionach w oddaniu się bez woli, bez pamięci..."

Nadeszła zatem chwila upojenia i wielkiego szczęścia, kiedy ona śmiała się i naprzemian płakała z rozkoszy, a on ją pieścił, tulił, kołysał, jak rozkwilone dziecko. Było im dobrze, jak dwojgu dzieciom, przytulonym do siebie w burzę pod stogiem siana. Lecz gdy pytał ją z lękiem, czy pozostaną zawsze razem, odpowiadała, drżąc: «Pójdę na krzyż. W godzinie cudu spłynęło całe moje życie. Nie pytaj, weź, przytul, zabij—zabij!» Po milczeniach następowały długie, dziwne rozmowy. Przypominał, że ją niósł wśród burz przez lasy dziewicze, uciekał z nią przez palące stepy, ratował się z nią w łodzi z toni malstromu, zawsze silny miłością ku niej, potężniejszą od burz, pożarów, wodnych kołowrotów. A ona zwała go mocnym, przepotężnym, bogiem swoim.

Noc szałów i błędnych upojeń zbiegała. Przez sen uczuł, że coś cicho obślizguje się z jego ramion, że mu krew ubiega, że coś z jego duszy spływa. Obudził się, zerwał przerażony, szukał jej naokoło siebie: nie było jej...

Na biurku przy wazonie z narcyzami i z miedzianym wężem, leżał wielki kwiat czerwonych gwoździków na papierze. List zawierał słowa: «Idę już, idę daleko—och, daleko; idę na mękę i na krzyż, na który mnie sam wbiłeś. Godzina cudu się spełniła. Nie szukaj mnie, bo mnie nie znajdziesz. Nie oczekuj mnie, bo napróżno. Idę bez ciebie, ale nie będę sama; będę z Tobą, z Tobą już na zawsze, i będzie mi smutno, smutno bez końca...»

Więc czytając ten list, wiedział, że godzina cudu dopełniła się na zawsze i więcej nie wróci, że jej już nie odnajdzie, że oczekiwać Jej nie będzie—bo wszystko napróżno. Uczuł przepotężny, cichy, smutny, a zarazem niezmiernie jasny majestat śmierci.

Wyszedł na miasto i «szedł za czemś, w czem mu cały świat pogrzebano, całe jego szczęście ukryto, jego przeszłość i przyszłość zakuto».

Teraz w sercu nosi jakby jakieś łzy skamieniałe i skamieniałą na zawsze mękę. Chciałby wołać: «Matko litości!»—ale wie, że nad nim litości więcej niema. W uszach jęczą mu echa słów, które rzekła mu w godzinie cudu:

„Bo jestem pod taką gwiazdą urodzona, że sama, jedyna, w przepaść i w piekło wtrącić cię mogę; a sama jestem, jak upadły anioł, któremu dusza rwie się w strzępy..."

Nowe wizje... nowe sny męczące... sny bez końca... Wiezie przez stepy na koniu pod żarem słońca ją, omdlałą w jego ramionach. A gdy trafia wreszcie na strumyk, którego wodą chce zwilżyć jej skronie, wyrasta przed nim z pod ziemi potężny, czarny rycerz, w strasznym majestacie i woła głosem, rozlegającym się, jak dźwięk trąby ostatecznej: «Jam jest ten, który kładzie kres wszystkiemu szczęściu i wszelkiej rozkoszy na ziemi. Jam jest ten, który był przed wszelkim początkiem i będzie po za wszelki koniec: Bóg, szatan, przeznaczenie!»

A po zniknięciu tego widziadła, staje mu raz przed oczyma «miasto, wyrąbane w dziwacznych skałach, miasto z poplątanemi w sieci kanałami, miasto śmierci i pustki, miasto, które jego przodkowie jemu, ostatniemu synowi książęcemu, wybudowali».

Spoglądając na nie, w dół, mówi do niej i do siebie z wielką mocą:

„Nie będę cię szukał, bo mam cię w sobie; krążysz w moich żyłach, jesteś tchnieniem mej duszy, jesteś prądem mych pragnień, jesteś czarem mych snów—jesteś...Mną".

I jeszcze mówi:

„Jesteś słońcem, rozlanem we mnie. Ilekroć razy zechcę, staniesz przedemną i będziesz moją. Ale nie tu. Większy cud się dopełni tam, gdzie moje miasto się piętrzy na dzikich skałach, gdzie święty strumień wichrzy się i pieni głęboko w skalistych bezdnach i w podziemne kanały ciska kaskady zamrożonych stalaktytów światła księżycowego".

Nad jego głową rozbłyska wielka zielona gwiazda, która ma go powieść do Nowego Syonu, nowego Jerusch-Halaim, do nowego Alkazaru jego przodków, tam, gdzie wśród wiecznych mroków i śmierci winien dopełnić się większy cud...

Miasto śmierci.

W tym drugim utworze, rozwijającym myśl główną pierwszego i zamykającym ją, autor wprowadza bohatera swojego na wyżyny Alkazaru, zkąd widzi on rozścielające się u jego stóp miasto, gdyby straszny olbrzymi grób katakumb - i przejmuje go mrowie, że ma tam zstąpić. W tym labiryncie ulic mógłby błądzić całą wieczność, bo nie było tam nikogo, coby mu drogę pokazał: miasto było martwe.

Ale miejsce grozy zastępuje wnet jakaś nieskończona błogość, przenikająca jego ciało, gdy owe miasto przeobraża się w jego oczach w czarowną winnicę o drzewach z bronzu, liściach z metalu, gronach winnych z ciemno-niebieskiego kamienia. Czuje w świetle półświtów, skojarzonych z półmrokiem, w cichem jaśnieniu sali, przerżniętej aleją filarów porfirowych, których czerwień łagodzą niebieskawe odcienia bazaltowej posadzki, że nadeszła wielka godzina... że blizka chwila, kiedy dusza wielkie tajnie przenika i w przepych własnej nagości patrzy.

Szedł dumnie, jakgdyby dźwigał mitrę zwycięzcy, przeszedł przez las kolumn, na granitowy taras swego Alkazaru i ujrzał, że na taras pałacu wstępuje, krocząc nawprost niego, w jakiemś bezświetlnem jaśnieniu, *Ona, On—Ona*. Pytającemu ją, kim jest, i drżącemu, że to może nie ona, po którą przyszedł do tego upiornego miasta, odpowiada, że jest «najtajniejszą głębią jego duszy, celem jego pragnień, krwią, od której wciąż nowa jego chuć nabiega, przez którą i w której dokona się jego żywot...» Była kształtem i ciałem jego tęsknot; odeszła, nie chcąc być mu zniszczeniem i śmiercią. Lecz teraz błaga go, aby ją wyrwał z nicości, aby ją wskrzesił nanowo, bo rozkrzyczała się z tęsknoty za nim:

„Nie lękam się już Twej zguby; wiem, że patrząc we mnie—w duszę Twoją—zginąć musisz, ale Ty przecież nie chcesz żyć bezemnie, więc wyrwij mnie ztąd lub przyjdź do mnie — przyjdź, oh! przyjdź!... Bo rajem jest: „z Tobą", a „bez Ciebie" jest piekłem!"

Więc on zolbrzymia swoją wolę, trzykroć wydaje okrzyk: «Stań się!» «I ujrzał ją, siebie samego — nagą, w świętym przepychu». Oplotła go, lecz wtem znowu straszny krzyk... wszystko znikło.

Ale w nowej czarownej wizji wskrzeszonego przedpotopowego świata, kiedy natura przejawiała się w olbrzymich potęgach, kiedy wierzchołki palm przerastały szczyty gór, a gwiazdy błyskały, jak olbrzymie księżyce, bezżarnym metalicznym blaskiem, widzi ją znowu, wabiącą go z niewypowiedzianie słodkim, tkliwym na ustach uśmiechem: «Pójdź za mną. Ta miłość nie z tego świata. Pójdź za mną! Tam ty i ja staniemy się jedno—nie tu, nie tu...»

Nowa, straszliwie jasna przemiana: morze, świat cały, stoi w pożarach... Wzmaga się, rośnie, potężnieje jasność, rozpalająca wszystkie szczyty i stoki i złomy jakiemś bezżarnem, tęczowem światłem palących się soli i eterów...

Nastaje ogromna cisza, w tej ciszy drga jaśnienie, jakby bezgłośna błyskawica, mówiąca: «przyjdź, o przyjdź!» jakgdyby coś obejmuje go słodkiemi rączętami i całowaniem mówi doń: «przyjdź, o przyjdź!»

I z duszy wyrywa mu się krzyk łkający: «Idę, już idę!»—W ciszy, w której wszystko zamarło, stężało, unieruchomiło się w skostnieniu, wybucha ze stęsknionej jego piersi wielka, czarowna pieśń miłosna do jej oczu, do ust, do tej głowy, którą tulił tylokrotnie...

Zaległa czarna noc. Ale on już nie rozpaczał. «Bo wiedział, że pójdzie do niej i połączy, zleje się z nią w odwiecznem łonie, które jego i ją porodziło».

«W ciemnej nocy krzyczały dwa wielkie kwiaty, kurczyły się dwie łodygi narcyzów»... A w jakiemś ciemnem morzu dwa odbicia dwóch płonących gwiazd wydłużały się na spienionych falach, rwały się ku sobie wężami światła, aż wreszcie z wielkim krzykiem zlały się w jedno olbrzymie ognisko.

Tak samo dokonać się miał ów wielki, nieziemski cud — powrotu jej i jego do wspólnego łona, zlania się w jedno ognisko—chwila, kiedy odsłonią się niepojęte tajemnice, rozwiążą się wszystkie przyczyny i cele bytu i zakróluje nad wszelką ziemią i wszem stworzeniem «*On—Ona*».

Więc w duszy rozanielił mu się przedziwny szept jej głosu: «idź już jasny mój, idź za mną!»—a on, idąc za wiodącemi go gwiazdami jej oczu, krocząc z wielkim tryumfem śmierci w swem sercu, był cichy i wielki i z nieskończenie tkliwą miłością powtarzał bezustannie: «idę, już idę!»

MIECZ I ŁOKIEĆ.

POWIEŚĆ Z WIEKU XVII.

PRZEZ

Wiktora Gomulickiego.

46)

V.

Krzyś nie śpieszył z wyjazdem. Wiele czasu zajmowały mu sprawy własne i Burnbachowe; miał przytem inne powody, przytrzymujące go na miejscu.

Bogacz gdański uczynił Krzysia swym pełnomocnikiem na całą Warszawę. Wreszcie jeden z domów Burnbacha trzeba było sprzedać, inny odnowić i rozszerzyć; o grunta podmiejskie toczyła się sprawa w urzędzie wójtowskim; składy towarów były zarzucone zamówieniami zblizka i zdaleka. Zajęcia było wbród—przydawszy zwłaszcza kłopot z własnym kramem po nieboszczyku Kawce, z rozdziałem puścizny po babce, z opatrywaniem biednych krewniaków i krewniaczek.

W tem wszystkiem brat nie był mu żadną pomocą.

Petrus Quercus po dawnemu dzielił czas między stare księgi, młodą gospodynię, kruka, psa i polskie oraz łacińskie rymowanie. Chwile zbywające wypełniało mu porównywanie win węgierskich z francuzkiemi i hiszpańskiemi, w celu ostatecznego pomiędzy niemi wyboru.

Przy piciu posługiwał się wyłącznie cyną — widocznie wino wciąż jeszcze było złote.

Ile razy Krzyś zjawił się w dworku Bocianim, narzekając na frasunki lub o pomoc prosząc, poeta odrazu rzecz zamykał Salomonowem: *omnia vanitas*, po którem szło zwykle Horacjuszowe: *carpe diem*.

W dworku panowała zawsze jednostajna, spokojnie wesoła i umiarkowanie poważna atmosfera. Zaledwie dawało się zauważyć, że podająca teraz flasze z winem Greta była zażywną blondynką z profilem, szyją i biustem Junony.

I ta Greta chodziła w miękkich mesztach—oczu przecie nie trzymała wciąż spuszczonych, ani była skąpa w słowach i uśmiechach.

Poeta, który utrzymywał, że o przeszłości mówić «nie warto», a o przyszłości «na nic się zda»—nigdy jej poprzedniczki nie wspomniał. Prawdę rzekłszy, choćby chciał, nicby o niej powiedzieć nie umiał.

Ormianka w zawoju i baszmagach, wyszedłszy jednego rana z domu, już się więcej nie pokazała. Poeta zapytał o nią dwóch, trzech osób, a nic się nie dowiedziawszy, dalszych poszukiwań zaniechał. Względem swych Gret trzymał się stale zasady:

— Wolna wola przyjść—wolna wola odejść...

Na trzeci dzień rządy w dworku sprawowała już Junona.

A nietylko w sprawach handlowych i gospodarskich trzeba było Krzysiowi zasięgnąć rady braterskiej. Inna jeszcze sprawa, stokroć od tamtych ważniejsza, czyniła go od wielu dni frasobliwym.

Od chwili gdy ujrzał Hanusię i historję jej usłyszał, nie miał spokoju. Otwarła się przed nim przepaść, której nie mógł zgłębić rozumem. Im dłużej w nią się wpatrywał, tem większy zamęt czuł w myślach, niepokój w sercu.

Rozum po tysiąc razy ostrzegał go, że jest szaleniec—on rozumu nie słuchał. Nie było nikogo w Starej Warszawie, ktoby wątpił, że Hanusia Drewnówna, która powróciła z klasztoru do rodziców, jest tąż samą Hanusią Drewnówną, którą podczas pamiętnego pożaru z Warszawy uwieziono.

Choćby nawet pamięć oczu ludzkich przez te lata osłabła, udowadniał to zachowany w całej świeżości portret Dolabelli. Dziecko miało tęż samą twarz, co dzieweczka: bladą, smutną, pełną zadumy i tajemnicy.

To było uderzające, namacalne—temu Krzyś zaprzeczyć nie mógł.

Ale on i nie myślał jej zaprzeczać.

Scena porwania dziecka ognistemi rysami wypaliła się w jego umyśle. Nieustannie wywoływał ją w pamięci; za każdym razem stwierdzał, że tamta Hanusia i ta są jedną i tąż samą osobą.

Jednocześnie gotów był przysiądz, że dziecko, które wyrwał z płomieni i które mu ukradziono, było dzieckiem Dorotki.

Te dwie pewności wzajem się znosiły. Dziecko Dorotki nie mogło być córką Drewny; córka Drewny nie mogła być dzieckiem Dorotki.

Dylemat nierozwiązalny—chaos—otchłań...

Nie mogąc rozwikłać niepojętej zagadki ani rozumem, ani instynktowym domysłem, zlecił Krzyś wszystko Bogu. Modlił się i czekał na łaskę Ducha Świętego, która mu ciemności rozwidni.

Tymczasem jedno było dlań pewne: potężne wrażenie, wywarte na niego przez córkę Drewny.

Gdyby nie wiedział, że to myśl grzeszna, przyrównałby był to wrażenie do tego, jakiego doświadczał, modląc się przed obrazem świętym.

Ze śmiercią Ketchen zamarła w duszy Krzysia wszelka pusta, chochlikowa wesołość, której młoda gdańszczanka była uosobieniem. Gdy się z taką wesołością spotkał, wydawała mu się szaleństwem i urąganiem. Wiele też cierpiał na bankiecie u Drewnów.

Ale Hanusia nie miała w sobie nic chochlikowego. Gdyby można było jego duszę posępną i bolejącą zakląć w kształt żywy, wyglądałaby tak właśnie, jak córka Drewnów.

Ciągnęło go do niej—do jej twarzy, która miała barwę lilji białej, do jej ust, na których zastygła modlitwa, do oczu, co zdawały się nieustannie wpatrzone w dalekie, zwykłemu wzrokowi niedostępne światy.

Uczucie, jakie w nim budziła ta dzieweczka, dopiero z osłonek dzieciństwa wykwitająca, najlepiej określało częste westchnienie:

— Jakżebym pragnął mieć taką siostrę!..

Czatował na każdą sposobność, która mu pozwalała widzieć Hanusię. Nigdy nie mógł napatrzeć się jej do syta. Patrzenie wystarczało mu. Nie rozmawiał z nią dotąd—myślał niekiedy, że głosu jej, wprost do siebie skierowanego, mógłby słuchać tylko na klęczkach.

Codziennie rano Hanusia odprowadzała ojca do drzwi ratuszowych. Powracała w towarzystwie starej sługi. W południe z tąż samą sługą szła po ojca. Starzec obywać się bez niej nie mógł, jak Edyp bez Antygony.

Za każdym razem na drodze Hanusiowej znajdował się Krzyś, najczęściej przez dzieweczkę niedostrzegany. Nie chciał być natrętnym, unikał wszystkiego, coby mogło najlżejszym pyłkiem ziemskim paść na tę duszę liljową.

Sprawy, dotyczące dziedzictwa po dziadku, zawiodły go kilkakrotnie do Ratusza, przed oblicze burmistrza Starej Warszawy. Znalazł przyjęcie łaskawe, dobroć prawie ojcowską.

Drewno znał dobrze Burnbacha, z którym nawet w swoim czasie spółkę miał handlową. Nieboszczyk Kawka był jego przyjaciel. Łzy pociekły mu z oczu na wieść o śmierci córki Burnbachowej. I zaraz smutek go opanował tak wielki, że rozmowę zmuszony był przerwać.

Wznowił ją po kilku dniach z większem ożywieniem i z większą jeszcze życzliwością. Widoczne było, że upodobał sobie młodego Dąbka. Wypytywał go o wszystko, jakby chciał duszę jego nawskroś przejrzeć. Rozmowa przeciągnęła się aż do końca godzin urzędowych. W progu stanął pachołek, oznajmiając, że jejmościanka panna burmistrzówna na ojca swego czeka.

Drewno ujął młodzieńca pod ramię, zeszedł z nim na dół i pozwolił, razem z Hanusią, odprowadzić się do domu.

Ulice Starej Warszawy nigdy nie wydawały się Krzysiowi tak piękne, jak wówczas, gdy szedł niemi w jednej kompanji z Hanusią. Unosiło go coś w górę i ledwie czuł kamienie pod stopami. Z tego, co wówczas mówił, można było o jego rozumie sądzić bardzo niepochlebnie. Prawdę rzekłszy, sam nie wiedział, co mówi.

Na Hanusię nie patrzył—jednak wybornie ją widział. Obawiał się śmiertelnie, aby do niego nie przemówiła. Musiałby wówczas klęknąć na chodniku.

Gdy zbliżono się do domu, wydało się nagle Krzysiowi, że przy harfle Dawidowej chór Serafów srebrnemi zadzwonił głosami. A to tylko Hanusia wyrzekła:

— Dziś ojcaszek będzie miał na obiad gęś z czarnym sosem...

Takie odprowadziny kilkakrotnie się powtórzyły. Kilkakrotnie też młodzieniec został zaproszony w gościnę.

Zaproszenie wychodziło zawsze od Drewny. Drewnowa nigdy do niego nie dorzuciła słówka. Nigdy też nie okazała gościowi twarzy uprzejmej.

Krzyś bez trudności pojął, że nie ma w niej przyjaciółki.

Powodu odgadnąć nie umiał—choć on był prosty i już niejednemu wiadomy...

Drewnowa nie mogła mieć twarzy uprzejmej dla Dąbków, gdyż ją chowała dla Zboińskich.

Bogata plebejka jedno tylko kryła w sercu pragnienie: skoligacić się ze szlachtą. Już w myśli przeznaczyła Hanusię na żonę Konradową. Stary Zboiński ukazał jej drzwi raju herbowego i obiecał, że je przed nią otworzy.

Dąbka traktowałaby pewnie z powszednią uprzejmością, jak wszystkich—ale Dąbek jej zawadzał. Czuła w nim groźnego współzawodnika. Był bogaty, szanowany, skromny—między młodzieżą Starej Warszawy pierwsze trzymał miejsce. Co ważniejsze, Drewno pokochał go jak syna.

W sprawach małżeńskich, uczuć panny nie brano wówczas w rachunek. Jednak coś szeptało burmistrzowej, że i z tej strony może mieć przeszkodę. Z przenikliwością niewieścią odgadywała, że serduszko Hanusi będzie skłonniejsze cichemu a czułemu Krzysiowi, niż pełnemu dzikich a nietrwałych porywów Wichurze.

Na wady ostatniego zamykała oczy.

Niechby syn szlachecki tarzał się w ścieku, nędzny i półnagi, onaby wyciągnęła go z błota, odziała w atłas i klejnoty, posadziła obok siebie—rękę córki mu oddała.

Wiedział o tem Zboiński i śmiało wiódł syna do zwycięztwa. Nowe długi zaciągnął, siebie i Konrada wystroił; przemysłem dyplomatycznym zdobył nawet klejnotów trochę, herbem rodzinnym zdobnych, któremi nieustannie ćmił oczy burmistrzowej.

Przed Zboińskim cel był jasny—Krzyś nie umiałby nawet przed sobą zdać z niego sprawy. Wiedział tylko, że dopóki na Hanusię patrzy, smutku swego nie czuje. Był zaś w wieku, gdy człowiek jeszcze umie i pragnie smutków swych się pozbywać.

Zboińscy często teraz nawiedzali Starą Warszawę. Sprawa ich szła coraz pomyślniej—ale tylko u matki Hanusiowej. Sama dzieweczka i jej ojciec zachowywali się względem szlachciców obojętnie. Drewno był wręcz niechętny Konradowi, o co miewał nawet częste z małżonką spory.

Wichura nie mógł się pochwalić, żeby kiedykolwiek zajrzał w oczy Hanusi. Dzieweczka, nawet rozmawiając z nim, zdawała się go nie widzieć.

Skarżył się raz na to ojcu.

— Mleczak jesteś!—zaśmiał się stary na całe gardło.—Drewno musi być drewnem—na to nie poradzisz. Wżdyć poczekaj: zapali się ono drewno u twojego płomienia...

VI.

Dzień sierpniowy, bezchmurny, od samego świtu piekł żywym ogniem Warszawę. Nieco chłodu płynęło od Wisły i licznych dokoła miasta gąszczów, lecz chłodowi stawał zaporą wysoki mur obronny i nie puszczał go do środka.

Antiqua Varsovia smażyła się w ciasnem zamknięciu, jak święty Wawrzyniec na ruszcie.

Nie tamowało to biegu spraw urzędowych i kupieckich. Mieszczanie jak mrówki uwijali się po kramach, snuli po ulicach, szukając odrobiny cienia pod wystającemi daszkami, które każdy prawie dom posiadał na wysokości pierwszego piętra.

Ulicą Świętojańską szedł w stronę rynku Krzyś Dąbek. Mimo upału szedł lekko, z głową podniesioną, z twarzą wyrażającą zachwyt. Przed chwilą widział Hanusię...

Z narożnego «sklepu» (po dzisiejszemu: piwniczki) wynurzyła się mocno różowa, potem okryta, twarz jego brata. Właściciel sklepu—zarazem posesjonat i ławnik—sprowadził był właśnie z Węgier przednią małmazję. Skosztować jej było prawie obowiązkiem poety.

Bracia ujęli się pod ramię, skierowali kroki do kramu dawniej Kawki, obecnie Krzysia.

Nim jeszcze znaleźli się w Rynku, dobiegły ich kilkakrotne, w krótkich odstępach czasu powtórzone, wrzaski tłumu.

— *Populus* bawi się...—zauważył z uśmiechem Petrus Quercus. Może mu oprawca krotochwile pokazuje...

Mimo idących przebiegło pędem kilku wyrostków stanu rzemieślniczego, oraz kilka zdyszanych białogłów.

— Onufrowo! — zagadnął Krzyś znajomą.—A co tam za bałuch?

— Uciecha, mój miły!—zaszepleniła.—Mistrz łotrzycę chłosta.

— Śpieszajcie! śpieszajcie! — wykrzyknął pędzący szewczyk.—Już pewnie ochłostana.

— Jezusku Najsłodszy!..—jęczała, postukując szczudłem baba kulawa.—Żeby choć zdążyć na piętnowanie!..

Pośpieszyli za innymi i Dąbkowie. Wypadała im tamtędy droga: przytem widowiska byli ciekawi. Wszelkiego rodzaju «egzekucje» należały do igrzysk publicznych, których widokiem nie gardzili najstateczniejsi nawet mieszczanie.

Bracia z trudnością przecisnęli się przez tłum, który zapełniał prawą stronę Rynku. Ponad tłumem górował ustawiony wysoko pręgierz. Pod pręgierzem stała młoda dziew-

— Będzie-li strzyżona czy szelmowana?—pytał wilk.

— Długowłosa... nożyce ją nie miną—lis odpowiedział.

— Zatem *poena in crinibus.*

— *Et in carne.*

Wilk skrzywił się,

— *In cute,* chciałeś rzec waszmość.

— Wiem, co mówię—zaśmiał się lis. — Prawo rozróżnia «skórę» i «mięso»—nie rozróżnia ich ceklarz. Widzi mi się, że ten drągal dobrał się i do mięsa.

DCN

^^^^^^^^

MECENAS.

— Czy przyszło co nowego na wystawę?

Zapytanie takie wypuszcza z siebie w pustą przestrzeń przedpokoju jeden z naszych «mecenasów» sztuki, wchodząc do «Salonu sztuki».

«Pan» ze ściśnioną głową i resztkami puszku na swem zacnem ciemiączku, przykrytem zabójczo lśniącym cylindrem, postąpił parę kroków naprzód. Ubrany według ostatniej mody, o angielskiem pionowem rżnięciu tużurka, założył szkiełko na czerwono obkonturowane oczko. I począł stąpać elastycznie, z godnością, jak na dobrze wychowanego człowieka przystało.

— O tak!... Mamy parę ładnych obrazów—odpowiada sekretarzyk wystawy, wyrzucając swą osóbkę z ciasnej zagrodki, zwanej kancelarją, w błogiej nadziei, że powiedzie mu się jaki «landszaft» wbić amatorowi. Och! on radby z całego serca wszystkie zielone i niezielone wisielce z haków poodrzynać i wraz z całą tą norą posprzedawać, by choć trochę «polskiemu artyście» ulżyć niewesołej egzystencji.

«Pan» milczy.

— Mamy Tetmajera dwa chłopskie obrazy, a w tych dniach nadejdzie Brandt z Monachjum. Spodziewamy się także Jacka Malczewskiego z Krakowa...

— A!!

— Pan dobrodziej zapewne wie, że Malczewski, to największy dziś polski malarz—wszyscy artyści zgodnie twierdzą, że w naszej sztuce on jest najpotężniejszą, pierwszorzędną indywidualnością, narówni z Böcklinem, Klingerem. Mówią nawet niektórzy, że ich w formie rysunku i koncepcjach prześciga, a zagraniczne galerje, jak np. monachijska Pinakoteka, dobijają się formalnie o jego obrazy!

— To on rysuje, powiada pan? Kredką?... tuszem?

— Nie... farbą... na płótnie. Jak przyjdzie z Krakowa, to panu dobrodziejowi dam znać—warto nabyć... to bardzo cenna rzecz.

— Tak!... wie pan, ale ja już wolę Siemiradzkiego, lub Stykę; to dla mnie zrozumiałe... ładne... A co to jest, to niebieskie?

— To właśnie Siemiradzkiego «Kuszenie św. Hieronima»; bardzo ładna scena. Jakie przepyszne światło, przecedzone przez liście; jaki lazur nieba, jakie ładne niewiasty. Obraz ten przedstawia chwilę, gdy kobiety kuszą tego świętego...

— Kuszą go?... Aha!...

«Pan» otworzył silniej czerwono obkonturowane oczko, założył szkiełko i począł pukać gałką laski po obrazie.

— To olejne, na płótnie?

— Olejne, na płótnie.

— Eh! wie pan... ja tego nie kupię, to jest trochę dla mnie nieprzyzwoite, zagmatwane — musiałbym się wpierw uczyć, by to dobrze zrozumieć. Zresztą, to musi być drogie? Siemiradzki, panie, każe sobie dobrze płacić za obrazy. A ileż to kosztuje?

— Dwa tysiące guldenów.

— A widzi pan... A to co, te dwa obrazki obok siebie?

— To jest «Samobójca», a tamten «Przed ślubem».

(Ktoś złośliwy kartki poprzestawiał).

«Pan» podparł wąsa gałką swej laski i począł się bliżej przyglądać.

— Panie!... jakto?... Dlaczego ten «przed ślubem» wymierza sobie z rewolweru na ulicy strzał w samo serce, a ten «Samobójca», ubrany we frak, prowadzi wystrojoną za welonem damę? Patrz pan na kartki! Tak jest napisane... widzi pan?... To musi być prawdopodobnie jakaś pomyłka, albo żarty?

Sekretarzyk stropił się nieco.

— Nie! to jest właśnie dobrze... Bo widzi pan dobrodziej, to są pojęcia dzisiejszych artystów w przenośniach: to są nowe idee! Autor tych obrazów uważa, że ożenić się znaczy tyle, co zastrzelić się... Te przykrości, jakich mu ta instytucja małżeńska w pojęciu, czy doświadczeniu, dostarcza, tak na niego podziałały, że je w ten sposób tu przedstawił.

— Powiada pan?

— A tak... to jest całkiem naturalne, proszę pana dobrodzieja...

— Rzeczywiście, ma pan rację. Obraz mi się nawet podoba, ładnie namalowany, ale tego nie kupię, bo wie pan... (szkiełko spada, «mecenas» bierze sekretarzyka konfidencjonalnie pod ramię) to mogłoby zrobić żonie przykrość... ten dziwny tytuł... musiałbym jej to dopiero tłómaczyć... a one są zawsze nieobliczalne... Pan wie, co miałem z Fałatem (obrazem)... Miałem wielkie nieprzyjemności, że za tego jednego daniela w błocie zapłaciłem sześćset zł. Panie, co ja miałem z tym obrazem!.. radbym go chętnie zamienić na inny. Czy to możliwe?

— Nie, proszę pana dobrodzieja. W statutach jest powiedziane, że tylko od artystów i za naszem, t. j. Towarzystwa pośrednictwem, obrazy się sprzedaje.

— To szkoda.

«Mecenas» szedł dalej, do następnej salki, w której nasi «znakomici» artyści rozwiesili swe wyroby. Były tam rozmaite zieloności, główki, studja, projekty na obrazy, kwiaty, typy etc.

— To są rzeczy niedrogie, a ładne. Oto np. te gęsi, odbite w wodzie, a w dali widok na chałupy.

— Tak, prawda, to ładne; ale to, widzi pan, nie jest dość eleganckie do salonu; my, panie, mamy dość tego błota w naturze, a ja wcale już nie mam ochoty wieszać tego w pokoju... Zresztą to jest nietrwałe, bo to jest na papierze malowane.

— Nie, proszę pana dobrodzieja, to na papie ogniotrwałej.

— Co? Co?

— Na papie ogniotrwałej! Na przyrządzonej specjalnie do malowania tekturze, która nie podlega tak łatwo zepsuciu albo spaleniu, jak papier, a nawet płótno.

— Pierwszy raz o tem słyszę.

— To najnowszy wynalazek angielski i artyści chwalą mocno ten materjał, zwłaszcza, że daje rękojmię trwałości.

«Pan» wypukuje dokładnie gałką i palcem po obrazie.

— No, prawdopodobnie zdecyduję się na nabycie tego obrazka. Niech go pan dla mnie zarezerwuje i da mi znać, gdyby był na niego amator. Na parę dni wyjeżdżam ze Lwowa—zresztą muszę jeszcze wpierw pomówić z żoną... bo wie pan... Ja tu przyjdę. *Adieu!*

«Pan» wyszedł.

Sekretarzyk powrócił do swej kancelarji. Zastał tam czekającego akcjonarjusza, który przy okazji płacenia 5 zł. i 10 ct. za akcję, jął wymyślać na «czarną» tegoroczną premję, gorszą, jego zdaniem, od zeszłorocznej kolorowanej.

Lwów. **A. Aug.**

TO I OWO.

Jeżeli sprawdzi się doniesienie jednego z węgierskich dzienników, brzmiące bardzo nieprawdopodobnie, to węgrzy przyszliby w posiadanie czaszki Petöfiego, swojego największego poety. Jak wiadomo, Petöfi poległ pod Schaessburgiem, a zwłok jego nie znaleziono. Pogrzebano je prawdopodobnie we wspólnym grobie z ciałami innych poległych powstańców węgierskich. Jak donosi „Budapesti Hirlap“, przed kilkoma tygodniami dowiedziano się z prywatnego listu, że czaszka Petöfiego znajdować się ma w muzealnych zbiorach pewnej szkoły w Hermansztadzie. Jakiś austrjacki lekarz wojskowy 62 pułku piechoty, przydzielony chwilowo do armji rosyjskiej, poznał na pobojowisku pod Schaessburgiem zwłoki Petöfiego po osobliwym mundurze, który nosił poeta, jako adjutant Bema. Lekarz ów odciął głowę i zabrał z sobą. Na łożu śmiertelnem wyznał wobec rodziny, iż tak uczynił, dodając zarazem, że czaszkę poety, której widok napawał go przykrem uczuciem, oddał do zbiorów rumuńskiego seminarjum w Hermansztadzie, nic nie wspominając o jej pochodzeniu. Syn owego lekarza okoliczności te spisał w jednym ze swoich listów — i w ten sposób rzecz dostała się do dzienników węgierskich. W zbiorach wspomnianego seminarjum rumuńskiego rzeczywiście znajduje się czaszka, jako dar lekarza wojskowego, atoli dalsze szczegóły trzeba dopiero sprawdzić.

—

Panna Edson Taylor, która niedawno przebyła w beczce słynne wodospady Niagary, opisała swoje „uczucia i wrażenia“ w jednym z dzienników nowojorskich. A brzmią one, jak następuje: „Od chwili, w której otrzymałam od p. Tonesdale znak, że beczka moja spuszczona, zamknęłam oczy i modliłam się do Boga Wszechmocnego o opiekę. I ochronił mnie, uratował mi życie. Jestem też wdzięczna wszystkim za to, co dla mnie uczynili. Gdybym nie miała rzemieni, które za radą kapitana Johnsona wzięłam do przytrzymania rąk, byłabym niechybnie zabita. Uczepiłam się ich z całej siły; w ten sposób zdołałam się utrzymać na dnie beczki i uniknęłam roztrzaskania czaszki; poduszki również oddały mi usługi. Oddychanie nie przedstawiało mi trudności, powietrza miałam dosyć. Ale woda, która przedostawała się ze wszystkich stron, była strasznie zimna... Okropność! Byłam podrzucana i wstrząsana w niemiłosierny sposób, a najgorszym był spadek przez przepaść. Uderzyłam się widocznie o skałę, bo wstrząśnienie było straszne. Nie chciałabym tego drugi raz przebyć. Wolałabym, aby mnie wystrzelono z armaty lub wolałabym stracić miljon dolarów, niż raz jeszcze odbyć tę drogę. Już tego nie zrobię. Nie żałuję jednak, bo mi to przyniesie dużo pieniędzy“.

—

„Maszynę“ do wymierzania kar cielesnych wynalazł pewien anglik. Według słów „Educational News“, ów przyrząd znalazł szerokie zastosowanie w szkołach południowo-afrykańskich. Maszyna „pedagogiczna“ składa się: 1) z ławki, na której leży „pacjent“, przywiązany mocnemi rzemieniami; 2) rózgi gutaperkowej, którą wprowadza w ruch mechanizm zegarowy, urządzony w ten sposób, że można dowolnie zwiększać lub zmniejszać siłę uderzeń, określić ściśle ilość razów i przestanki pomiędzy niemi; 3) ekranów, zasłaniających te części ciała, które nie powinny być w bliższej styczności z rózgą; 4) fonografu, który wygłasza jakąś naukę moralną podczas wymierzania kary. „Maszyna“ zaczyna działać za naciśnięciem sprężyny i wymierza określoną ilość uderzeń, poczem rzemienie rozluźniają się automatycznie i delikwent może opuścić „ulepszony“ przyrząd...

—

Najstarszy wachlarz damski z czasów chrześcjańskich, jaki się do dni naszych przechował, znajduje się obecnie w muzeum katedralnem włoskiego miasteczka Monzy. Należał on niegdyś do królowej longobardzkiej Teodolindy, która panowała przy końcu VI stulecia naszej ery. Z pośród innych wachlarzy pamiątkowych, na uwagę zwłaszcza zasługuje wachlarz, który służył nieszczęsnej królowej Marji-Antoninie podczas uroczystości jej zaręczyn. Jest on jak świętość przechowywany na dworze austrjackim; dostał się zaś do Wiednia dzięki uprzejmości dyplomaty francuzkiego de Bacourt'a, który otrzymał go w spadku po jednej ze swych krewnych, damie honorowej królowej Marji-Antoniny. Księżniczka Letycja posiada też w swoich zbiorach cenny wachlarz, dar eks-cesarzowej Eugenji, której własność on niegdyś stanowił. Pamiątkową jego wartość podnosi rysunek, wykonany pośrodku wachlarza przez młodego księcia Napoleona, a przedstawiający pawilon ogrodowy cesarzowej.

—

— Znany antysemicki dziennik „Libre Parole“, organ Drummonta, drukował niedawno p. t.: „Le Tout-Israël“, szereg artykułów o nazwiskach żydowskich, które autor wyprowadza z różnych wyrazów hebrajskich. Ciekawe są szczegóły o imieniu Rotszyld. Po niemiecku Rotschild znaczy poprostu „czerwona tarcza“, ale według „Libre Parole“, nazwisko to pochodzi od hebrajskiego *Reszit*, co oznacza „początek“, albo „pierwszy“. Księga Genezy zaczyna się od wyrazów *Bereszit*, czyli: „na początku Pan Bóg stworzył niebo i ziemię“. Ponieważ Jeremjasz nazwał izraelitów *Reszit tebuotho*, czyli: „początek potomstwa Bożego“, więc rabini tłómaczyli początek Genezy: „Dla (*be*) izraelitów stworzył Pan Bóg niebo i ziemię“. Otóż „Libre Parole“ twierdzi, że dziś niektórzy rabini idą dalej i tłómaczą to zdanie: „Dla Rotszyldów stworzył Pan Bóg niebo i ziemię“, gdyż „Rotszyld“ jest tylko przekręconym wyrazem „Reszit“; ztąd zaś widzą w Rotszyldach rodzinę, z której wyjdzie przyszły Mesjasz. Niewiedzieć, kto tu naiwnością grzeszy: Drummont, czy owi „niektórzy rabini“?

—

Ojcowie miasta Werony powzięli projekt zburzenia budynków na słynnym Piazza d'Erbe i wzniesienia tam wielkiego teatru, do wszelkiego rodzaju widowisk, według wymagań nowoczesnych. Zamach na te zabytki sztuki wywołał energiczne a liczne protesty w sferach artystycznych nietylko we Włoszech, ale i w innych krajach, tak że ostatecznie wmieszał się w tę sprawę rząd włoski i oświadczył się za zachowaniem prastarego placu w jego postaci dotychczasowej. „Tribuna“ donosi, że wobec wzburzenia całego świata cywilizowanego, wywołanego projektowanem zniszczeniem Piazza d'Erbe, rząd przesłał wskazówki telegraficzne, aby plac ochronić od wszelkiego przekształcenia.

Redaktor i wydawca

Erazm Piltz.

Z POWODU

OGÓLNEGO ROCZNEGO ZGROMADZENIA AKCJONARJUSZÓW

Wileńskiego Banku Ziemskiego.

Ostatnie ogólne zgromadzenie akcjonarjuszów wileńskiego Banku ziemskiego, które się odbyło 21 stycznia r. b., nie miało przebiegu zwykłego, spokojnego, jak dotąd poprzednie zgromadzenia, lecz przeciwnie, wbrew tradycji, wyróżniało się wielkiem ożywieniem, jakie do obrad wniosły dwie osoby, które posunęły się aż do oskarżenia zarządu Banku o szereg przekroczeń ustawy i zaniedbywanie interesów zarówno akcjonarjuszów, jak dłużników, tudzież właścicieli listów zastawnych.

Chociaż wszystkie zarzuty, stawiane przez nich zarządowi, zostały na miejscu odparte przez członka zarządu p. Montwiłła, jakoteż przez akcjonarjuszów pp. Wróblewskiego i Sumoroka, a ogólne zgromadzenie ogromną większością głosów zatwierdziło sprawozdanie Banku za rok 1901, jak również przyjęło wszystkie wnioski zarządu, a uchyliło wniosek p. B. o zarządzenie rewizji ministerjalnej, niemniej przeto, ze względu na rozgłos, jaki ta sprawa przyjęła przez wydrukowanie w jednym z miejscowych dzienników mowy p. M., zawierającej szereg twierdzeń niezgodnych z rzeczywistością i mogącej w czytelniku bezstronnym, nie rozporządzającym dostatecznym materjałem do sprawdzenia tych twierdzeń, wzbudzić pewne wątpliwości, z polecenia zarządu Banku występuję publicznie z niniejszem sprostowaniem wszystkich zarzutów p. M., pozostając jednak na gruncie ściśle rzeczowym.

1. Najpierw p. M. twierdzi, że zaufanie publiczności do listów zastawnych i akcyj wileńskiego Banku ziemskiego zostało podkopane, czego dowodem ma służyć: 1) obecny kurs listów zastawnych naszego Banku, niższy od kursu renty o 8 proc. i 2) spadek akcyj tegoż Banku w ciągu dwóch lat o całe 150 rb.

Tymczasem, jak powszechnie wiadomo, kurs papierów procentowych i dywidendowych, przy jednej i tej samej pewności i stopie dochodowej, zależy całkowicie od stanu rynku pieniężnego, t. j. obfitości gotówki, wskutek czego, ze zmianą tej obfitości, *caeteris paribus* sam się zmienia, podnosząc się w czasie większej ilości pieniędzy na rynku, a spadając, gdy ich jest mniej. Najlepszą ilustracją tego będzie zestawienie kursu renty, listów zastawnych i akcyj różnych Banków ziemskich z przed dwóch lat, t. j. przed rozpoczęciem się kryzysu pieniężnego, z kursem w chwili obecnej:

Tabelka I.

	Kurs na Giełdzie petersburskiej. w dniu 1/II 1899 r.	w dniu 31/I 1902 r.	Spadek w %.	
4% Renta państwowa	101	96 1/8	4 7/8	proc.
4-1/2% listy zast. B-ku Wileńskiego	99	92 1/4	6 3/4	„
„ „ Kijowskiego	99 3/4	93	6 3/4	„
„ „ Moskiewsk.	99 1/2	92 3/4	6 3/4	„
„ „ Dońskiego	99 1/4	92	7 1/4	„
„ „ Tulskiego	99 5/8	93	6 5/8	„
„ „ Charkowsk.	99 7/4	93 1/2	6 1/8	„

Tabelka II.

	Kurs na Giełdzie petersburskiej. w dniu 1/II 1899 r.	w dniu 31/I 1902 r.	Spadek w %.	
Akcje B-ku Dońskiego .	705	435	270 rb. lub 38	proc.
„ Tulskiego .	465	330	135 „ 29	„
„ Kijowskiego	775	562	213 „ 27	„
„ Moskiewsk.	765	610	155 „ 20	„
„ Wileńskiego	685 *)	538 *)	147 „ 21	„

Z tabelki 1-ej widzimy, że kurs listów zastawnych wszystkich Banków ziemskich w ciągu ostatnich dwóch lat spadł prawie równomiernie o 6 3/4 proc., a kurs renty, jako papieru państwowego, mającego przytem wstęp na wszystkie rynki zagraniczne, spadł o 4 7/8 proc. (wobec czego różnica między kursem renty a kursem listów zastawnych z 2 proc. wzrosła stopniowo prawie do 4 proc.). Zatem spadek listów zastawnych wileńskiego Banku ziemskiego nie stanowi żadnego wyjątku, i źródła jego należy szukać w ogólnem pogorszeniu się stanu rynku pieniężnego, ale wcale nie w zachwianiu się zaufania publiczności do rzeczonego Banku; niższa zaś nieco cena listów zastawnych naszego Banku, w zestawieniu z listami innych Banków ziemskich da się wytłómaczyć brakiem kapitałów na rynku wileńskim, wskutek czego znaczna ilość naszych listów musi szukać nabywców w Cesarstwie, ustępując w walce z listami tamecznych Banków ledwie niecały procent z ich ceny.

Przechodząc do tabelki II-ej, widzimy, że spadek akcyj naszego Banku został wywołany również przez też same przyczyny ogólno-ekonomicznej natury, przyczem akcje te znacznie mniej od innych na tem ucierpiały. Że spadek kursu akcyj naszego Banku w ciągu dwóch ostatnich lat o 147 rubli nie został wywołany przez zmniejszenie się zaufania publiczności i giełdy do naszego Banku, dowodem fakt, że rzeczone akcje (przyjmując pod uwagę ostatnio wydaną dywidendę) kapitalizują się na giełdzie z najniższego pośród akcyj innych Banków procentu. Tak, zestawiając kurs akcyj wyżej wymienionych Banków ziemskich (w dniu 31 stycznia 1902 r.) z wysokością ostatnio wydanej dywidendy, otrzymamy, że:

akcje B-ku Dońskiego	kapitalizują się z	9,2	proc.
„ Kijowskiego	„	7,6	„
„ Moskiewskiego	„	7,4	„
„ Tulskiego	„	7,2	„
„ Wileńskiego	„	7	„

*) Kurs tych akcyj na dzień 1 lutego 1899 r. wskazany jest bez 20 rb. przedpłaty dywidendowej, a na dzień 31 stycznia 1902 r. bez 38 rb. dywidendy za 1901 rok, już wypłaconej, gdy tymczasem akcje innych banków, wobec nieopłacenia jeszcze dywidendy za rok poprzedni, zawierają w wyżej wskazanych cyfrach i wartość kuponu dywidendowego.

2. P. M., omawiając z kolei kwestję wycofywania listów z obiegu i ich niszczenia, dowodzi, że wileński Bank ziemski, w czasach, kiedy kurs listów stał wyżej *pari*, losował listy całemi masami, narażając ich właścicieli na stratę, a z chwilą spadku kursu listów niżej *pari*, zaniechał losowań, zamieniając je kupnem listów na giełdzie według bieżącego kursu. Uznając takie postępowanie za szkodliwe dla sprawy kredytu naszych listów, p. M. zapytuje wreszcie, na czem polega rękojmia, że wycofane w ten sposób listy nie zostały ponownie puszczone w obieg, jak to miało miejsce w charkowskim banku?

Zgodnie z ustawą naszego i innych banków ziemskich, wycofywanie listów zastawnych z obiegu winno się odbywać równolegle z umorzeniem pożyczek, a ponieważ to ostatnie uskutecznia się w dwojaki sposób: terminowy—za pomocą rat półrocznych, wpływających w postaci gotówki, i nadterminowy — za pomocą wpłat częściowych lub całkowitych zaciągniętego długu w postaci gotówki lub listów zastawnych (do uznania dłużnika), to i wycofanie z obiegu listów w ciągu półrocza powinno wynosić tyle, ile w gotówce i listach zastawnych w ciągu tegoż czasu wpłynęło na umorzenie pożyczek; zatem, zgodnie z ustawą, listy, wniesione do nadterminowego umorzenia, winny być spalone, a na sumę gotówki powinno być zarządzone losowanie.

Ma się rozumieć, że przy kursie, w pewnej mierze przekraczającym *pari*, dłużnicy przy nadterminowych umorzeniach wnoszą nie listy, które Bank przyjmuje sto za sto, lecz gotówkę, na której sumę Bank obowiązany jest zwiększyć losowanie; przy spadku zaś kursu niżej *pari*, nadterminowe umorzenia wpływają wyłącznie w postaci listów, które następnie Bank pali i wskutek tego losowanie odbywa się na sumę li tylko normalnego funduszu umorzenia, powstałego z części rat półrocznych. Do niedawna więc, oprócz bezpośredniego niszczenia listów, przedstawianych do nadterminowego umorzenia, istniał dla Banku jeden tylko sposób wycofywania listów z obiegu, mianowicie za pomocą losowania. Losowanie, aczkolwiek przedstawia pewne korzyści dla właścicieli listów przy kursie niżej *pari*, jednak ze względu na bardzo małe prawdopodobieństwo wylosowania (dla naszego Banku wynoszące mniej, niż $^1/_2$ proc.), nie ma tak znaczego wpływu na stan kursu, jak to chce widzieć p. M.; z drugiej zaś strony naraża właścieli, zwłaszcza mniej obeznanych z techniką losowania, na stratę części samego kapitału w razie nieprzedstawienia wylosowanych listów we właściwym terminie. Ten ostatni wzgląd jest na tyle ważnym, że zmusił prawodawcę do ogłoszenia z własnej inicjatywy w d. 2 czerwca 1888 r. (*mnienije Gosudarstwiennago Sowieta Wysoczajsze utwierżdiennoje 2 junia 1898 goda*) prawa, wprowadzającego obok dotychczas praktykowanego sposobu wycofywania listów zastawnych i obligacyj w towarzystwach akcyjnych za pomocą losowania, nowy sposób, polegający na kupnie tych listów i obligacyj na giełdzie i następnem ich paleniu. W myśl więc tego prawa wileński Bank ziemski, a jednocześnie wszystkie inne banki ziemskie (z wyjątkiem charkowskiego) uzyskały w czerwcu 1899 r. odpowiednią zmianę statutów, i nowy sposób wycofywania listów z obiegu za pomocą kupna ich na giełdzie był zastosowany pierwszy raz przez wileński Bank ziemski (wyłącznie do listów, wypuszczonych w obieg po wydaniu tego prawa) w listopadzie 1899 r., kiedy kurs jego listów wynosił $95^1/_2$—96. Zatem na zmniejszenie losowań wpłynęło nie takie lub inne postępowanie zarządu Banku, ale: 1) spadek kursu listów, który wskazał dłużnikom zapewnioną przez ustawę wygodniejszą drogę zwrotu pożyczek w postaci listów, a nie gotówki, i 2) akt prawodawczy, wydany bez żadnych zabiegów o to ze strony Banku. Pozostaje jeszcze nadmienić, że w ten lub inny sposób wycofywane z obiegu listy palą się następnie co półrocze w oznaczonym zawczasu i do wiadomości ogólnej podanym dniu, w obecności zarządu, sześciu delegatów, wyznaczonych z ramienia akcjonarjuszów i jednego, wyznaczonego przez ministerstwo skarbu, o przebiegu zaś losowania i spalenia listów sporządza się protokół, stwierdzający zgodność listów spalonych z bilansem i księgami Banku.

Przechodząc z kolei do pożyczek miejskich, musimy zaznaczyć, że straty, wypływające z tego źródła, muszą być bez porównania dotkliwsze, niż straty, pochodzące z wydawania pożyczek pod zastaw majątków. Bowiem wartość domów z natury rzeczy jest mniej stałą, niż wartość ziemi, i podlega, jako towar dostępny dla wszystkich i wytwarzany prawie że w dowolnej ilości, znacznym zmianom w zależności od stanu rynku pieniężnego; przy obfitości przeto gotówki na rynku, popyt, a wraz z nim i cena na domy wzrasta, wywołując za sobą, przy łatwości korzystania z kredytu, znaczny ruch budowlany; ze zmianą wszakże konjunktury, a zwłaszcza przy ostrych przejawach tej zmiany w postaci kryzysów pieniężnego i przemysłowego, popyt na domy nagle ustaje, ceny spadają i następuje czasowa, lat kilka niekiedy, jak to mamy obecnie, trwająca znaczna deprecjacja nieruchomości miejskich. Nie ulega wątpliwości, że szacunki, dokonane przez Bank zupełnie prawidłowo w czasie zwyżki cen na domy, nie będą już odpowiadały rzeczywistej wartości tych domów w czasie kryzysu. Sytuację Banku w dodatku pogarsza zwykle fakt, że właściciel domu, straciwszy wszelką nadzieję pozostania przy nieruchomości, nie podejmuje już żadnych niezbędnych reparacyj, nie płaci podatków miejskich, ani ubezpieczenia i stara się za pomocą kontraktów kilkoletnich ściągnąć z góry dzierżawę — wszystko w celu utrudnienia wejścia w posiadanie i zniechęcenia nowego nabywcy. Gdy więc Bank, po wyczekaniu ustawowych terminów, przystąpi nareszcie do windykowania zaległości i wystawi nieruchomość na licytację, to na dom, przez właściciela zniszczony, pozbawiony dochodów na lat kilka, obciążony co najmniej trzema zaległemi ratami, kosztami asekuracji i podatkami miejskiemi—nie ma zwykle nabywców. Wobec tego Bank zostaje przymusowym właścicielem nieruchomości, a zobowiązany ustawą do zbycia takowej w ciągu roku, sprzedaje ją z wolnej ręki, ze znaczną zazwyczaj stratą. Że wypadki rozmyślnej deprecjacji ze strony właściciela nie stanowią bynajmniej wyjątku, dowodzi np. fakt, że w Nikołajewie (gdzie działa Bank ziemski besarabsko-taurydzki) zarząd tego Banku zniewolony został w roku ubiegłym uciec się do pośrednictwa miejscowej administracji.

To większe znacznie ryzyko, powstające z pożyczek miejskich w porównaniu z ziemskiemi, znalazło przeciwwagę i w ustawie, która pozwala bankom ziemskim zaliczać na rzecz swoją od pożyczek ziemskich $^1/_2$ proc. rocznie, a od pożyczek miejskich cały procent, i ta różnica w wynagrodzeniu Banku za przyznanie kredytu na zastaw nieruchomości miejskich w zupełności powinna pokrywać wynikające ztąd straty.

Tak w ciągu całego swego istnienia wileński Bank ziemski wydał pożyczek miejskich na sumę 64,235,000 rubli, a strat na domach poniósł w ciągu tego okresu naogół 720,529 rb. 66 kop., z czego wynika, że procent, pobierany na rzecz Banku od właścicieli domów w ciągu jednego tylko roku pokrywa prawie ogół strat na domach, poniesionych przez Bank w ciągu całych 29 lat.

Przechodząc znowu do ostatniego sprawozdania, widzimy, że w pierwszem półroczu 1901 r. bank wystawił na sprzedaż 787 domów, sprzedał 20 i stał się posiadaczem 50; z tej liczby do końca roku sprzedano 34, tak że na 1 stycznia 1902 r. Bank posiadał na własność 16, a łącznie z pozostałemi z licytacji drugiego półrocza 1900 r. trzema domami—19 domów z długiem bankowym w ilości 359,044 rb. 6 kop. W drugiem półroczu 1901 r. Bank wystawił na sprzedaż 761 dom, z tej liczby na pierwszej licytacji sprzedał 7, na drugiej (która odbyła się 8 stycznia r. b.)—62 i pozostał właścicielem (8 stycznia r. b.) 33 domów z długiem bankowym w ilości 154,781 rb. 40 kop.

Jak wyżej wspomnieliśmy, p. M. zapewnia, że losowanie wpływa na podniesienie kursu listów, i na dowód tego przytacza przykład listów zastawnych charkowskiego Banku, których obecny kurs jest wyższy od kursu listów innych banków jedynie dzięki tej okoliczności, że Bank charkowski nie zamienił losowania listów przez kupno ich na giełdzie. Nie wchodząc w motywy, dlaczego Bank ten nie chciał w przededniu katastrofy prosić o zmianę statutów, odpowiadamy, że kurs listów Banku charkowskiego i wcześniej, t. j. w chwili, kiedy (jak to widać z tabl. I) jeszcze żaden z banków nie zamienił sposobu losowania przez kupno listów na giełdzie, był zawsze wyższym od kursu listów innych banków, co się tłómaczy wprost miejscowemi warunkami zbytu listów. Znaczniejsza zaś zwyżka w ostatniej chwili znajduje łatwe tłómaczenie w czasowem zawieszeniu operacji wydawania pożyczek i listów w tym banku.

3. W dalszym ciągu p. M. podnosi najcięższy zarzut odstępstwa od wszelkich zasad w szacowaniu nieruchomości, przyjmowanych do zastawu, i zgubne tegoż skutki formułuje w sposób następujący: od połowy lat 80-tych Bank zeszedł z drogi prawidłowego szacowania majątków i domów, a wytknąwszy sobie jedynie za zadanie możliwie największe rozwinięcie działalności banku w celach nic wspólnego z jego dobrem nie mających, jął wydawać pożyczki, przekraczające nietylko 60 proc. rzeczywistej wartości, lecz i całkowitą wartość zastawu i w ten sposób przyczynił się do: 1) wyzucia z siedzib rodzinnych całych dziesiątków lub setek właścicieli ziemskich i do zrujnowania więcej jeszcze setek właścicieli domów, i 2) przejścia na własność Banku całego szeregu nieruchomości. «Oto groźny fakt!—wykrzykuje p. M.—Według sprawozdania, z 30 wystawionych na licytację majątków ziemskich i 221 domów, 15 majątków i 194 domy, razem 209 nieruchomości przeszło na własność Banku; sprawozdanie przyznaje stratę 240 tys., a w rzeczywistości straciliśmy około pół miljona!»

Jako odpowiedź na zarzut, dotyczący nieprawidłowości szacowania majątków ziemskich, niech posłużą następujące cyfry.

W ciągu 29-letniego istnienia swego wileński Bank ziemski wydał pożyczek pod zastaw majątków ziemskich na sumę 163,658,900 rb., t. j. przeciętnie na rok wydawał po 5,640 tys. rb.; straty zaś w ciągu tego szeregu lat wyniosły ogólnie 191,833 rb. 52 kop., czyli przeciętnie na rok po 6,615 rb., co zaledwie wynosi około $^1/_{10}$ proc. wydawanych pożyczek; w ciągu zaś całego swego istnienia Bank sprzedał naogół 476 majątków, czyli po 16 rocznie, z której to cyfry znaczny procent przypada na dobrowolne układy. Przechodząc teraz do ostatniego sprawozdania Banku, widzimy, wbrew cyfrom p. M., że w 1901 r., w pierwszem półroczu było wystawionych na sprzedaż 768 majątków ziemskich, z której to liczby na pierwszej i drugiej licytacji sprzedano 9, przeszło zaś na własność Banku 5 drobnych sched ogólnej przestrzeni około 200 dziesięcin, z długiem bankowym w ilości 11,938 rb. 44 kop.; w drugiem półroczu wystawiono na sprzedaż 537 majątków ziemskich, z tej liczby na pierwszej licytacji sprzedano 5, na drugiej (która miała miejsce 9 stycznia r. b.)—3, na własność zaś Banku nie przeszedł *ani jeden* majątek. Z wymienionych pięciu sched, które w czerwcu 1901 r. przeszły na własność Banku, jedna już została sprzedaną, pozostałe zaś cztery łącznie z czterema takiemiż schedami, które stały się własnością Banku na licytacji drugiego półrocza 1900 roku, obciążają bilans bankowy i nie mogły być dotychczas sprzedane, jako zamieszkałe przez t. zw. «wolnych ludzi» i ulegające wskutek tego obowiązkowemu wykupowi. Fakt więc, że własnością Banku pozostaje teraz 8 sched, *ogólnej* przestrzeni 252,8 dziesięcin, z długiem 14,980 rb. 64 kop., nie może być chyba groźnym dla Banku, który z pośród wydanych obecnie 134 miljonów pożyczek, 94 miljony, czyli przeszło 70 proc. ogólnej liczby wydał pod zastaw majątków ziemskich.

Co się tyczy strat na domach w roku sprawozdawczym, to te według sprawozdania wyniosły 302,981 rb. 99 kop., z której to liczby należy wykluczyć 26,340 rb. 75 kop., jako spodziewane do zwrotu. Rok zatem ubiegły pod względem strat na domach wyróżnił się z całego szeregu lat poprzednich, lecz z drugiej strony nie był wyjątkiem dla jednego tylko wileńskiego Banku ziemskiego, albowiem nie mniejsze straty poniosły i wszystkie inne banki ziemskie, dla których skutki powszechnego kryzysu były również ciężkie [1]). Pomimo tak znacznej straty, wileński Bank ziemski zdołał jednakże bez wszelkich trudności utrzymać dywidendę na zwykłym poziomie, wahającym się, jak to widać z następującej tabelki, cały szereg lat ostatnich między 38 i 40 rb.

Wysokość dywidendy, przypadającej na jedną akcję:

w 1889 r.	— 39 rb.	w 1896 r.	— 40 rb.
1890	— 39 „	1897	— 40 „
1891	— 40 „	1898	— 40 „
1892	— 39 „	1899	— 40 „
1893	— 38 „	1900	— 40 „
1894	— 38 „	1901	— 38 „
1895	— 39 „		

4) P. M. następnie twierdzi, że zarząd banku, rozwijając nadmiernie operację wydawania pożyczek na podstawie niezgodnych z rzeczywistością szacowań, miał przedewszystkiem na celu czasowe zwiększenie tantjemy, przypadającej na rzecz zarządu i komisji taksacyjnej, a z drugiej strony dążył do tego, aby na licytację wystawiono jaknajwięcej nieruchomości miejskich, które drogą licytacji miały przejść w ręce utworzonego przy pośrednim udziale tegoż zarządu towarzystwa. W tym celu miał jakoby zarząd banku na drugiej licytacji d. 8 stycznia r. b. wprowadzić dla kupujących dodatkowy warunek, że suma, za którą dom został sprzedany, może być następnie zmniejszoną w razie, jeżeli nowe oszacowanie wykaże, że dochód z domu nie pokrywa raty bankowej; w ten sposób towarzystwo, kupując domy za dług bankowy, w rzeczywistości wejdzie w posiadanie tych domów za daleko mniejszą sumę i prawdopodobnie nawet niższą od faktycznej ich wartości, przyczem powstały ztąd niedobór całkowicie zaciąży na banku.

Sprostujmy i te zarzuty.

Najlepszem zaprzeczeniem twierdzenia, że wileński Bank ziemski usilnie starał się o przyciąganie pożyczek miejskich, posłuży zestawienie ilości pożyczek miejskich, wydanych w okręgu działalności naszego banku (t. j. w guberniach: wileńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej, mińskiej, witebskiej, mohylowskiej i pskowskiej) przez Bank wileński i dwa inne, w tymże okręgu operujące banki:

Wydano pożyczek miejskich:	w 1899 r.	w 1900 r.
przez Wileński Bank ziemski . .	7,480,000	6,078,400
„ Tulski i Moskiewski Banki ziemskie	8,461,000	6,272,200

[1]) Z jedynego dotychczas ogłoszonego sprawozdania Banku Besarabsko-Taurydzkiego widzimy, że straty, przezeń poniesione, w ilości 474,178 rb., są znacznie cięższe od naszych.

Porównanie to jeszcze z większą siłą wypadnie na korzyść wileńskiego Banku ziemskiego, jeżeli przytoczymy ogół wydanych w ciągu lat 1899 i 1900 pożyczek miejskich przez wyżej wymienione dwa banki:

	Tulski	Moskiewski
w 1899 r.	— 17,107,300 rb.	41,128,900 rb.
1900	— 14,331,400 „	31,303,700 „

Wreszcie, żeby ostatecznie obalić zarzut sztucznego wydawania pożyczek przez nasz Bank w ostatnich latach, przytaczamy ilość tych pożyczek, wydanych przez nasz Bank przez ostatnie 5 lat:

w 1897 r.	—6,010,900	w 1900 r.	—6,078,400
1898	—6,195,500	1901	—2,985,900
1899	—7,480,000		

Ilość pożyczek miejskich w roku 1901 znacznie zmalała: 1) wskutek spadku cen na domy wobec długotrwałego kryzysu, i 2) wskutek odpowiednich poleceń ze strony ministerstwa skarbu, oraz ze względów ostrożności, przedsięwziętych przez zarząd banku.

Z drugiej strony Bank ziemski, jako instytucja publiczna, nie ma prawa odmawiać kredytu jedynie przez niechęć dalszego rozwijania swych operacyj, co wyraźnie orzekło samo ministerstwo; istniejąca zaś ustawowa zależność wydawania pożyczek i emisji listów od stanu kapitału akcyjnego, wciąż zmusza bank do zwiększania tego kapitału, które to zwiększenie, przy stałym zawsze (10-krotnym) stosunku listów w obiegu do kapitałów banku, w niczem nie narusza korzyści starych akcjonarjuszów na rzecz nowych, i chociaż ustanowiony w § 95 ustawy podział zysków przy zwiększonych obrotach powiększa tantjemę przypadającą na rzecz zarządu, komisji taksacyjnej i pracowników bankowych, wszakże nie uczyniło to dla zarządu i komisji taksacyjnej prawie żadnej różnicy, albowiem do 1895 roku włącznie Zarząd i komisja taksacyjna, oprócz tantjemy, pobierały jeszcze stałe wynagrodzenie w ogólnej sumie 28 tys. rb. rocznie, którego się następnie zrzekły dobrowolnie.

Tak w 1895 roku, przy ilości pożyczek, wydanych w sumie 89,551,500 rb., i kapitałach akcyjnym i zapasowym 9,028,450 rb., otrzymały:

Zarząd:	
Tantjemy.	61,889 rb. 75 kop.
Stałego wynagrodzenia. .	16,000 „ —
Ogółem	77,889 rb. 75 kop.
Komisja taksacyjna:	
Tantjemy.	30,944 rb. 87 kop.
Stałego wynagrodzenia. .	12,000 „ —
Ogółem	42,944 rb. 87 kop.

a w 1901 roku, kiedy ilość pożyczek wydanych dosięgła sumy 133,809,400 rb., t. j. powiększyła się prawie o całe 50 proc., a kapitały akcyjny i zapasowy doszły do 14,315,302 rb. 86 kop., zarząd otrzymał tantjemy 80,616 rb., komisja zaś taksacyjna 40,308 rb.

Pozostaje jeszcze wyjaśnić prawdziwe znaczenie nowoutworzonego Towarzystwa, p. f.: «Huszcza i Malinowski», które narówni z innymi kupcami stanęło na drugiej licytacji 8 stycznia r. b. i z pośród 62 sprzedanych domów nabyło 53.

Jak już niejednokrotnie wspominaliśmy, ciężkie ekonomiczne przesilenie, jakie kraj przechodził, było powodem wystawienia na licytację drugiego półrocza 1901 r. znacznej ilości domów, co łącznie z brzmieniem artykułu 27 ustawy, wymagającego sprzedania w ciągu roku pozostających własnością Banku domów, zapowiadało Bankowi znaczne straty, gdyby na te domy na licytacji nie znaleźli się nabywcy; w ostatnim wypadku Bank zmuszony byłby sprzedać owe domy chociażby z wielkiem ustępstwem (jak to pokazała praktyka 1901 r.), a nawet w części i dawnym właścicielom tychże domów, wprost spekulującym na trudne położenie, w jakiem Bank mógłby się znaleźć. Należało więc tej całej grupie dobrze rozumiejących swój własny interes eks-właścicieli domów—przeciwstawić innego rzetelnego nabywcę, któryby nie był z nimi w zmowie i w ten sposób mógł wywołać pożądaną dla Banku konkurencję. Nabywcy tacy się znaleźli i utworzyli jawną, całkiem poważną spółkę pod wyżej wymienioną firmą, a kupując 8 stycznia r. b. większość wystawionych na licytację domów, zwolnili Bank od wyzysku całej grupy spekulantów. Ażeby zaś ułatwić sprzedaż domów, mogących przejść na własność banku, a z drugiej strony nie odstraszać rzetelnych nabywców wygórowaną ceną, która obecnej wartości domów, wobec ogólnej deprecjacji, już nie odpowiada, zarząd uzyskał od ogólnego zgromadzenia akcjonarjuszów prawo zniżania ceny sprzedażnej na drugiej licytacji, zgodnie z rzeczywistą wartością sprzedawanej nieruchomości, wskutek czego wszystkim nabywcom na drugiej licytacji, a w ich liczbie i firmie «Huszcza i Malinowski» przysługuje prawo pewnego ustępstwa od sumy kupna, jeżeli nowo dokonany szacunek, oparty na pewnych, gruntownie opracowanych i przez ogólne zgromadzenie akcjonarjuszów 21 stycznia r. b. przyjętych zasadach, to ustępstwo bezsprzecznie udowodni.

5. Na zakończenie niniejszego sprostowania, uważam za konieczne zwrócić uwagę, że wniosek o zarządzeniu w Banku rewizji ministerjalnej był podany przez cztery osoby, mające w swojem rozporządzeniu 95 akcyj z prawem na 5 głosów i został odrzucony przez ogólne zgromadzenie, składające się ze 112 akcjonarjuszów, władających 10,790 akcjami z prawem na 409 głosów. Rewizja ministerjalna i z tego względu nie ma racji bytu, że, gdy w innych bankach ziemskich delegaci od ministerstwa skarbu rozpoczęli swą działalność zaledwie z końcem ubiegłego roku, to w wileńskim Banku ziemskim już od drugiej połowy 1899 r. w łonie zarządu zasiada członek z ramienia ministerstwa skarbu, którego obowiązkiem jest nieustanna rewizja całej działalności banku, a widocznym wyrazem rewizji jest całkowite zaakceptowanie przez tegoż członka zarządu sprawozdań Banku z lat 1899, 1900 i 1901.

Paweł Kończa.

8 lutego 1902 r., Wilno.